

KARIEROWICZ

Józef Mackiewicz

DZIEŁA

Tom 2

Józef Mackiewicz

KARIEROWICZ

Londyn

Józef Mackiewicz, KARIEROWICZ

First published in 1955 by Orbis (London) Ltd

Reprinted in 1989 by Kontra

This edition published in 2007 by Kontra

28 Lanacre Avenue, London NW9 5FN, England

Copyright © Nina Karsov, 2007 All rights reserved

British Library Cataloguing-in-Publication Data

A catalogue record for this book is available from the British Library.

ISBN 978-0-907652-29-8 complete set of DZIEŁA ISBN 978-0-907652-58-8 vol. 2

Printed and bound in Great Britain by Biddles Limited, King's Lynn

CZEŚĆ I

6

Miasteczko było bardzo małe, położone na równinie. Z mgły oddalenia widniała wieża jedynego kościoła katolickiego. Przy zbliżeniu można było rozeznaczyć dwie cerkwie prawosławne i kwadratowy kadłub synagogi, ustawiony prawie na skraju, od którego zaczynała się już płaszczyna śniegów. Poza tym były jeszcze w miasteczku trzy pomniejsze bóżnice, szpital, szkoła i ze dwa budynki urzędowe, w których urzędowały kolejno te władze, które na zmianę brały je w posiadanie. W rowach przydrożnych, wskutek niespodziewanej odwilży w środku stycznia 1919 roku, stała woda, która w pierwszych dniach lutego zamarzała w lód; po lodzie ślizgały się dzieci powracające ze szkoły, w której uczyły się nie wiadomo czego i z jakich podręczników. Trudno powiedzieć, dlaczego właściwie, ale już z perspektywy miasteczko i wszystkie jego sprawy robiły wrażenie rzeczy zadawnionych, zastałych.

Jedynym, zdawało się, przedmiotem ruchomym w tym pejzażu były chmury, które ciągnęły jedna za drugą, różniąc się między sobą nie kolorytem, bo wszystkie były szare, ale odcieniem, miejscami jaśniejszym, miejscami ciemniejszym. Wiatry w tych stronach wieją prawie zawsze. Ciągłe też posuwają przed sobą chmury na niebie, a na ziemi żdźbło słomy, kawałek luźnego papieru, kosmyk włosów wystający

7

spod chusty babskiej, jednym słowem co nie bądź lekkiego, nie ważącego nic zgoła w życiu ludzkim. Regularnie dwa razy na dobę, a po raz pierwszy o świcie, miasteczko odzywało się głosami z wysokich topoli: „Kra-kraa!...” Przed zachodem te same stada wron wracały skądś, najczęściej pod wiatr, wysoko na tle szarych chmur. W dzień świąteczny prócz krakania wron słychać było dzwony kościoła i dwóch cerkwi.

Wzdłuż szosy stały baraki po opuszczonych składach zaprowiantowania jakiejś armii. Śnieg wokół

baraków był gęściej zdeptany niż gdzie indziej.

W tej chwili, tzn. na dwie godziny przed zmierzchem, miasteczko przechodziło z rąk do rąk bez boju. Dowódcy zatrzymali konny oddział na wietrze w polu, porozumieli się z dowódcami poprzedniej władzy i szwadron czarnych huzarów wyjeżdżał z ulicy, podążając do przeciwległego horyzontu.

Przybyli czekali, przeważnie wsparci o przedni łęk siodła, aby wyprostować plecy.

- Wolno palić! - zawołał niegłośno dowódca.

Leszek trącił strzemieniem sąsiada:

- Kostek, daj tytoniu zapalić. - Swego. -Niemam, no.

Kostek skręcił cygaretkę i zasłoniwszy oburącz zapalniczkę, zapalał sam, nie odpowiadając. Leszek udał, że nie przejął się odmową, pochylił się na kark koński, ręką zmacał zluźniony popręg i zlął na ziemię, aby go podciągnąć; mogło się zdawać, że pochłonięty jest tą czynnością.

Huzarzy wyjeżdżali wciąż, dwójkami, stępa, bez śpiewu; wyciągnęli się w sznur, wyrzucający końskimi łbami. Stawali się coraz mniejsi, zupełnie malutcy, prawie niewidoczni, aż znikli w przestrzeni na północny zachód. Wtedy oddział drgnął, skrzypnął siodłami i ruszył w główną ulicę.

- Ze śpiewem!

Nikt nie kwapił się z usłuchaniem komendy. Tylko hacele podków chrupały zmarznięty śnieg i gdzieś tam brzęknął munsztuk.

- No chłopcy!

8

Wreszcie któryś na przedzie zaintonował naderwanym głosem sprośną piosenkę. Trochę ludzi zebrało się wzdłuż chodników, by popatrzeć na wjeżdżających. Jakiś starzec płakał z rozrzewnienia, kiwając kapeluszem. Obok stał człowiek, który patrzył z nienawiścią spod naciśniętego kaszkietu. Kobiety rozchodziły się powoli, dosłyszawszy sprośne słowa. Pieśń zamarła sama, mniej więcej pośrodku placu rynkowego.

Miasteczko nie odznaczało się żadną specjalną właściwością ani służyło z jakiegokolwiek tradycji. Nie miało nawet własnej rzeki, o której można by coś powiedzieć. Wyróżniało się chyba tym tylko od masy podobnych miasteczek, że w odległości dwudziestu kilometrów na wschód leżała słynna, największa w kraju puszcza. Miała ona nazwę głośną, ale w miasteczku mówiono o niej wprost tylko: puszcza.

Tejże nocy na rogu ulic Szpitalnej i Cerkiewnej wiatr targał afiszem wędrownego cyrku, dawno już zresztą nieaktualnym. Miasteczko spało, i słychać było jedynie stąpanie dwóch ludzi po chodniku. Latarnie rzucały światło skąpe i były tak rzadko rozstawione, że ludzie ci szli prawie zawsze w mroku. Towarzyszył im cichutki brzęk ostróg. Doszedłszy do rogu, Kostek zerwał machinalnie odstający kawał afisza i opuścił na chodnik. Wiatr uniósł go nieco i przesunął na jezdnię, gdzie utknął w śnieżnej koleinie. Leszek rozejrzał się niezdecydowanie i ze złością poruszył całym ciałem pod szynelem. Było mu zimno, kłuło w piersiach i czuł, jak wszy łążą po skórze. - Wachmistrz zaraz po kolacji wyznaczył ich do nocnego patrolu, który miał pilnować, by nikt z mieszkańców nie chodził po mieście między godziną 11 wieczorem i 5 rano. Stereotypowa instrukcja mówiła o zatrzymaniu i odprowadzeniu każdego spotkanego cywila na odwach. W wypadku nieusłuchania trzykrotnego okrzyku, należało strzelać.

Bez słowa zawrócili w ulicę Szpitalną.

Byli prawie rówieśnikami. Leszek wstąpił na ochotnika mając lat 18, Kostek- 20. Wszy nie dawały spokoju, potęgując nerwowość. Z niewyspania noc wydawała się nie mieć końca. W okienku na piętrze szpitala paliło się światło.

9

Spojrzeli obydwaj w górę i przeszli milcząc, podzwaniając ostrogami.

W bramie przystanąli, zapalili i poszli dalej. Leszek, zaciskając w zębach papierosa, myślał o tym, jak to zrzuci kiedyś z siebie szynel, mundur, bieliznę i paznokciami będzie drapał skórę chociażby do krwi. Myślał o niej jak o wrogu, z nienawiścią.

- Ot, herbaty by teraz - powiedział do Kostka. - Gorącej.

Kostek poprawił karabin na ramieniu. Nikt nie szedł ulicami. Nikt, ani pies nawet. Wszyscy spali.

Wrócili na plac rynkowy. Pachniało śniegiem i zimnym murem kamienic.

- Ty - mruknął Kostek.

- Co?

- Ja tu widziałem piekarnię. Czujesz dym? -Nie.

- Wszystko jedno. Pod ranek włamiemy się do Żyda, niech ścierwo daje ciepłe obwarzanki.

- Daleko do rana.

i Stali długo, milcząc. Później znowu szli.

- A jak nie da? - zreflektował Leszek. a

- Czego? Nie da, czego? Kto?

- No, piekarz, ten co mówiłeś.

- A w łeb?!

Potem obaj ziewnęli jak na komendę. Obeszli cerkiew i wrócili na dawne miejsce.

Żaden z nich nie miał zegarka. Stanęli, przytupując z chłodu nogami. Godziny wlokły się...

- Godziny wloką się jak wszy - powiedział głośno Leszek.

- Jak brzemienne wszy.

- Uhum.

Była jeszcze ta sama długa noc, gdy na placu dojrzeli czarną sylwetkę człowieka.

- Stój! - krzyknął Leszek nienaturalnie zaciekłym głosem, który załamał się w dziecinny prawie dyszkant.

Człowiek szedł dalej wolnym krokiem. - Stój! - powtórzył i jeszcze raz: Stój!! - Tamten nie zatrzymał się. Leszek szybko, jakby się bał przeoczyć okazję, zerwał karabin, chciał wycelować, ale z pośpiechu nie zdążył dobrze i palnął. Echo odskoczyło od cerkwi do przeciwległych kamieniczek, odbiło się raz jeszcze krótko i potoczyło po zamarłych ulicach. Huk

10

zadzwoił w uszach. Postać zatrzymała się raptownie, machając z przerażenia rękami. Gdzieś zaszczekał pies.

- Daj spokój - wycedził Kostek nagle zmieszany, ale szedł z tyłu za Leszkiem w kierunku człowieka. Na placu stał stary Żyd, trzęsąc się. W rękę trzymał książkę.

- Ja głuchy, panowie... - Nie mógł wymówić nic więcej. Kula musiała mu gwiznąć tuż koło głowy.

Poczuł ją zapewne bardziej niż usłyszał huk strzału. W tej chwili z mroku wyłoniły się jeszcze dwie postacie.

- On głuchy - powiedział jeden drżącym głosem.

- Dokąd wy?!

- Do bóżnicy, już wpół do szóstej... - Ktoś w ciemności dzwonił zębami.

Leszek zawahał się niezdecydowany.

- Niech idą - machnął ręką Kostek. - Daj spokój. Chodź. -Wstąpił na chodnik i zaczął dobijać się do piekarni.

Było w niej ciepło i pachniało świeżym chlebem. Siedli przy stoliku, mrużąc oczy, bo światło po długim mroku oślepiało. Leszka nagle odszedł apetyt.

- Ledwo nie zabiliśmy człowieka - pochwalił się Kostek. Piekarz nic nie odpowiedział, ścierając ładę. Stara Żydówka postawiła talerz ze świeżym pieczywem.

- Po co panowie chcieli jego zabić?

- A po co on potrzebny? - odparł zuchowato Kostek.

- Nu, każdy chce żyć.

- Nie ma u was herbaty? - spytał Leszek.

- Ja przepraszam pana, ale nie ma.

- Każdy musi umrzeć - plótł Kostek, pełnymi ustami zapychając bułkę. - Co to za różnica! Kilka lat wcześniej czy później... kajuk! I do ziemi!

Piekarz zatrzymał rękę ze ścierką na ladzie: - To właśnie o tę różnicę, o tę troszkę się rozchodzi.

- Troszkę! - powtórzył Kostek. - To żeby choć pożyć; a to w takim z... miasteczku! Jak to tu!

Nastąpiło senne milczenie, jakie zdarza się zwyczajnie przed świtem, po nie przespanej nocy.

- A ja bym pożył i w takim miasteczku... - niespodziewanie Leszek wypowiedział głośno myśl,

która mogła mu przyjść do

11

głowy pod wpływem ciepła piekarni. Musiał być naprawdę chory.

- Ty? - zdziwił się Kostek.

-No.

Tamten wzruszył ramionami. Leszek, ażeby ukryć przed towarzyszem raptowne rozklejenie, jakie go opanowało, pochylił głowę, położył lewą nogę na prawym kolanie i wydierał z ostrogi jakiś pręcik, który się w nią wplątał w nieznanym sposobie.

12

- Co, tyfus?

- Nie wiem - odparł Leszek.

- Pewnie coś złapał na dziwce!

Leszek ani zaprzeczył, ani się uśmiechnął, ani nie starał nawet przybrać dziarskiej postawy.

Wachmistrz spojrział nań uważnie i uznał, że istotnie jest chory. Nie było szpitala polowego, a ponieważ wszystko wokoło podlegało rekwizycji, więc i miejski szpital obowiązany był leczyć żołnierzy.

Leszek poszedł najpierw do taborów, zabrał stamtąd swoją cywilną walizeczkę z osobistymi drobiazgami, następnie udał się do szpitala miejskiego. Broń kazano mu również zabrać ze sobą, gdyż oddział miał wkrótce ruszać dalej.

Z Kostkiem jeździli strzeżem w strzeżem od czterech miesięcy, ale rozstał się z nim obojętnie. Był późny ranek. Wrony już dawno odkładały swoją jutrznię i panowała cisza. Pod nogami skrzypiał śnieg. Ulicą przejechały pojedyncze sanie, a w nich chłop, usadowiony tyłem do wiatru, z podniesionym kołnierzem kozucha. Po niebie ciągnęły chmury.

Szpital mieścił się w piętrowym, murowanym budynku, malowanym ongiś na kolor różowy, obecnie wypłowiały; przy tym tynk w wielu miejscach już się obłupał. Wchodziło się przez furtkę w ślepej, drewnianej bramie od ulicy. Uchwyt

13

dzwonka na długim drucie był oderwany i wypadało kołatać. Leszek postukał nogą, bo obydwie ręce miał zajęte, trzymając w jednej walizeczkę, w drugiej karabin. Po krótkiej chwili otworzyła młoda dziewczyna, a spod jej nóg wyskoczył na ulicę ryży kot.

- Ach, Boże! Kić-kić-kić!... Czego? - spytała przelotnie.

- Chory. Do szpitala.

- Kić-kić... No, chodź tu! - Dziewczyna przekroczyła próg, wyciągając ręce. Kot nie uciekał dalej; wyprostował ogon i ocierał się o róg bramy. Wzięła go na ramiona. - Proszę wchodzić, czego stoi - powiedziała do Leszka bezosobowo.

W małej salce z oknami wychodzącymi na ulicę stało osiem drewnianych łóżek, z których tylko kilka było zajętych. Leszek nie przyglądał się nikomu. Ledwo się wyciągnął w pościeli, zasnął i spał do następnego ranka.

Nazajutrz stał nad jego łóżkiem człowiek średniego wzrostu i średnich lat w szynelu służącym mu za chałat szpitalny. Krótkie włosy odrastały na głowie widocznie uprzednio golonej. W ten sposób odsłonięta czaszka zdradzała kształt prawie jajowaty; siedziały w niej oczy nieco skośne i na tyle zmrużone, iż niepodobna było rozeznaczyć ich barwy. Wpatrywał się w Leszka z ledwo dostrzegalnym uśmiechem. Był krępy, czysto wygolony na twarzy; koszulę miał rozchełstaną na szyi.

- Dzień dobry - powiedział.

- Dzień dobry. - Leszek uniósł się na łokciu i rozejrzął po sali. Leżał w kącie przy ścianie zewnętrznej opodal okna. Łóżko obok było puste. Na dalszym, w tym samym rzędzie, wystawała spod koca ruda szczecina czyjejszej głowy. Naprzeciw siedział wsparty o poduszki młodzieniec robiący wrażenie zdrowego. Następnie widniało oblicze ludzkie, podobne raczej do martwej czaszki obciążonej skórą; w oczodołach szklił się wyraz przypominający oczy zaszczutego psa. Leszek opadł na słomianą poduszkę, podłożył ręce pod głowę i patrzył w sufit. W rogu na wprost widniały ślady starych zacieków wilgotnych, które wyschły, formując plamy o fantastycznych kształtach.

- Ranny? - dopytywał człowiek w szynelu.

- Nie...

14

W tej chwili weszła duża, piersiasta blondynka w fartuchu pielęgniarki.

- Flor - zwróciła się do stojącego. - Możebyś pomógł przenieść jego do operacyjnego na oględziny. Nieciężki pewnie.

- Sam mogę chodzić - odparł Leszek.

- On sam pójdzie - zawtórował dobrodusznie Flor. Leszek wrócił po półgodzinnych oględzinach.

Lekarz nie

był pewien, czy ma zapalenie płuc. „Zobaczy się” - powiedział. Skonstatował poza tym ogólne wyczerpanie i ciało od pasa w dół pokryte czyrakami. Kazał mu się wykapać, a ubranie oddać do odwieszalni. Lekarz mówił mało i niechętnie. Leszek nie miał też ochoty o nic go więcej rozpytywać. Łóżko Flora stało w drugim końcu sali. Był on jedynym, który chodził po całym szpitalu.

Młodzieniec robiący wrażenie zdrowego okazał się też żołnierzem, tylko z innego niż Leszek oddziału; nazywał się Marek. Cierpiał na bardzo zaawansowaną chorobę weneryczną. Flor objaśniał ją terminem lekarskim, przysiadłszy się do Leszka na krawędź łóżka.

- A ot, tamten, - ciągnął dalej, wskazując palcem na czaszkę obciążoną skórą - umiera. Jego starzy nie chcą zapłacić za operację.

Oczy w czasie umierającego poruszyły się z niemym wyrazem.

- Czemu? - spytał Leszek.

Flor spojrział nań bystro, jakby oceniając stopień inteligencji i odparł obojętnie:

- Żałują pieniędzy. A tu - wskazał na drzwi do drugiego pokoju, gdzie stały tylko dwa łóżka - huzar z kulą w brzuchu. A ten ryży, to Łodzio, Żydek. Wiesz już teraz, jakich masz kolegów, he?

Leszek uśmiechnął się.

- No, to i zdrowiej. - Wstał i poczłapał do siebie.

Wysoka, piersiasta blondynka przyszła pod wieczór, rozdając termometry chorym. Nazywano ją Heleną albo wprost: Helą. Była nie tylko postawna, ale też dobrze zbudowana. Trochę może w biodrach szersza niż potrzeba, bo potężne uda rysowały się wyraźnie pod spódnicą, która przez to wydawała się

zbyt wąska. Oczy miała, stosownie do cery, błękitne, jasne, zazwyczaj wesołe. Ale właśnie w tych oczach, wbrew porządkowi rzeczy, tliło się, mimo wesołości zewnętrznej, coś zimnego, coś nie tylko obcego, ale nawet niekobiecego. Można by powiedzieć, że w ogóle coś takiego, co pomiędzy mężczyzną i kobietą może tworzyć nieuchwytną zaporę. Kiedyś Flor, gdy zgadało się na ten temat, zrobił słuszną uwagę: „No, a jak chcecie, żeby ona na chorych patrzała? Wy słabi, a ona silna”. Sam jednak, chociaż wodził za nią wzrokiem spode łba, jak długo kręciła się po sali, wyraźnie unikał patrzenia jej w oczy. Ona też, gdy mówiła do niego, to najczęściej albo obracała nieco twarz bokiem, albo po prostu patrzyła mimo.

Helena, ominąwszy umierającego, podeszła do Marka i podając termometr, powiedziała krótko:

- Proszę.

Ten wyciągnął rękę, raptem złapał ją za przegub i pociągnął ku sobie. Z zaskoczenia pochylała się całym ciałem, ale oparła szybko.

- No, no. Ty! Nie pozwalaj sobie za dużo.

Marek puścił ją natychmiast, odepchnięty słowami jak pięścią. Dla pokrycia własnej konfuzji, zaczerwieniony z lekka, zaczął szorstko:

- Co mnie termometr! Jeść dają jak psom, a ona termometr wsadza. Wsadź sobie, wiesz gdzie!

- Ach, jaki cham - zawyrokowała Helena. - Boże, dlaczego to każdy żołnierz musi być koniecznie chamem. Jeść niech tobie wojsko daje. Czemu nie przysyłają? Zajęli miasto, łaska wielka. Niech z kuchni przysyłają.

- Tylko bez łaski! Szpital, powiedziano nam, ma karmić.

- Szpital! Żeby nie ja, to i tego całego szpitala dawno już by nie było. Burmistrza zmieniają co trzy dni, co chwila nowa władza zajmuje miasteczko, żadnego porządku, żadnego nic! Dobrze jeszcze, że ze starego zwyczaju kapie na szpital jak z nosa. Co wystaram się, to jest. Kto chce hrabiego

udawać, niech choruje u siebie w pałacu.

Tak się rzecz miała istotnie. Nikt też z właściwych mieszkańców miasteczka tu chorować nie przychodził w ostatnich czasach. Bywali tylko czasem chłopci z okolicznych

16

wsi albo rozbitkowie, uczeplieni tych łóżek właśnie z przypadku. Władz municypalnych tak dobrze jakby nie było. Miasteczko przechodziło z rąk do innych rąk tej części Europy, raz bojem, raz na mocy polubownych układów. Ciągłe zmiany stwarzały chaos. Budżet był zawsze prowizoryczny, a że notorycznie znajdowała się w nim jeszcze pozycja na utrzymanie szpitala, znikoma zresztą, wydawało się rezultatem tylko jakiejś przedawnionej tradycji i osobistych starań Heleny. Zarząd szpitala też nie egzystował. Ordynujący lekarz stronił od wszelkich spraw administracyjnych, ograniczając swe urzędowanie do porad, czasem zabiegów chirurgicznych, za które zresztą żądał od nielicznych pacjentów specjalnej zapłaty. Czy dzielił ją z Heleną, nie było nikomu wiadome. W każdym razie nie widywano go nigdy poza godzinami przyjęć ani też nie słyszano, żeby kiedykolwiek, we dnie czy w nocy, zachodził do niej na górę, gdzie miała pokój na pierwszym piętrze, właśnie nad tą salką chorych.

Pierwotne nazwisko tego lekarza brzmiało: Mikołaj Dawydow, ale ostatnio nazywał się różnie. Był on wojskowym lekarzem rosyjskiej armii carskiej, zmobilizowanym w roku 1914. Pracował tu w czasie, gdy w szpitalu urządzono wojskowy lazaret przyfrontowy. Później zachorował sam i nie zdążył się ewakuować przed wkroczeniem Niemców. Gdy wyzdrowiał, ci tolerowali go, jako lekarza, tym bardziej że w międzyczasie zmarł na tyfus stary doktor naczelny. Później zbiegiem okoliczności pozostał w miasteczku jedynym lekarzem. Za czasów niemieckich pisał się „Davidoff. Gdy wkroczyli bolszewicy, powrócił do „Dawydow”, o rzekomo lewicowych przekonaniach. Przy Polakach przezwiał się „Dawidowski”, wymawiając słowa fatalnym akcentem, ale wówczas takich było dużo. Krótki czas przy Litwinach podpisywał się „Dawidauskas”. Jedynie gdy raz wkroczyły jakieś oddziały narodowe białoruskie, a później na odmianę ukraińskie, to w obydwu wypadkach utrzymał nazwisko „Dawidenko”.

Czasem plotkowano na jego temat. Zastanawiało, że gdy opuszczał szpital przez furtkę w drewnianej bramie, nikt nie wiedział, dokąd się udaje, co robi, z kim przestaje w ciągu tych

17

wszystkich godzin aż do następnej wizyty. Nie słyhać też było, żeby miał prywatną klientelę. Ktoś kiedyś puścił pogłoskę, że było jego zwyczajem, przy każdej kolejnej zmianie władzy, spotykać ją soczystym splunięciem, ale w taki sposób, by tego nikt nie dostrzegł. Plotce tej zaprzeczyła Helena: - Co za głupstwa rozpowiadają. Jeżeli tego nikt nie dostrzegł, to jak można mówić, co on robi, a czego on nie robi!

Flor przytaknął ruchem głowy.

Z dawnego personelu, poza Helą, kiedyś starszą pielęgniarką i felczerką zarazem, a teraz niepodzielnym dyrektorem, pozostała tylko młodsza pielęgniarka, Anastazja, która mieszkała w jednym z nią pokoju na piętrze. Poza tym posługacz i dozorca kamieniczki w jednej osobie oraz jego żona, kucharka; ci mieszkali w oficynie od podwórza.

Anastazja była młodsza od Heli. Choć też blondynka, miała włosy ciemniejsze, oczy szare, duże i rzęsy długie. Piersi drobne, ale zawsze wysoko podciągnięte stanikiem, o niepokojąco wysterczających sutkach. Stale też włóczył się za nią ryży kot, lśniący i nazarty nie wiadomo czym, bo myszy w szpitalu nie było. Na ogół nie lubiano tego kota, może po prostu dlatego, iż podejrzewano Anastazję, że okarmia go z racji przeznaczonych dla chorych. Ona, podobnie jak jej kot, wydawała się, w przeciwieństwie do Heleny, miękka jakaś, podatna, jednocześnie bardzo kobieca; roztargniona. Nade wszystko jednak cechowała ją nierówność charakteru. Często bywała opryskliwa, zdenerwowana i bez widocznego powodu trzaskająca drzwiami.

O Florze mawiała zazwyczaj: „Ten z puszczy...”

Flor ze swej strony traktował ją spokojnie, ale bez zbytniego respektu. Łatwo było odgadnąć, że Flor dawno już był wyleczony, a nawet zupełnie zdrowy, i pozostaje w szpitalu być może nie mając po co i dokąd się udać - za cichym porozumieniem, na statusie na wpół rekonwalescenta, na wpół człowieka niezbędnego.

Pewnego razu, Anastazja postawiła na krześle przed Leszkiem podwieczorek, składający się z kubka kawy z łyżeczką mleka kondensowanego i kawałka chleba posmarowanego marmeladą. Następnie, jakby w roztargnieniu zapominając o

18

jego obecności, ruchem naturalnym uniosła fartuch, spódnicę i odsłaniając nogę wysoko nad kolanem, poprawiła pończochę. Leszek poczerwieniał i oczy mu się zaszkliły. Ona spuściła spódnicę, dopiero zauważyła wyraz jego twarzy, zarumieniła się z lekka, uśmiechnęła i poszła. Leszek powiódł za nią wzrokiem...

Flor nie widział poprzedniego ruchu Anastazji, gdyż była obrócona doń plecami, dostrzegł jedynie wyraz oczu Leszka, a później jego rozmarzony wzrok. Zbliżył się i pogroził dobrodusznie palcem:

- Ty uważaj... - Ale zaraz dodał już głosem poważnym: - Do Naści lepiej nie przystawiaj się.

- Dlaczego?

- Taaak... Nie trzeba.

- A cóż to, regulamin? - zażartował Leszek.

- Nie, nie regulamin - odparł Flor bez uśmiechu. - Ja tobie powiem kiedyś jedną rzecz...

- Co takiego?!

- Kiedyś. Później, później...

Leszek chciał jeszcze nastawać, ale właśnie w tej chwili niespodziewanie rozplakał się Lodzio.

- Czemu ciebie nazywają: „z puszczy?” - spytał Leszek Flora.

- Długo by opowiadać... Ech.

Z ulicy sączył się przez szyby poranek. Odbicie śniegu kładło na pokój jednostajny refleks białawego światła. W pokoju stał mętny zaduch lekarstw, chorych ciał, nie wietrzonych pościeli i odór ropy. Za oknem, z martwej zazwyczaj jezdni dochodził daleki odgłos pojedynczego dzwoneczka u duhy. Czaszka obciążona skórą drgnęła lekko na słomianej poduszce. Dzwoneczek dzwonił. Cichutko jeszcze, ale coraz wyraźniej. Flor też jakby nasłuchiwał, choć siedział nieporuszony i patrzył w złożone na kolanach ręce. Dzwoneczek się zbliżał. W przyległym pokoju gwałtownie poruszył się huzar. W ostatnich dniach pogorszyło się mu znacznie. A dzwoneczek dzwonił płaczliwie, monotonicznie, do wtóru końskiego biegu.

- Ech - powtórzył westchnienie Flor. - Ten czeka i ten czeka. Każdy umiera z nadzieją.

Dzwoneczek był już tuż, pod oknami wysokiego parteru. Nagle zamilkł, natomiast doszedł zachrypty od mrozu głos: „Tprrr”. Wtedy Flor wstał i wyrzwał oknem.

- Ot, i nowina... - przeciągnął. A potem zwrócił się do „Czaszki”: - Józku, twoi przyjechali.

20

W tej chwili huzar ciężko opadł na łóżko. Widocznie musiał też wyglądać oknem. Z zewnątrz dochodziły głosy męskie: to przyjezdny chłop rozmawiał ze stróżem. Później zgrzytneły zardzewiałe zawiasy wrót. Koń zastukał drobno kopytami, wciągając sanie; boleśnie zapiszczały płozy na pozbawionych śniegu kamieniach wjazdowej bramy.

Chłop, trzymając lejce w jednym ręku, podpierał sanie z boku, stróż podparł potężnie z tyłu. Baba, która zlazła z rozwalin, wzięła do ręki węzełek i szła za dozorcą. W ten sposób przepchali na drugą stronę domu, na podwórze szpitalne, łączyło się ono bezpośrednio z małym ogródkiem, w którym rosły wiśnie i hałasowały wróble. Dalej, na tle śniegu, czerniał drewniany płot, całkiem ze starości kłoniący się do upadku, nie podtrzymywany przez gruby pień topoli. Za nim widniała bezładna perspektywa podobnych ogródków, sadzików, podwórek, pocięta innymi takimi płotami, splątana w gałęziach niskorosłych jabłoni, sznurach od bielizny, wśród mnogich składzików, chlewów, sągów drzewa opałowego i jednego gołębnika. Stróż puścił tył sani i zawrócił, aby zamknąć wrota.

Przyjezdny zdjął rękawice, odpiął lejce, rozpuścił podpinkę na podsiedziółku, jednym pociągnięciem rozwiązał supoń u chomata i począł się mocować z użwą, przytrzymującą duhę u hołobli. Zesztywniała na mrozie, surowa skóra nie poddawała się zgrabiałym palcom. Chłop naciskał, aż mu palce zbiełały.

- Ach, ty... Żeby ciebie... - mrucał pod wąsem, zaciskając zęby. Zsunął ją wreszcie, zdjął duhę z dzwoneczkiem, położył na siedzenie rozwalin, wyprowadził ostrożnie konia z opadłych na ziemię hołobli, ustawił pyskiem do siana na przodzie sań i nakrył derą. Żona w ciągu tego czasu stała

nieruchomo, owinięta w chustę, trzymając oburącz węzełek na wysokości brzucha. W saniach pozostała duża poduszka. Stróż wrócił i zapytał:

- Zabierać będziecie swego ?

Baba za całą odpowiedź westchnęła tylko. Chłop poprawił jeszcze derę, aby nie spadła z konia, schował lejce na samo dno sań pod siano i powiedział:

- No, można iść.

- Nie ukradnie tu kto? - zwróciła się kobieta do stróża.

21

Ten obrzucił przelotnym spojrzeniem zawartość sań, miarkując, czy dostanie jakiego gościńca za swe trudy, i wzruszył ramionami:

- Kto będzie kraść.

Dopiero wtedy poszli do syna. Za nimi koń żuł siano głośno i smakowicie.

Po świeżym powietrzu zimowej drogi zaduch szpitalnego pokoju nieprzyjemnie uderzył w nozdrza.

Chłop charknął głośno, ale się powstrzymał, obejrzał się, a nie dostrzegając nigdzie kubła ani spluwaczki, powrócił do drzwi, splunął i roztań podszwą buta. Kobieta zbliżyła się do łóżka, patrząc na syna bez wyrazu. Wtedy to po raz pierwszy usłyszał Leszek jego głos, cichy jak zamierające echo:

- Mama...

Ona bez uśmiechu pokiwała głową: - No cóż, Józiuczek, przyjdzie się zabrać ciebie do chaty. Nie ma na operację pieniędzy.

Stary przysiadł się w nogach i patrzył na syna w zamyśleniu.

- Doktor był dzisiaj? - spytał.

- Dopiero co przyszedł - odparł Flor. - Jest u siebie. Chłop wstał ociężale, niechętnie, i poszedł do doktora

targować się. Targi trwały długi czas. Rodzice to razem, to pojedynczo szli do doktora, wracali, wzdychali. Syn leżał nieruchomo i czekał na wyrok.

- Nie ma co, trzeba zabierać - powiedziała w końcu matka. Właśnie w tej chwili wszedł doktor, nie patrząc na nikogo,

przemierzył pokój i udał się do drugiego, w którym leżał huzar. Gdy powracał stamtąd, chłop podrapał się w głowę:

- To jaka będzie ostateczna cena, panie doktor?

- Już powiedziałem. Wstyd wam, rodzicom, targować się o życie rodzzonego syna. Nagle przystanął przed Leszkiem. - Skąd ta broń?

- Kazali zabrać ze sobą.

- Z bronią do szpitala?... - Wzruszył ramionami. - Też nowe obyczaje!

- I wyszedł, trzasnąwszy drzwiami.

Nastąpiła chwila ciszy.

- Jedziem - powiedział chłop.

Flor wstał ze swego łóżka, na którym siedział. - Ech, ludzie... Duszy u was za kopiejkę, i to za jedną.

- A skąd ich wziąć, kopiejek tych - płaczliwie odparła matka.

- Przecie on umrze zaraz. A operacja lekka. Wodę jemu wypuścić z boku i wszystkich nas przeżyje.

- Każdemu śmierć sądzona - westchnęła kobieta.

- Ja tobie powiem, Aleksander - zwrócił się Flor po imieniu do chłopca. - Ty interesu swojego nie widzisz. On w drodze umrze. A chować trzeba będzie. Popa sprowadzać. Deski na Inimnę. Ty wiesz, jak to jest? Ostawcie lepiej tu, tu za darmo, na rachunek miasta zakopią jak psa. A jak sam będziesz umierać, to tobie te pieniądze coś zaoszczędził, zamiast obrazka do ręki włożyć.

- Co tam! Takie gadanie...

- Józiuk - Flor podszedł do chłopca. - Ty ręce złóż i pociesz mamę, umieraj zaraz. Po co tobie jeździć. Do puszczy, do domu wiorst będzie...

Marek z sąsiedniego łóżka nie wytrzymał i zarechotał zdrowym śmiechem, ukazując wszystkie zęby.

Nagle weszła Hela. - No, jeżeli zabieracie, to już! Nie ma co. Żeby ducha tu waszego nie było. Tu nie kiermasz.

Matka zaczęła rozwiązywać z rezygnacją węzełek, w którym przywiozła ubranie syna. Hela stała wysoka, postawna, i nawet poprzez biały, luźny kitel szpitalny, zdawało się, że wyzierały jej silne uda. Marek patrzył na nią żarłocznie. Obok w łóżku, czaszka umierającego zwróciła ku niej błagalne spojrzenie zapadłych oczodołów. Ale ona nie patrzyła więcej na nikogo; zawróciła i wyszła. Flor, który jak zawsze w jej obecności przycichł, gdy tylko drzwi się zamknęły, podszedł nagle do chłopca i powiedział jedno słowo: Aleksander.

Cisza.

- Sam nie wiem... - zawahał się tamten, ale spuścił wzrok, odwrócił się do ściany, zakasał kożuch i z jakiegoś schowka

23

wyjął związaną chusteczkę. Rozsupłał ją niezgrabnie, odliczył trzy złote monety i wręczył Florowi:

- Na, zanieś dla doktora - powiedział bezdźwięcznie. Resztę zawinął uważnie i schował. - Pójdę konia napić - zwrócił się do żony.

Po upływie dziesięciu minut w pokoju zrobił się niezwykły ruch. Naścia, stając na palcach, otwierała zasuwki podwójnych drzwi. W powietrzu drgały zabawnie jej uniesione w górę, zdeptane obcasy. Zjawił się stróż z noszami; przy pomocy Flora ułożono na nie chorego. Hela doglądała bez słowa, ale oczy jej pojaśniały i w pewnym momencie mrugnęły porozumiewawczo, wesoło do Naści.

Po operacji Józiuk spał spokojnie. Nie słuchał już i nie słyszał, jak przez kamienie bramy przeszorowały płozy chłopskich sań, jak później oddalał się pojedynczy dzwoneczek u duhy, zacichał w ulicy, aż ucichł zupełnie.

Flor przysiadł się znowu na łóżku Leszka.

- Jak jemu rozcięli bok - opowiadał - to pół wiadra wody wyleli.

- Ty skąd ich znasz, tych ludzi?

- Znaam... - odparł niechętnie, machnąwszy ręką.

- Z dalekiej wsi oni?

- Nie... Spod puszczy.

Dzień mijał normalnie. Z sąsiedniego pokoju dochodził ciężki, świszczący oddech huzara. W pokoju pociemniało. Flor podniósł głowę:

- Śnieg zaczął padać - powiedział.

- Taak, śnieg. Zima.

- Zima, bracie.

Leszek zamierzał właściwie zagadnąć Flora o co innego; mianowicie o to, o czym ten kiedyś wspomniał na temat Naści i obiecał wyjaśnić jakąś tajemnicę - czy też żartował wtedy? Nie chciało mu się jednak zdradzać własnych myśli.

Z łóżka wstał Marek i człapiąc butami, szeroko rozstawiając nogi od napuchłych jąder, powiedział wesoło: si. - Trzeba pójść do wychodka, sobie po.....

- Idź, idź - mruknął Flor, wciąż patrząc w okno.

24

Od świeżo spadłego śniegu zrobiło się czyściej, jaśniej w miasteczku, ale szare chmury, popychane wiatrem, szły -jak dawniej - wysoko, nie zaczepiając ani o wystającą ponad inne wieżę kościoła, ani o niższe kopuły cerkwi; szły nawet bardzo wysoko od ziemi, jakby wstydyły się z nią wszelkiej łączności. Mijały długimi szeregami, podążając dokądś, niezmiernie widocznie daleko, tak że od patrzenia na nie robiło się tęskno i chciałoby się też lecieć nie wiadomo gdzie, dalej, dalej I dalej. Leszek wstał po raz pierwszy z łóżka i cały ranek strawił przed oknem na obserwacji chmur. Czy się doziębził w ten sposób, czy był to wysiłek w jego chorobie jeszcze zbyt duży, dość, że około obiadu poczuł się gorzej, a gorączka wróciła. Do wieczora się wzmogła i w nocy zbudził się od piekącego bólu w piersi. Nie mógł zasnąć. Przewracał się na łóżku, skrzypiał słomianym siennikiem. Przy drzwiach, jak zwykle, paliła się mętna lampka. Jak zwykle też pojękiwał przez sen i ciężko dyszał huzar w drugim pokoju. Leszek ułożył się na wznak z rękami pod głową, patrzył w

zanikający w mroku sufit i starał się myśleć o czym bądź z czasów swego dzieciństwa...

Wprost nad jego głową, z pokoju Heleny dochodziły jakieś szmery: przyciszona rozmowa, przyciszony śmiech, ktoś

bosymi nogami przebiegł po podłodze; gorączkowa, głośniejsza sprzeczka; a teraz wyraźnie ktoś upadł na łóżko... Marek wstał i powłókł się do kubła, który wstawiano na noc.

- Nie śpisz? - spytał go Leszek.

Tamten nie odpowiedział. Po chwili stuknął blaszaną pokrywą, wracał. Ze względu na swoją chorobę musiał częściej od innych spacerować do kubła. Siadając z powrotem na łóżku, odezwał się:

- Słyszysz?

25

- Uhum.

- Puszczają się, k... - mruknął niewesoło, prawie ze smutkiem.

Leszek nie od wczoraj zauważył, że Marek leci na Helenę.

- Z kim tam one? - spytał, byle coś odpowiedzieć. Siennik skrzypnął pod Markiem.

- Cholera ich wie - burknął, naciągając koc. - Pewnie ktoś z naszych

- i nakrył się.

Lodzio przez sen zaczął pochlipywać.

- Kopnij tam jego, k... syna - doszedł jeszcze głos Marka spod koca.

Het, na nieznanym zegarze miejskim zaczęły bić godziny, ale wiatr odwrócił dźwięki i Leszek nie doliczył się uderzeń. -,To dziwne, pomyślał, wtedy z Kostkiem całą noc chodziliśmy na patrolu i nigdzie żadnego zegara nie było słyhać. Może naprawili w międzyczasie..." Z kubła pociągnęło ostrym, kwaśnym, przykrym odorem. Odwrócił się do ściany, ale znowu huzar jęczał teraz głośniejsze i Lodzio wciąż pochlipywał przez sen.

Lodzio był to młody Żyd, który w bezrobocie wojenne zapisał się dla kawałka chleba na roboty ziemne i zabrnął aż w te strony. Wybuch zapomnianej miny kontuzjował go poważnie, ale bez większego uszczerbku dla ciała. Natomiast skutkiem kontuzji utracił częściowo pamięć. Pamiętał, że pochodzi z miasta Łodzi, ale zapomniał swego imienia i nazwiska, kompletnie zapomniał rodziców. W szpitalu z wolna przychodził do siebie, uprzytamniał wiele rzeczy z przeszłości, ale pamięć o rodzicach zdawało się przepadła na zawsze. Wskutek tego

26

plakał. Widocznie zachował świadomość, że ich kiedyś kochał, i to musiało podrażniać jakieś nerwy w zwojach mózgowych. Nazywano go powszechnie Lodzio, żartobliwie przeto iccając nazwę miasta, z którego pochodził. W godzinach nudy szpitalnej stanowił często przedmiot rozrywki, pytano go:

- Lodzio, jak twoje imię?

- Nie pamiętam.

- A jak twemu ojcu na imię?

- Nie pamięć... Ja proszę mnie zostawić.

- To ja tobie powiem: ty jesteś Lodzio, twój ojciec nazywa się Lodzio i twoja matka nazywa się Lodzia. Ot, jak.

Wtedy Żydek plakał.

Później wydobrzała na tyle, iż pozwolono mu wychodzić ze szpitala. Nawiązał stosunki z kilkoma współwyznawcami w miasteczku i najczęściej wracał z jakimś drobnym podarkiem, jakąś małą paczuszką wiktualów. Flor miał zwyczaj je przeglądać: macał palcami, a potem oddawał z udaną pogardą i oświadczał:

- To nie jest żaden geszeft. Z ciebie żaden geszeftsman. Lodzio się denerwował. Wołano więc do niego tak:

- Lodzio! -Co?

- Ani twój ojciec nie był nigdy geszeftsman, ani ty nie jesteś żaden geszeftsman i nigdy nie będziesz geszeftsman.

Wtedy Lodzio znowu plakał.

Raz odwiedził Lodzia piekarz z rynku, ten sam, do którego nachodzili pierwszej nocy na patrolu. Przyglądał się jakiś czas Leszkowi, aż go poznał. Nie zdejmując czapki, kiwnął głową. - Następnego piątku wieczorem przyszedł znowu, przyniósł dla Lodzia chleba, a Leszkowi wręczył kręgiel, pachnący świeżym ciastem. Później przysiadł się doń konfidencjonalnie na łóżku i zwierzał szeptem:

Żeby panowie mogli nie dokuczać temu Żydkowi. U niego pomieszało się, pan wie, ale on nie jest myszogene. To jest tylko nerwowe. On wyleczy się, ale jemu trzeba dać na tę część mózgu spokój. Pan rozumie? Bo jak jemu te klepkę ciągle drażnić, to on nie wyleczy się nigdy. Pan mnie rozumie?

27

Leszek milcząc kiwnął głową. Po wyjściu piekarza, pół kręgla oddał Florowi, ale mu nie przekazał prośby starego Żyda. Już w szkole zaczął poznawać tę prawdę, której całą dobitność ukazało mu wojsko: że ujmowanie się za słabszymi jest samookreśleniem siebie jako słabego. Trzeba być zawsze takim jak wszyscy. Flor zjadł kręgiel, głośno mlaszcząc i odezwał się:

- Lodzio. To nie jest geszeft. Z ciebie żaden geszeftsman. Lodzio się rozpląkał, a wszyscy się roześmiali. Zdarzyło się, że akurat owego wieczoru przyszedł po raz

pierwszy odwiedzić Leszka Kostek. Siadł na krześle, stuknąwszy o podłogę końcem pochwy od szabli.

- Za dwa dni - oznajmił - oddział wyrusza w pochód. A ty co, ciągle chory?

- spojrział na Leszka z nie ukrywanym lekceważeniem i ziewnął. - Kto tam jęczy w drugim pokoju?

- To huzar. Z tych, co byli tu przed nami.

- Aha. - I zaczął opowiadać nowiny, plotki ze szwadronu. Leszek słuchał o tym, jakie nowe siodła przyszły, jak przekuwano konie na ostro ze względu na spodziewaną gołoledź, dlaczego wachmistrz wpadł w złość, kto poszedł do aresztu, jakie były ćwiczenia, kto komu dał w mordę, jak chodzili do odwyszalni... wszystko to, wszystko było jakby nie jego, dalekie raptem, pozawczorajsze. Raczej przez grzeczność okazał zainteresowanie, pytając, kto jeździ teraz na jego gniadym koniu, i wysłuchawszy odpowiedzi, zapomniał zaraz. Kostek musiał wyczuć tę obojętność, bo po chwili przysiadł się do Marka, choć ten był z innego szwadronu. Mówili ze sobą o dziwkach, a później wszyscy śmieli się właśnie z Lodzia. Na tę ogólną wesołość weszła Naścia, niosąc na tacy kolację. Zamknęła za sobą drzwi nogą i powiedziała od progu:

- Dalibyście jemu wreszcie spokój, temu Lodziowi. Marek, żeby popisać się przed gościem swym jurnym dowcipem, odparł:

- Najpierw ty nam „daj”...

Naścia tego dnia miała oczy podkrążone; od samego rana była czegoś zdenerwowana i wyjątkowo opryskliwa. Mówiła głośno i wtrącała się do każdej rzeczy. Teraz milczała przez

28

hwilę i raptem, stawiając przed Leszkiem kubek z leżącą po wierzchu kromką chleba, odpowiedziała najniespodziewaniej:

- Ot, temu, tobym dała... Ale nie tobie.

Leszek, trawiony gorączką, nie zmiarkował w pierwszej chwili dwuznacznika i spytał:

- Co byś dała? - Powiedział to z tak szczerą naiwnością w głosie, że ogólny wybuch śmiechu zarechotał na sali. Kostek i Marek śmieli się z otwartymi ustami. Flor, siedząc na swojej pryczy, cicho, jakby z zażenowaniem. Nawet Józiuk, który po

operacji z każdym dniem przychodził do sił, pokazał zęby. Nawet Lodzio się odwrócił i ucieszony, że to nie z niego, chichotał, nie będąc pewny, o co chodzi.

Leszek poczerwieniał, chciał zrehabilitować się jakimś tłustym kawałem, ale w tej chwili dostrzegł spojrzenie Naści. Była, jak on, zaczerwieniona, ale nie zmieszana, jej szare oczy, trochę zwięzione w uśmiechu, wyrażały zarazem pobłażliwą wyrozumiałość, współczucie, a równocześnie jakby zdecydowaną solidarność z Leszkiem wobec tych wszystkich obecnych; może też poczucie winy, że go naraziła na pośmiewisko. I Leszek, wbrew zamiarowi, zmilczał.

29

Naścia odwróciła się i obrzuciła wszystkich suchym, pogardliwym wzrokiem.

Akurat w progu stanęła Helena.

- Co tu się dzieje?!

Śmiech jeszcze trwał. Marek zaczął po swojemu wyklądać Heli przyczynę wesołości. Ta uśmiechnęła się z przymusem, a później ze źle hamowaną złością powiedziała szorstko:

- Naścia! Ty po trzy kubki roznosisz przez pół godziny, a reszta stygnie w kuchni!

- Nie mam dziesięciu rąk - odparła tamta hardo i podciągnęła piersi wyzywająco do góry.

Flor wstał w tej chwili, by jej pomóc. Marek i Kostek jeszcze się śmieli.

- No, dosyć już będzie tego! - Hela ruszyła przez salę do przeciwległych drzwi. - Jak wam nie wstyd rzeć jak konie, kiedy

tu człowiek... - weszła do drugiego pokoju, w którym leżał huzar. Pobyła tam jednak krótko i wróciła. Odchrząknęła.

- Umarł - powiedziała równym głosem.

Nastąpiła raptowna cisza. Trwała kilkanaście sekund, potem przerwał ją Kostek: wstał, rzucił niedopałek papierosa, przydeptał butem, niedbale pożegnał się z Leszkiem i wyszedł, dzwoniąc ostrogami.

30

Rano do kawy ze skondensowanym mlekiem dawano

chleb, pachnący pleśnią. Dwie kromki cienko krojone i pomazane ledwo dostrzegalną warstwą masła. Teraz Naścia kładła przed Leszkiem obydwie kawałki złączone, masłem do środka; z zewnątrz nie było można dostrzec, że smarowała je na pół palca. Leszek udał, że nie zauważył zmiany. Tym bardziej, że Naścia nie przejawiała jej poza tym w swym

zachowaniu. Była jak dawniej nierówna, tylko że częściej, niż przedtem, wpadała w wesołość.

Wielka zmiana nastąpiła dopiero szóstego dnia po śmierci Imzura. Wydawało się, że nastąpiła gwałtownie, jedyny tylko Stróż zauważył ją już zawczasu, prawie o całą dobę wcześniej.

Wyszedszy mianowicie z izby, usłyszał jak wrona na sąsiedniej topoli kraknęła jakoś szczególnie krótko i urywanie. Stróż pociągnął nosem. Od poczerniałej kory drzew szedł zapach, gdzie indziej nieuchwytny; laik poczytałby go po prostu za „zapach iliiia”, bo przecie mniej lub więcej, a każdy dzień rozpoczyna się innym zapachem. Stróż jednak powtórnie wciągnął powietrze w nozdrza i domyślił się. Na łodygach ostów, stojących za budynkiem łaźni, wieszły się szczygły. Strzegły podwórza, należącego do proboszcza cerkwi św. Mikołaja, gdzie zawsze tkwiły wysokie sagi drzewa opałowego,

z których dochodził głos sikorki.

31

Teraz nie mogło być już najmniejszej wątpliwości: był to szczebiot szczególny. Stróż ruszył z wiadrami do studni po wodę dla kuchni i myślał o tym, o czym się dowiedział. Nie miał jednak czasu z nikim się tą wiadomością podzielić.

A nazajutrz stała się rzecz taka: chmury zniknęły; przez nie myte okna szpitalne wdarły się do sali promienie słoneczne i zrobiło się jasno, jasno. Jedna ze słonecznych plam, przecięta krzyżami ram okiennych, padła na podłogę opodal drzwi. Zaraz też ułożył się na niej ryży kot Naści. Flor wstał wcześniej niż zazwyczaj, narzucił na ramiona bury szynel i wyszedł bez słowa. A gdy wrócił po krótkiej chwili, powiedział tylko:

-Ech!...

Nie czekając na stróża, sam wyniósł kubeł, a później pootwierał górne lufty okien. Przedostał się przez nie do pokoju prząsny zapach topniejącego śniegu. Do południa zaczęły spadać sopele lodowe z dachu i rozbiły się na chodniku ze szklanym trzaskiem.

W miasteczku tego dnia było cicho. Oddział wyruszył już przedtem w pochód. Pozostała tylko kancelaria i tabor. Flor ubrał się, poszedł na miasto i wrócił dopiero pod wieczór. Przyniósł pieczoną kurę na zimno i troszkę miodu w słoiku. Rozstawił wiktuały na krześle przed Leszkiem, sam usiadł jak zwykle w nogach łóżka.

- Podjemy sobie.

Jedli milcząc. Leszek chciał już kilkakrotnie wypowiedzieć zdanie zawczasu przygotowane, mianowicie: „No, co -wiosna?!”, ale za każdym razem miał usta wypchane jedzeniem i żałował

straty czasu na próżną uwagę. Z drugiej strony wstydził się żarłoczności, nie mógł jej jednak pohamować. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, jak bardzo wygłodzony jest jego cały organizm, żywiony jedностajną strawą polowej, a później szpitalnej kuchni. Poruszył więc kilkakrotnie palcami u nóg pod kocem, ale nie powiedział nic. Nagle Flor, obgryzając w palcach nogę kury, odjął ją od ust, spojrział w błękitne niebo za oknem i jakby dopowiadał zaczęte uprzednio zdanie: - Ech, puszcza... - Z prawego kącika warg spływała mu kropla tłuszczu na podbródek.

32

Leszek przełknął i przemógł się: - Ty ją znasz dobrze?

Flor wytarł brodę wierzchem dłoni. - Znam... Jak to powiedzieć... Dobrze? Puszczy dobrze znać nie można. Oho, puszcza! Żebyś zobaczył...

Gdy skończyli kurę, Flor przyniósł kawę z kuchni, wyjął chleb, pociął nożem na cienkie kromki i zaczął smarować miodem.

- Jedz na zdrowie. Tobie młodemu miód dobrze zrobi. - A później zaczął mówić beładnie: - Widzisz, puszcza, ona... jest, życie było, życie! Widzisz... nas w piętnastym roku wydzielili z różnych pułków w mały oddział, żeby zostać na tyłach niemieckich, gdy cała armia odstąpiła... Partyzantka? - przerwał Leszek.

Nie! Regularny oddział, jak się patrzy, zapięty na wszystkie guziki. Naturalnie chłopcy z biegiem czasu zdarli się, dyscyplina się rozluźniła, ale i tak za dużo jej jeszcze zostało, tej dyscypliny. Dużo ona ludzi nagubiła, dyscyplina ta. Ot, ten, co umarł, huzar... - Wskazał trzymanym chlebem na otwarte drzwi drugiego pokoju, a później okręcił chleb w palcach, żeby mu miód nie pociekł. - Ty swoją matkę, ojca szanujesz, kochasz? - Nie czekając odpowiedzi, ciągnął: - No, ma się rozumieć, ja od ciebie jestem starszy lat piętnaście, może więcej. Mnie nie wypada, jak to powiadają, ciebie młodego do grzechu namawiać. Ale za co ich szanować? Ot, weź chociażby tych - zrobił dyskretny ruch głową w kierunku łóżka Józika - szanuj takich iiiHomaków... Łodzio, on płacze po swoich, że ich w głowie zgubił. A może ojciec w tej chwili burdel w tamtym mieście trzyma, młode Żydówki po rublu za noc sprzedaje, skąd ty wiesz.

Wydaje się, że trzeba by wszystkich ludzi na całym świecie szanować bo każdy ma swoje dzieci. To samo dotyczy starszych wiekiem czy rangą. A na tym przecie dyscyplina polega i na tym się opiera: zetkniesz obcasy i wybałuszysz oczy jak litwan jaki. Koł w płocie ma więcej wyrazu niż żołnierz stojący na baczność!...

Mimo iż Flor mówił bardzo beładnie, Leszek słuchał go nie przerywając.

My w puszczy żyliśmy jak w raj. Zwierzyny, zwierzyny... A W rezerwacie jelenie, danielle, sarny... Mięsa, że przez całe

33

życie tyle nie widziałeś. A jak zaczęliśmy wymieniać mięso i skóry, to chłopci nam okoliczni i mąki, i kaszy, i nawet cukru przywozili. Niemcy, którzy stali w pobliżu, znali nas już. Z początku szły obławy, postrzelaliśmy troszkę. Później oni widzą, że nie dadzą nam rady, znów przycichli.

Huzarzy sobie, a my sobie. Ale cóż kiedy dyscyplina jednych na drugich szczuje. Nie dali żyć. W ten sposób i mnie na początku osiemnastego stuknęli pod łopatkę, ledwo płuca nie przebili. A później podebrali nieprzytomnego z puszczy i przywieźli do tego lazaretu. Tak i zostałem. Dokąd ja pójdę?... - Obliznął palce z miodu. - Ot widzisz, jak było. Później przyszła zawierucha. Huzarzy stali jakiś czas, później odstąpili, później znowu przyszli na zmianę i tak w kółko. Sam wiesz. Ale ten, co tu leżał, to też stuknięty był jeszcze w puszczy. Zaraz po mnie. Ciężko bardzo. Nie mogli go ruszyć ze szpitala. Robili jedną, drugą operację. Mieli zabrać do ich ojczyzny. Wciąż mieli zabrać, a widzisz, nie zabrali. Zapomnieli. On czekał i czekał. Pamiętasz, jak po Józika starzy przyjechali? Otóż ten huzar zawsze, jak tylko usłyszy, bywało, że ktoś jedzie ulicą, myślał, że to może po niego. A tymczasem ostatni poszli sobie, jak wy przyszliście. Zapomnieli. Naród akuratny, a jednakże widzisz, jeden człowiek mało liczy się nawet dla akuratnych. A nie byłoby tej dyscypliny, człowiek by żył. Tak, tak... - zamyślił się. - Puszcza, puszcza... Gdzie tam! Poznać ją całą! Wieku ludzkiego za krótko.

- Zielona? - spytał Leszek.

- Zieloona... tak. - Ocknął się z zamyślenia. - Dobrze mówisz, że zielona. - Wstał ociężale, przeciągnął się. - A gdzie to Marek? - spytał, spojrzawszy na jego puste łóżko.
- Chyba na górę poszedł, do Heli. Przystawia się. Flor machnął ręką lekceważąco i ziewnął.
- Naturalnie, że w jego stanie... - zaczął Leszek
- Nie tylko dlatego, a w ogóle. Nie da rady.
- A co ona, taka cnotliwa?
- Nie... Nie cnotliwa... - odparł niechętnie.

Lodzio ubierał się właśnie, żeby wyjść na miasto. Flor zauważył jego krzątanie i kiwnął nań palcem. Poszli razem na drugi koniec pokoju, gdzie przy łóżku stała szafka Flora,

34

przerobiona ze starej amunicyjnej skrzyni. Otworzył ją z kluczyka, wydobyl parę butów z długimi cholewami, jakie nosiła kawaleria niemiecka. Z przyzwolenia Heleny zabrał je sobie po śmierci huzara.

Lodzio już ubrany, przysiadł bokiem na łóżku Józika. Obaj przyglądali się bez słowa, jak Flor dłutkiem, ostrożnie, by nie uszkodzić obcasów, odrywał przybite do nich na głucho, gwiazdkowe, bezdźwięczne ostrogi. W monotonii dnia była to jedyna czynność, która odbywała się w tym pokoju, i Józik skupił na niej całą swą uwagę. Flor rzucił oderwane ostrogi, wydobyl worek, zawinął weń buty, wręczył je Lodziowi. Widocznie dla jakiejś przyczyny nie chciał ich sam sprzedawać. Wreszcie uderzył go po ramieniu:

- Ja wiem, ty, Lodzio, jesteś dobry geszeftsman! Dla ciebie dziesięć procent.

Lodzio kiwnął poważnie głową i wyszedł z workiem pod pachą. Józik przewrócił się na drugi bok. Flor usiadł na swoim łóżku, podniósł z podłogi jedną ostrogę i w zamyśleniu końcem ostrej gwiazdki dłubał w brudnych paznokciach rąk.

35

Od tego dnia wypadki zaczęły się toczyć szybko.

Dawno, już, bardzo dawno, miasteczko nie pamiętało tak wczesnej wiosny. Słońce świeciło. Śnieg na jezdni zrobił się żółty od roztopionego nawozu końskiego, potem bury, następnie prawie czarny, a bokami w rynsztokach płynęła woda, bulgocąc i kręcąc się; niosła puste pudełko od zapalek, podrzucając nim tak szybko, że nie poznać po wirujących znakach, który z monopoli państwowych je produkował. Na stokach zaczęła wyłazić ziemia. Płoty obeschły pierwsze.

W czwartek, 27 lutego, było już tak ciepło, że w południe można było siedzieć w ogródku na ławce. Spod muru wyłaziła zielona trawka. Na gałązkach bzu pojawiły się zgrubienia, zapowiadające pączki. Niebo było wciąż koloru jasnoblękitnego, a gdy Leszek zwrócił na to uwagę, Flor jakąś obcą sobie, prawie dziecinną intonacją w głosie, porównał jego kolor do oczu Heleny.

Teraz ciągle mówił o puszczy. Razu pewnego, gdy siedzieli z Leszkiem owinięci w szynele na ławeczce, nieoczekiwanie przyszła Naścia. Na fartuch szpitalny narzuciła ciepłą chustkę i siadła obok Leszka, robiąc szydełkiem i przysłuchując się opowiadaniom.

36

Flor skręcił cygaretkę i zaczął ślinić bibułkę; później zapalił i patrząc kędyś ponad sady, ciągnął jak w transie: -Idziesz sobie trybem leśnym, zupełnie jakby korytarzem. Drzewa wysookie. Cień. Dzieciół kuje. Postoisz, słyszysz jak drzazdeczki cicho spadają.

- A są dzikie kaczki, gęsi? - spytał Leszek.

- Kto, kaczki?! Ha, na błotach, przy rzece, a zwłaszcza wiosną, to jak żaby! Kwa-kwa-kwa... Ze wszystkich stron. Gęsi jak ciągną jesienią, to my z ukrycia, bywało, z karabinu maszynowego puścimy serię, drugą po nich, po gęsiach! Zawsze, to któraś spadnie. Potem na rożen. Tłuszcz cieeeeknie... W ziemiance ciepło; palce sobie oblizujesz z tłuszczu, ogień się pali. A spojrzysz w otwór ziemianki: noc wokół, cieemno. Wyciągniesz sobie nogi wygodnie na podeschłym mchu; mech grzybami pachnie. Życie.

Naścia, nie podnosząc głowy znad robótki, wtrąciła:

- Ale w nocy chyba straszno tak siedzieć w lesie.

Flor wypuścił strugę dymu przez nos. - Mówisz, Naścia, nie znając się na rzeczy. Cóż może być bezpieczniejszego dla człowieka niż las. A już zwłaszcza w nocy, po ciemku. Na polu może

straszno, to owszem, przyznaję. Idziesz i nie wiesz, czy ktoś ciebie spod krzaku jakiego czy rowu nie obserwuje. Ale jak dopadłeś tylko lasu, to jak igła w sianie. Nikt ciebie nie widzi. Schowany jesteś. Sam jesteś, a czy słyszałaś, żeby człowiek sam sobie co złego zrobił? Bezpiecznie. A ty mówisz: "straszno"! Głupstwa gadasz i tyle.

Niespodziewanie Naścia odłożyła robótkę, wtykając ostrożnie szydełko w kłębuszek, aby nie wypadło, i wyciągnawszy ramię, objęła nim za szyję Leszka.

Wszystko jedno, a my byśmy się bali, nawet razem, nie? - szepnęła.

„Co ją raptem natchnęło do zrobienia tego ruchu? Skąd jej się to raptem wzięło?” Tyle zdążył pomyśleć Leszek i siedział z jej ręką na szyi, śmiesznie sztywno, niezgrabnie jakoś, z zakłopotanym uśmiechem na twarzy.

Naścia, ty zwracaj uwagę - powiedział Flor. - Bo jak Hela zobaczy...

A cóż to ona mnie!... Zabroni?!

37

a - Zabroni-nie-zabroni, a wreszcie może i zabroni. Naścia zdjęła rękę i wpadła w złość:

- Już ty tylko swego nosa nie suń, gdzie nie twoja rzecz! Stary plotkarz.

- Ja nie plotkuję, Naścia - odpowiedział spokojnie. - Ja tylko tak sobie mówię. Tylko tobie mówię.

- Zaczął teraz o tej puszczy gadać w kółko, to i wracaj skąd przyszedłeś. Nikt ciebie tu nie trzyma.

Zdrów jesteś. - Podjęła robotę z kolan i zaczęła szybko robić drutami. - Wiosna, to więc idź. Kiedy tam tak pięknie.

Leszek wtrącił: - Pewnie, że pięknie. Tak - W błocie siedzieć! - mruknęła Naścia. - Może i trzyma...

- Flor patrzył w ziemię.

Leszek nie rozumiał, o co im właściwie chodzi i dlaczego się kłóć.

- Jak ona trzyma, to leż na swoją Helkę, ja tobie nie przeszkadzam.

- O czym tu gadać. Sama wiesz.

- Co ja wiem, to nie twoja rzecz!! - krzyknęła w pasji. - Ale jeżeli ty choć słowo... - urwała raptownie.

Od bramy wewnętrznej zbliżał się powolnym krokiem Józiuk. Wszyscy spojrzeli w jego stronę i przyglądali mu się w milczeniu, które raptem nastąpiło.

Po odbytej operacji zdrowie powracało doń z jakąś niesamowitą wprost szybkością. Prawie każdego następnego dnia wyglądał coraz lepiej. Policzki pod skórą wypełniły się i znikł dawny wygląd nagiej ludzkiej czaszki. Dopiero teraz można było rozpoznać, że był to chłopak wcale nie tak młody, jak się wydawało poprzednio, ale już dorosły, w każdym razie liczący ponad dwadzieścia lat. Operacja nie była ciężka, ale fenomenalne tempo rekonwalescencji wzbudzało podziw nawet w doktorze. Przychodził codziennie i przystając przed jego łóżkiem, patrzył ciekawie. Z wyrazu oczu poznać było, że nie człowiek go interesuje i może nawet nie tyle kliniczna strona fenomenu, ile po prostu sprawia mu instynktowną przyjemność obserwowanie własnej kreacji. Czasem uśmiechał się nawet do leżącego, jak zwykł uśmiechać się ogrodnik na widok niespodziewanie szybko rosnącego kwiatu w doniczce.

38

- Dobry człowiek - powiedział o nim kiedyś Józiuk, gdy lekarz wyszedł.

A Flor w odpowiedzi: - Cóż chcesz. Raz ciebie zrobił ojciec, a drugi raz doktor.

- To nie doktor, to wiosna - zauważył Marek, którego nawiedzały również chwile rozmarzenia.

- Poetą się robisz, co? - wtrącił Leszek.

- I doktor, i wiosna. Też dobra para - przytaknął pojednawczo Flor. A na drugi dzień przyniósł gałązkę wierzby pokrytą świeżymi baziami, wsadził w słoik z wodą i powiedział do Józiuka: - Masz, to od twojej... matki.

Teraz Józiuk zbliżał się do siedzących na ławce z pewnym wahaniem, jak człowiek, który boi się przeszkodzić innym swoją obecnością. Flor na jego widok zmrużył oczy, a kąciki ust drżały mu z lekka, na znak, że ma przygotowany dowcip i ociąga się tylko z jego wypowiedzeniem.

- Ty, Józiuk... - zaczął wreszcie. - Ja wiem, gdzie twój stary wkopał „obrez” w drewni, koło studni, nie wiesz? Jutro pójdziemy z tobą, wykopimy i na... jelenie!

Józiuk uśmiechnął się blado. Widać było, że na nogach trzyma się jeszcze bardzo słabo.

Z okna pierwszego piętra, nie zauważona przez nikogo, patrzyła na nich Helena. Obserwowała w ten sposób już od dłuższego czasu. Potem odeszła od okna, nie śpiesząc się przemierzyła pokój i krokiem dziwnie ocieężalym zaczęła wolno schodzić w dół po drewnianych schodach.

W niedzielę, 2 marca, na tych samych schodach rozegrała się następująca scena:

Hela, wystrojona jak do kościoła, zatrzymała spotkanego przypadkowo Flora, zawahała się chwilę i wreszcie spytała odwracając twarz:

Do cerkwi dziś nie idziesz? - Flor był prawosławny.

Nie - odparł wymijająco. - Co ja tam będę robił? - ujął za klamkę od drzwi do pokoju chorych.

Słuchaj... Ten... twój przyjaciel... - urwała.

Ja nic nie wiem - wruszył ramionami i otworzył drzwi.

39

Wtedy Hela minęła go i wyszła na ulicę. Miała na sobie niebieski kostium o kroju wprawdzie wyszłym już z mody tam, hen, na zachodzie Europy, ale schludny, który leżał na niej doskonale i był wiosenny. Poza tym każdy przyznawał, iż było jej bardzo do twarzy w niebieskim kolorze. Przez lewą rękę przewieszoną miała torebkę ze sztucznej skóry, a w prawej dłoni trzymała książkę do nabożeństwa, którą jej podarowała matka wiele lat temu, gdy Hela była jeszcze zupełnie małą dziewczynką.

40

Mimo iż Anastazja wydawała się w swoich słowach i odruchach zupełnie nieobliczalna i ulegająca jedynie niespodziewanym kaprysom, wykazała tym razem daleko pominiętą ostrożność. Gdy umówiła się z Leszkiem, że spotkają się poza szpitalem, uczyniła wszystko dla zachowania możliwych pozorów. Miała wyjść wcześniej i czekać nań za długim rogiem ulicy na prawo. Stał tam dom o starej zamurowanej w głębi wnęce, gdzie można się było ukryć i

obserwować przechodniów. Leszek od czasu pobytu w szpitalu po raz pierwszy spróbował wyruszyć do miasteczka. Bardzo wychudł. Mundur wisiał na nim jak na kołku i zmuszony był mocno docisnąć pasa. Flor wywiercił w tym pasie nową dziurę, obciągnął mundur na jego plecach i pokiwał głową z wyrazem współczucia. Chciał mu towarzyszyć na tym pierwszym spacerze, ale Leszek wymówił się pod kiepskim zresztą pretekstem, że zateęsknił za chwilą samotności. Flor udał, że go rozumie.

Drewniane chodniki na zbutwiałych podkładach uginały się leciutko pod stopami, i to przyprawiało Leszka o zawrót głowy. Nogi stawiał ostrożnie i patrzył przed siebie. Od umówionego rogu Naścia poprowadziła go ulicą w dół, trzymając pod rękę. Następnie skręcili pierwszym zaułkiem w lewo

41

i zatrzymali się przed parterowym, drewnianym domem, starym, osiadłym głęboko w ziemi. Wchodziło się przez furtę w omszałych wrotach, podobnych do wszystkich innych wrót tego miasteczka, to znaczy zbitych z nieheblowanych desek, przybierających z biegiem lat kolor szarozielonkawy. Za wrotami szczekał piesek z zakręconym do góry ogonkiem i stała wielka kałuża wiosennej wody; nagie gałęzie pobliskich drzew odbijały się w niej ciemno jak w zakopconym szkłe. Kilka cegieł ułożonych w poprzek umożliwiło przejście.

- Bobik! - krzyknęła dziewczyna na pieska. - Poszedł won! - Piesek nie poszedł, ale przestał szczekać i zamachał ogonkiem.

W tym domu mieszkali rodzice Naści. Wnętrze izby było ubogie. Rzucana się jedynie w oczy większa ilość obrazów świętych i wysoki stos poduszek na jednym z dwóch łóżek. Ojca nie było. Matka, kobieta jeszcze niestara, sucha, o rysach dziwnie ostrych, w których z trudem zaledwie można by się dopatrzeć wspólnych cech z córką, przyjęła wizytę obojętnie. Pies wśliznął się ostrożnie i obwąchiwał buty Leszka bardzo starannie, jakby zamierzał dobrze je sobie zapamiętać na przyszłość.

Leszka mdliło. Nie wiedział, co ma powiedzieć na przywitanie, ani jak się zachować. Złościło go

to, że przestępując próg uderzył niebacznie ciemieniem w górny uszak drzwi. Mimo woli sięgał ręką, aby wymacać guz i, dziwne, pamiętał ze specjalną wyrazistością, że na drzwiach, bardzo jeszcze wyraźne pozostały znaki po święconej kredzie, wypisane na cześć trzech króli: K+M+B. Gdy matka wyszła po drewno do pieca, Naścia nie objęła go rękoma za szyję, jak to miała w zwyczaju, ale wsadziła mu je w rozpięty mundur, przytuliła się i zaczęła prędko całować w usta. Ręce jej były raczej zimne i trochę wilgotne. To było wszystko. O uprawianiu innej formy miłości nie mogło być mowy w tej sytuacji. Zresztą, zaraz wróciła matka. Napili się herbaty i po upływie godziny wracali do szpitala: Leszek milczący, Naścia jak gdyby zawiedziona i pochłonięta myślami. Dopiero żegnając się, przezornie o kilka domów przed szpitalem, ocknęła się:

42

- Już ja wiem - powiedziała - jak my zrobimy w przyszłości...

Leszek chciałby zapytać ją właściwie, co dziś będzie na podwieczorek, ale zaniechał w ostatniej chwili. Byłoby to zbyt prozaiczne zakończenie ich pierwszego sam-na-sam.

Zdawało się, że nikt w szpitalu nie domyślał się ich tajemnego spotkania na mieście. Wieczorem, jak zwykle, przysiadł się Flor i snuł dalej opowiadania o puszczy. Leszek słuchał ich z coraz wzrastającym zainteresowaniem. Układał się zazwyczaj wygodnie, przymykał oczy i zdawało się mu, że pod sklepieniem powiek dostrzega zielone sklepienie lasu.

Flor opowiadał, jak polował na dzika i nagle: - Ty widziałeś jak księżyc świeci, a wszystkie liście w rosie? A ziemia pachnie, ech! - urwał. Ponieważ milczał długo, więc Leszek nie unosząc powiek, mruknął:

- No, i co z tym dzikiem?

Ale Flor nie zwrócił uwagi na pytanie. Podjął, jakby rozmawiał ze sobą:

- Cisza, cisza, ale to tylko się zdaje, w uszach tylko. Bo wsłuchasz się: szum cichutki, bez wiatru, a szum.

- Od czego? Oddycha. Kto?

Puszcza, kto! Na wietrze to mówi się, że gada, choć ja tam nie wierzę, żeby drzewa gadały. Ale jak cisza, to fakt, że słyhać, jak oddycha. Bo oddychać musi każdy, i zwierz, i roślina, i komar.

Komarów dużo?

Jest tego brzękadła pełno. Ma się rozumieć, zależy w jaką porę. Ja miałem swoją babę we wsi Pieski, to na samym południowym skraju. Sosna. To tam komarów prawie nie było wcale, sucho. - Przerwał, zamyślił się i dodał:

- Mili ludzie; biedni. Grykę siali. Kasza... A ja lubię kaszę gryczaną.

Ja wiem, lubisz. Z masłem czy skwarkami. A spróbowałbyś postnej na co dzień! No, w tych czasach, to ja wnosilem im do chaty różnych różności.

A co się stało z nią, z tą...

43

- Żyje. Nic się nie stało. Nazywali ją Luba.

- Ładna?

- Cycki, jak u naszej Heli... To niedaleko od jego wsi - wskazał ruchem głowy na łóżko Józiuka. - Kiedyś może zajdę jeszcze tam.

Leszek przeciągnął się: - Żeby to już raz być zdrowym...

- Nie śpiesz się. Wyzdrowiejesz i tak jeszcze za wcześnie. Do życia się śpieszyć, to jak na własną zgubę. A w szpitalu - to urlop od wszystkiego.

Marek był trochę urażony powodzeniem Leszka u Anastazji. Nie chodziło mu o nią, sam od dawna już kochał się w Heli, ale Leszka uważał za słabeusza do niczego, a siebie za zucha na schwał. Przy tym nie uszło jego uwagi, jak bardzo niechętnie patrzyła na to Hela. Zrodziło się w nim więc podejrzenie, czy aby nie jest zazdrosna i czy jej też Leszek nie wpadł czasem w oko. Wyraźnie, gdy przychodziła, zwracała większą uwagę na Leszka niż na kogo innego, choć była w stosunku doń coraz bardziej oziębła. Ale - myślał - może tak czyniła dla zachowania pozorów albo na złość, albo z takiej taktyki kobiecej, o której Marek niedużo jeszcze wiedział. W każdym razie po cóż by go wyróżniała, chociażby negatywnie? A że wyróżniała, to fakt. Nieraz zauważył, jak obserwowała go spod opuszczonych rzęs. O Flora nie dbał wiele, sam nie zdając sobie sprawy, dlaczego.

Lekceważył. A Leszek, szczeniak zupełny, a jednak... Tak myśląc, nie mógł zasnąć w nocy, zresztą od ciągłego leżenia sen uciekał. Słyszał, jak Leszek wstał, narzucił płaszcz, wciągnął spodnie, buty na boscie nogi i wyszedł za swoją potrzebą. Mimo woli czekał, że zaraz usłyszy go idącego z powrotem, ale mijały minuty, kwadrans już chyba, więcej, może pół godziny... Nie wracał. - Zemdlął może: z niechęcią pomyślał o obowiązku pójścia z pomocą. Starał się zasnąć. Minęła godzina. Leszka wciąż nie było. Wtedy straszliwe podejrzenie zaczęło przybierać kształty realne: Marek przypomniał sobie nagle, że przecie słyszał, jak tego wieczoru Anastazja zapowiedziała, że idzie spać do rodziców... A więc Hela jest sama. Zerwał się, siadł na łóżku. Józsiu z prawej strony spał spokojnie. Lodzio spał i sapał przez nos. Zwykła noc w

44

szpitalu, a za oknami cisza miasteczka, cisza grobowa. Raptownie pomiędzy tę ciszę i sapanie Lodzia wkradł się inny odgłos: bardzo ostrożne, jakby czające się kroki na górze, a później wyraźniejsze już poskrzypywanie drewnianych schodów pod ciężkimi widocznymi stopami. Wtedy Marek spuścił nogi i począł gorączkowo wciągać spodnie. Ręce mu drżały. Zapiął tylko górną sprzączkę w pasie i z niezapiętym rozporkiem, w koszuli, boso, zmierzał do drzwi. Ale ktoś jeszcze nie spał w tym pokoju, a był nim Flor. On też usłyszał leciutkie skrzypienie schodów pod stopami i domyślił się widocznym, czyje to były stopy. Leżał jednak nieruchomy i dopiero gdy Marek zaczął wciągać spodnie, uniósł nieznacznie głowę znad poduszki. Jeszcze kilka sekund przetrwał w tym stanie, ale gdy Marek zbliżał się do drzwi, raptownym ruchem odrzucił koc i tak jak był, w kałesonach, wyskoczył biały w mroku i ciężki na pozór, ale cicho i zwinnie jak kot. Zastąpił drogę Markowi i szepnął głucho:

Poczekaj. Marek zatrzymał się w pierwszym odruchu, następnie zahał się i chciał Flora usunąć z drogi. Ten jednak ujął go za rękę, ścisnął w palcach, zrobił z nim razem krok do drzwi i

szepnął raz jeszcze poprzez zwarte zęby:

Poczekaj. - Miał dłonie twarde i nieustępliwe. Przytrzymał Marka, potem odepchnął go lekko, otworzył drzwi, wyszedł i zamknął je za sobą z drugiej strony na klucz. Wszystko to robił w mgnieniu oka.

W tej samej chwili Hela, która schodziła na palcach po schodach, była już na dole w drugim końcu korytarza przy drzwiach prowadzących do pokoju, w którym stało kilka łóżek nie funkcjonującego obecnie, dawnego tzw.

oddziału kobiecego. Musiała zapewne też nie spać tej nocy czy słyszeć, czy może od razu powzięła podejrzenie, gdy jej Naścia z wieczora oświadczyła, że idzie na noc do rodziców...

Otworzyła drzwi gwałtownie z ciemnego korytarza i przekreśliła kontakt tuż na ścianie. Była tam słaba żarówka, płonąca migotliwym światłem miasteczkowej elektrowni,

I w tym momencie zdawała się zalewać pokój przeraźliwie jasnością. Naścia zdążyła jedynie wykrzyknąć

45

zdużonym głosem: „Ach!"" i stoczyła się instynktownie na drugą stronę łóżka. Leszek zerwał się, podciągnął spodnie i jednocześnie zawstydzony, wściekły, zmieszany, robiąc minę obrażoną, stanął na równe nogi. Pchany również bardziej odwiecznym instynktem obrony swej kobiety, niż zdając sobie sprawę z jakiegokolwiek konkretnego zamiaru, postąpił dwa kroki, zagradzając sobą przejście. Zanim jednak zdążył wydusić z siebie jedno słowo, Helena błyskawicznym uderzeniem, z całego rozmachu ręki cięła go w twarz. Uderzyła nie otwartą dłonią, ale jej ostrym kantem jak szablą, na ukos w lewo! Leszek zachwiał się, ręką przytrzymał za poręcz łóżka i upadł na jedno kolano

- Ty! - krzyknęła Naścia, porywając się z twarzą wykrzywioną nienawiścią

- Przeszła przez Leszka i zdawało się, że się rzuci z pazurami do oczu Heli, ale powstrzymał ją ich straszliwie mrozący wyraz. - Twarz Heli była zupełnie biała. Wargi sine i zaciśnięte, ręka Jeszcze wyciągnięta do przodu... I właśnie w tym momencie wkradł się cicho Flor.

- Daj spokój, Helena - szepnął, ujmując ją z tyłu za ramiona. Jego twardy, gruby, głos nie nadawał się do cichej, pieszczotliwej perswazji, z jaką usiłował przemówić, dlatego brzmiał nieudolnie i sztucznie. - Nie trzeba, nie trzeba... No, cóż takiego... Tylko bez hałasu, cicho. - Objął i zawrócił nią, dziwnie nagle podaną i zwiotczałą.

Leszek wstawał, trzymając się wciąż poręczy. Flor wyprowadził Helinę, ale ledwo przestąpiła próg, osłabła, usiadła na stopniu schodów, i ukryła twarz w dłoniach. Pochylone plecy poczęły drgać, wydawała jakiś piszczący dźwięk, podobny do zranionej kotki i zaczęła szlochać. Flor stał przed nią i ostrożnie dotykał palcami jej włosów. I oto w tej chwili stała się rzecz najmniej spodziewana. Naścia minęła Leszka, siadła na stopniu obok Heli, otoczyła ramieniem i przytuliła swą twarz do jej policzka; potem zaczęła ją gładzić po włosach, po ramieniu, po plecach, a gdy tamta wstrząsana zduszonym łkaniem, nie odrywała rąk od twarzy - Naścia odchyliła pukiel jej jasnych włosów na skroni i jęła naszeptywać coś do ucha, coś, czego nikt nie mógł dosłyszeć.

46

Poprzez otwarte drzwi padało na klatkę schodową czerwonawe światło żarówki z pustego pokoju. Leszek usiadł na zmietym łóżku i wciągał buty. Nikt nań nie zwracał uwagi. Właśnie gdy sięgał po szynel, który spadł był na podłogę... gwałtowny łomot wstrząsnął nastalą ciszą.

Raz, drugi mocniejszy, trzeci... Hela odjęła twarz od dłoni. Co to?

- szepnęła wylekła Naścia.

To pewnie ten... - mruknął krzywiąc się Flor. - Jeszcze Jego tu brakowało.

- Zwrócił się w kierunku sali chorych. W tej chwili za czwartym uderzeniem czymś ciężkim, zamek zgrzytnął, klucz wyskoczył.

Bo zdarzyło się tak, że Marek, zamknięty przez Flora, stał tylko chwilę jak ogłupiały, następnie wrócił do swego łóżka, sięgnął po karabin i podszedł do drzwi. Przez czas jakiś jeszcze nasłuchiwał. Słyszał szmery i głosy, których nie mógł zrozumieć. Później doszedł go wyraźny, choć przytłumiony płacz Heli. Ujął ręką za klamkę, spróbował: nie puszczała, drzwi były zamknięte. Wtedy ogarnęła go wielka pasja. Z całej siły uderzył kolbą w zamek. Józiuk przebudzony siadł na łóżku z szeroko otwartymi oczami. Przerażony Łodzio nakrył głowę kołdrą. Zamek pękł za czwartym uderzeniem i Marek wpadł na korytarz. Pierwsze co ujrzał była ta sama biała postać Flora idąca mu naprzeciw. Pochwycił on jedną ręką za lufę karabinu i powiedział do Marka sucho:

No, czego awantury po nocy robić? A?

Ja ttobie...a wwantury... ty... - wykrztusił przez zęby

Marek i zarepetował karabin. Flor chciał odpowiedzieć, ale nie zdążył, skupiwszy całą uwagę nie na twarzy Marka, a na jego palcu, który przesunął bezpiecznik. Nie miał do stracenia sekundy:

pociągnął za lufę i pchnął karabin wstecz, chciał go chwycić, ale tamten trzymał mocno, choć utracił uchwyt cyngla.

Flor pchnął raz naprzód, drugi wstecz, słyhać było przez chwilę krótki charkot walczących ze sobą ludzi, potem wyrwał broń i uderzył kolbą w szyję z taką mocą, że Marek runął na wznak jak worek, uderzając potylicą w okuty próg gabinetu doktora. Jęknął i zrobiła się cisza.

Cisza, cisza. Za oknami, na ulicach miasteczka, też nic, wielka cisza.

47

Pierwsza szepnęła Naścia: - Jezus Maria... - A później łapiąc oddech: - Ach Boże... Ach Boże...

- Cccicho... - syknął Flor. Powstał, patrząc na leżącego.

- Ach Boże... Ach Boże... - szeptała Naścia jak w pacierzu.

- No i co? Umierającego nie widziałas! A jeszcze pielęgniarką się nazywa.

Helena zbliżyła się, stąpając cicho w pończochach, z chusteczką przy ustach. W mrocznym korytarzu nie było widać jej twarzy. Pochyliła się nad Markiem milcząc. Zawsze potulny w jej obecności Flor, komenderował teraz jak na polu bitwy:

- No, dalej, dziewczęta. Nie ma się czego rozmazywać. Do roboty - mówił świszczącym szeptem. Sam ujął leżącego pod ramiona i kazał Heli wziąć go za nogi. Wnieśli do pokoju; ręce Marka zwisały, bezwładnie dotykając podłogi. Minęli jego dawne łóżko i przenieśli do drugiej sali dla ciężko chorych, gdzie umarł był huzar. Naścia prędko podesała poduszki i pobiegła po opatrunki. Józiuk udawał, że śpi. Łodzio leżał wciąż z głową nakrytą kocem. Flor wrócił do sieni, podniósł karabin z podłogi, rozładował, obejrzał, chciał sprawdzić nazwę fabryki i datę wyrytą na zamku, ale było ciemno; poprawił więc tylko rzemień i odstawił na dawne miejsce. Leszek poszedł do ustępu i ciężko wymiotował. Następnie powłókł się do swego łóżka i zwałił nań jak nieżywy. Ciągle jeszcze nikt nie zwracał na niego żadnej uwagi.

48

Nazajutrz w słonecznym czworokącie okiennego odbicia na podłodze wygrzewał się kot Naści i mrużył z lubością oczy. Dozorca, który o świcie przychodził z oficyny, aby napalić w piecach, zauważył ze zdziwieniem, że drzwi dawnego oddziału Kobiecego są uchylone i pada stamtąd rdzawe światło żarówki. Przekreślił kontakt i drzwi zamknął.

Leszka z ociężałego snu wyrwał głos Flora: - Ech, życie... Ocknął się. Z sąsiedniego pokoju dosłyszał ciężki, chrapliwy oddech i w pierwszej chwili wziął go za oddech huzara, zanim uprzytomnił sobie, że tamten już dawno umarł. Wtedy przypomnienie wypadków ubiegłej nocy wyrosło w jego pamięci, ogromne, straszne i zaraz opadło na piersi, przygniatając jak kamień. Odwrócił twarz, unikając wzroku Flora, ten też patrzył gdzie indziej. Dopiero po dłuższej chwili przysiadł się starym obyczajem na łóżko.

No, co? - powiedział. - Widzisz, coś narobił, co? Leszek nie od razu odpowiedział:

Co to wszystko znaczy?... Ja, ja nie rozumiem... Powiedz, co... boja...

I Flor pokiwał głową.

Nie rozumiesz, to ja dobrze widzę, że nie rozumiesz.

49

- Ale dlaczego ona?... To jest one...

- Ech, one żyją przecież ze sobą.

Leszek zamrugał powiekami. Nastąpiło milczenie. Flor spojrzął za siebie, by sprawdzić, czy tamci śpią jeszcze.

- Jak to?... - wyjąkał Leszek.

Flor nie miał ochoty odpowiadać, a w następnej chwili zajechała furmanka i zatrzymała się przed wrotami szpitala. Uniósł się tedy, by wyjrzeć oknem, a później bez słowa wyszedł i zniknął w sieniach. Jak zwykle, gdy chorego przywożono do badania lekarskiego, pomagał dozorczy we wnoszeniu. Był to stary człowiek, nieprzytomny już, którego wnieśli do pokoju dla ciężko chorych i położyli na drugim łóżku obok Marka.

Lekarz przyszedł jak zawsze punktualnie i zaraz zabrał się do operowania najpierw przywiezionego starca. Stan pacjenta był beznadziejny.

Flor przyniósł wiadomość:

- Bardzo stary. Żeby był młodszy, może by jeszcze żyzył. A tak... nie da się nic zrobić. Głuchy jakiś Żyd.

- Co mu jest? - zainteresował się Łodzio.

- Głuchy. Szedł do waszej bóżnicy dziś o świcie. Nie dosłyszał wołania i dostał kulą pod zebra. Że też starym zachciewa się jeszcze moodlić koniecznie!

- Dlaczego to starym nie można się modlić?

- Dlatego że stary winien być mądrzejszy od młodego. Leszek nie wtrącał się do rozmowy tamtych.

Stary Żyd umarł, nie doczekawszy południa. Ten drobny incydent odwrócił nieco uwagę od głównego pacjenta, jakim był w tej chwili dla szpitala Marek. Flor podjął się wytłumaczyć lekarzowi przebieg wypadku: „Ktoś w nocy zamknął dla żartu drzwi z zewnątrz. A może przypadkowo. Marek chciał wyjść do ustępu, zaczął szarpać, wpadł w złość, pchnął z całej siły,

zamek się podciął raptownie, a on stracił równowagę, potknął i zwałił całym ciężarem, uderzywszy głową o próg przeciwległych drzwi. Fatalny wypadek". Lekarz słuchał opowiadania z roztargnieniem. Stwierdził pęknięcie czaszki, wstrząs mózgu i częściowy wylew krwi. Marek nie odzyskiwał przytomności, a doktor nie wypytywał o żadne bliższe szczegóły. Dokonał automatycznie niezbędnych zabiegów i zdjął kitel, wieszając go na drewnianym wieszaku.

50

Umrze. Czaszka wstrząśnięta jak główka maku. - Zaczął myć ręce. Śpieszył się dokądś, choć było wcześniej. Przez uchylone okno dochodził wesoły pogwar wróbli i świeże powietrze, ciągnące od wilgotnej ziemi ogrodów. - Trzeba będzie zawiadomić władze. Jego władze wojskowe. Nie wiem, czy one zechcą przeprowadzać śledztwo, czy nie. - Zaczął wkładać marynarkę, gdy Helena, która przez cały czas milczała, jakby od niechcenia zwróciła mu uwagę, czy by nie zechciał zbadać jeszcze tamtego drugiego ułana.

- Którego?

- Leszek, czy jak go tam nazywają.

- A co mu się stało?

- Nic nie stało, tylko — odparła, nie podnosząc oczu znad instrumentów, które myła - czy nie czas już jego wypisać?

Zdaży się, zdaży się jeszcze. - Wziął kapelusz. - Jutro zbadam - i zamknął drzwi za sobą.

Wszyscy tego dnia krążyli po szpitalu na palcach. Flor, który od rana nie mógł znaleźć sobie miejsca, przysiadł się w końcu do Lodzia i trzepnął go po ramieniu z udaną jowialnością.

Oj - syknął tamten.

Lodzio, ty chcesz być geszeftsman, ale taki prawdziwy? - Spytał go półgłosem. Nu.

Nie „nu”, ale powiedz, czy chcesz? Nu.

No jeżeli chcesz, to powiesz, że ty dzisiejszej nocy wychodziłeś do sieni i tak sobie, bez zastanowienia, rozumiesz, i tobie coś zdało się nagle... Sam nie wiesz dlaczego, zamknąłeś za sobą drzwi na klucz. I po co?

Jak to po co! - Flor podniósł głos. - Nie pamiętasz po co. Ty przecie pamięć tracisz, nie? Jakby tobie jakaś czarna zasłona przed oczami staje. - Flor rozczapierzył palce, trzymając je przed twarzą, i pokazał jak. - No więc właśnie. A ja już

51

o tobie nie zapomnę... - Błysnął okiem. - Zrozumiałeś? Interes?

- Mogę powiedzieć - odparł niechętnie Lodzio.

Marek męczył się bardzo i zmarł o dziesiątej rano dnia następnego. Gdy przyszła agonía, Flor kucnął przed szafą jego dawnego łóżka i przeglądał rzeczy. Hela, przechodząc przez pokój spojrzała na jego zabiegi i nie zatrzymując się, rzuciła:

- Trzeba będzie oddać.

- Ja wiem, ja wiem - spieszenie przytaknął Flor, nie odwracając głowy. Posegregował bieliznę i niektóre drobiazgi. Część wpakował z powrotem, a co lepsze zawinał w mały węzełek. Wszystko to robił ze zwykłą u niego metodycznością. Następnie wstał i mruknął do nikogo:

- Jemu te łachy na tamtym świecie niepotrzebne już będą, a nasz Lodzio całych kalesonów nie ma. I koszula śmierdzi, że podejść nie można. Masz

- wręczył mu węzełek. - Zanieś tam do swoich w miasteczku, niech upiorą czysto i będzie twoje.

Tak się też stało.

Pod wieczór przyszedł z kancelarii taborów starszy wachmistrz, zawiadomiony oficjalnie o śmierci jednego z ułanów. Postął przed łóżkiem nieboszczyka i długi czas nie wiedział, co ma powiedzieć, ani nawet, co robić z rękami. Być może ta własna niezaradność na oczach wszystkich najbardziej go podrażniła; poza tym zdawał sobie sprawę z wynikających kłopotów związanych z pogrzebem i pisaniną w kancelarii. Flor zdał mu raport z przebiegu zdarzenia i fatalnego wypadku. Mówiąc trzymał ręce wzdłuż ciała w postawie na wpół wojskowej. Wachmistrz uważał za konieczne okazać na zewnątrz przejawy złego humoru:

- Ty jeszcze u mnie odpowiesz! - pogroził straszliwie Lodziowi. Żarty? Żarty! Taaak? O śmierć człowieka przyprawił! Pod sąd wojenny!!! - i zrobił krok naprzód w kierunku jego łóżka.

- On bez pamięci... - wtrącił nieśmiało Flor.
- Ja jemu zadam tak, że jemu pamięć przez pięty do głowy wskoczy!

52

Lodzio leżał biały jak kreda i nawet gdyby chciał przeczytać, nie mógłby ze strachu otworzyć ust.

- Zaraz żandarmerię przyślę, dochodzenie zrobić! - krzyknął wachmistrz i podrzuciwszy podbródkiem w stronę Lodzia, zrobił ruch przecinania wskazującym palcem.

Flor stał ze spuszczoną głową, ze wzrokiem poważnie wbitym w ziemię, co mogło oznaczać, że jakkolwiek surowe, ale sprawiedliwe wydają mu się słowa wachmistrza.

Proszę tak nie krzyczeć - odezwała się szorstko Helena, która przysłała otworzyć okno dla przewietrzenia. - Tu nie koszary. Tu chorzy leżą.

Nie uczyć mnie! Co to jest, szpital czy burdel! Hela wyszła obrażona i trzasnęła drzwiami.

Wachmistrz Uczuł, że jego oburzenie odniosło efekt dostateczny i już łagodniejszym tonem zwrócił się do Leszka: No, jak tu wam?

Słabo karmią - odparł ten byle coś odpowiedzieć. Na to jest jeden sposób: trzeba nie rozwalać się w łóżku, ile wracać do szwadronu. Na froncie żarcia pod dostatkiem.

już będziecie zdrowi, co?

Nie czekając odpowiedzi poprawił ramię od szabli i wyszedł, przytrzymując lewą ręką pochwę.

Gdy kroki jego zadudniły za oknami na chodniku, Flor wyjął tytoń.

Sam, nażarty jak świnia, siedzi w tyle, a innych na front. Ech, jak to we wszystkich wojskach tacy sami ludzie... Po skręceniu papierosa dodał: - Nie tylko w wojskach, ale i na świecie. Nie przyśle on

żadnych żandarmów.

W pokoju obok leżał Marek, na wznak, z zamkniętymi oczyma, o twarzy bielszej niż brudna poszewka poduszki. Umarły. Wszyscy czekali, by go prędzej wyniesiono, nieprzyjemnie jest chorować w sąsiedztwie z trupem. Po zwłoki miał przyjechać wojskowy wóz.

Godziny się wlokły. W Leszku wizyta wachmistrza wzbudziła zapomniane refleksje. Wiadomo, czym zalatują szynel artyleryjskie: trochę tytoniem, trochę końskim potem, skórą koni, nawozem, żołnierską zupą, smarem karabinu... Zresztą taki szynel zalatuje jednym albo dwoma z tych

53

zapachów, a reszta nasuwa się sama przez się przez skojarzenie? Przypomina to o konieczności powrotu do tego, co już się przeżyło: te same dowcipy, te same połajanki, te same rozkazy... -Żyć...

- Co? - spytał Flor.

- Żyć, żyć się chce...

Flor podrapał się w udo wypinając brzuch. - Ja wiem - odpowiedział.

Późnym wieczorem z hałasem kół po kocich łbach bruku zajechał przed szpital dwukołowy wóz lekkiego taboru po ciało Marka. Tylko jeden Józiuk podszedł do okna.

- Dwukółkę przysłali po umarłego - powiedział wyglądając. - Cóż to, nie mogli wozu na czterech kołach?

- Może zajęte w innej sprawie - mruknął Flor ze swego kąta.

Naścia nie zjawiła się w pokoju chorych ani nazajutrz po nocnych wypadkach, ani dni następnych.

Nie przychodziła też do ogródka, gdy bywało ciepło w południe. Leszek cierpiał z tego powodu na pewno mniej, niż na wspomnienie innych wypadków tamtej nocy. Był zły na siebie, że dał się uderzyć Helenie. Układał sobie w myślach inny przebieg zajścia; gdy wchodziła, patrzył jej wprost w oczy z odcieniem sztucznej ironii i stanowczo więcej myślał o Helenie niż o Naści.

Naścia przysłała dopiero na trzeci dzień po wywiezieniu ciała Marka. Przyniosła bukietik niebieskich pierwiosnków, ładnie ułożony na talerzyku z wodą.

- Ostrożnie! Naścia, wylewasz na podłogę! - zawołał za nią Flor, gdy niosła talerzyk w jednej ręce, tak że kapało. Ale ona nie zwróciła na ten okrzyk uwagi.

- Ładne? - zapytała, stawiając kwiatki na szafce Leszka.

- Uhum.

Siadła na łóżku i patrzyła mu w oczy. Leszek odwrócił głowę w bok.

Kwiatki nie pachniały. Ciągnął od nich zaledwie wyczuwalny odór wilgoci i zielska. Od Naści czuć było trochę kobiecym potem, trochę zapachami kuchni.

Naścia przyszła dopiero na trzeci dzień po wywiezieniu ciała Marka. Przyniosła bukiet niebieskich pierwiosnków, ładnie ułożony na talerzyku z wodą.

- Ostrożnie! Naścia, wylewasz na podłogę! - zawołał za nią Flor, gdy niosła talerzyk w jednej ręce, tak że kapało. Ale ona nie zwróciła na ten okrzyk uwagi.

- Ładne? - zapytała, stawiając kwiatki na szafce Leszka.

- Uhum.

Siadła na łóżku i patrzyła mu w oczy. Leszek odwrócił głowę w bok.

Kwiatki nie pachniały. Ciągnął od nich zaledwie wyczuwalny odór wilgoci i zielska. Od Naści - trochę kobiecym potem, trochę zapachami kuchni.

- No, co? - zapytała szeptem. - Pewno już wiesz? Już na pewno ten... powiedział ci, co?

- Uhum.

- No, i co?

Leszek cieszył się, że przyszła, ale uważał, iż powinien okazać twarz chmurną. Wzruszył tylko ramionami.

- No, i co? - nastawała dziewczyna - nie przeszkadza to ci, co? - W tonie jej szeptu przebijała jakby nuta szczerego, sarkazmu.

- A cóż to mnie może przeszkadzać. Ona taka sama kobieta, jak ty. A co wy tam robicie razem...

- Ech, ty - uśmiechnęła się z przymusem, uderzywszy ręką po koldrze - może to cię więcej jeszcze podnieca, szczeniaku, co?

Leszek zachnął się i zmarszczył brwi. Naścia sięgnęła poprzez dekolt fartucha i poprawiła sobie ramiączko od koszuli. Leszkowi w tym momencie przypomniały się jej piersi; zasepił się jeszcze bardziej, bojąc się zdradzić ze swym uczuciem. powolnym krokiem zbliżył się do nich Flor.

- Ot, i kwiatki - powiedział. - Ale te mniejsze. Jest w puszczy jedno miejsce takie, ja wiem gdzie... Choć, prawda! -

Odwrócił się do Józiuka: - Ty przecież też znasz, to od waszej wsi niedaleko ten kawałek. Wysoka sosna rośnie, a pod spodem masa kwiatów na wiosnę. I skąd one się tam biorą, cholera ich wie, ale ogromniaste, niebieskie, choć są i białe, a także żółte.

- To za uroczyskiem Sarni Wygon - podpowiedział Józiuk.

- Słusznie, tak, tak. Sarni Wygon. Ach, ach, co kwiatów, co kwiatów wiosną! Ot, tam by ci, Naścieńka, bukiet iść związać.

- Już ja sama dość związana jestem. Starczy.

- Czymże to takim? Naścieńka, co? - z głupia frant dopytywał Flor.

Nie odpowiedziała. Dyskretnie uściśnęła nogę Leszka poprzez koc, wstała i wyszła bez słowa.

Lodzio, który nie wstawał od wizyty wachmistrza, leżał nieporuszony. Ciągle się strasznie bał. Ale Flor miał rację: zapowiedziani żandarmi nie przyszli i nikt żadnego śledztwa nie wszczywał.

55

Doktor Dawidowski, skinąwszy od progu na Leszka, powiedział krótko:

- Na badanie.

Leszek zwłóknął się z łóżka i poczłapał do pokoju operacyjnego. Doktor kazał mu się położyć na stole operacyjnym nago i badał go sumiennie.

- Gdzież jego można wypisywać! - mówił przed siebie, ale wiadomo było, że mówi do Heleny, która tymczasem sprawnym ruchem wyciskała watę materię z wrzodów na ciele Leszka i smarowała je następnie maścią cynkową. - Czyraki poszły po całym ciele. Niedokrwisty, słaby. Słaby wojak. Dużo powietrza, dużo żarcia i płuca też nie byłyby zagrożone. Życia w nim nie ma chęci. Trzeba tę chęć pobudzić. Na dziewczynki by się raz wybrał, krew rozruszać - prawil dalej, nie zwracając uwagi na Helenę. Jej profil zarysowywał się ciemno na tle okna, ładnie i surowo. Ani jeden muskuł nie drgnął w jej twarzy. Słuchała słów lekarza zdawało się z idealną obojętnością, jak się słucha nudnej lekcji, nie mogąc opuścić klasy.

- Proszę się położyć na brzuchu - powiedziała bezosobowo i zrobiła odruchowo obrotowy ruch palcami.

Leszek przewrócił się posłusznie.

56

- Ach - zachnął się lekarz - gdzież on z takimi czyrakami na d... na siodło wsiądzie!

- Podszedł do wiszącej na haku marynarki, wyjął papierosa i zapalił.

Była wciąż ta sama wiosna, to samo niebo jasnobłękitne, tylko skądś nawiewało czasami małych obłoczków i o zmierzchu przychodził przymrozek, trwał do świtu. Rano przez otwierane okna wchodziło powietrze ostrzejsze, a tam gdzie padał na ulicę cień od kamienic, szron utrzymywał się dłużej. I napewno już przyleciały szpaki; zięby wywodziły swe niekunsztowne trele. Z dalekich, oblażonych ze śniegu pól dochodziły głosy skowronków.

Dozorca szedł przez podwórko, które wczoraj jeszcze wygracował do czysta, aż tu raptem wyrosła mu naprzeciw kępka trawy po samym środku. Spojrzał tylko i cyknął śliną przez zęby.

Ale, dość! Dość, dość! Dość o tej wiosnie, o ptakach, o słońcu i młodych Usteczkach. Dość o rynsztokach spływających z wyższych zaułków na kształt górskich potoków! Dość o wilgoci, która paruje do nieba, i o ziemi, która pachnie. O bielźnie, która faluje na sznurach między pniami topoli, i o emaliowanym, niebieskim z zewnątrz, a białym wewnątrz nocniku z przedziurawionym dnem, wyrzuconym na szczyt śmietnika, i o wronie, która tam spaceruje. Dość o puszczy, odległej o dwadzieścia z hakiem kilometrów. Do rzeczy! Do rzeczy zasadniczej: czy Bóg jest?

- Jak sobie chcesz. Ma się rozumieć wierzyć można we wszystko. Tylko, że co innego wiara, a co innego rozum. Ja wierzyć nie bronię nikomu, ale w takim razie nie suń się do mnie z rozumem. - Flor obydwie ręce założył za poręcz ławki i patrzył przed siebie. Siedzieli we czwórkę na ławce w ogródku: on, Naścia, Leszek i Józiuk.

Co ty tam wiesz! - odmachnęła Naścia.

A ty nie wiesz, kiedy ja przekonałem się. Nie wiesz, prawda? To, co mnie będziesz uczyć, co ja wiem, a czego nie wiem. Ja przekonałem się, jak raz wtedy, gdy u mojej żony nie było pałta.

Leszek spojrzał nań pytająco.

57

- To znaczy ono było - ciągnął Flor - ale bardzo stare i zupełnie zlachmanione. Byłem wtedy ogrodnikiem w Briąnsku.

My z żoną kochaliśmy się bardzo. Ja młody, ona młoda.

Ale jakoś noga mnie powinęła się i... Jednym słowem, nie będę długo opowiadał: pracy pozbyłem się, chciałem interes zrobić na boku, nie udał się. I oto żona moja bez pałta. A właśnie wiosna nastąpiła, zupełnie podobna do tej, niezwykle wczesna.

W kozuchu chodzić nie wypada. Jej koleżanki, znajome

chodzą mniej więcej ubrane, a ona jak żebraczka; a kupić nie ma za co. Skąd, myślę, pieniędzy wziąć? Nie, żeby w ogóle: pieniądze, ale tylko na palto. Myślę i chodzę po zaułkach, i zaczynam modlić się, i tak sobie kombinuję: jeżeli Bóg jest, to w żadnym wypadku nie może odmówić pieniędzy na palto. Żeby na co innego, na sprawę jakąś złą, czy chociażby nawet dobrą, ale poważną, dla mnie... to rozumiem, to mogą być różne przeszkody. Ale jaka może być przyczyna, żeby odmówił mojej biednej żonie na palto? No, jaka? Co Jemu może zaszkodzić czy innym ludziom, czy religii, czy światu, czy gwiazdom, czy słońcu wreszcie, żeby moja żona miała palto? Nic, nic i zupełnie nic. Takiej przyczyny być nie może.

- A co On, miał z nieba tobie zrzucić?! To palto!

- Niepotrzebnie Naścia denerwujesz się. Nie z nieba, mówię, a żeby dał zaraz taką okazję zarobić mnie gdzie nie bądź, ucziwie, i tylko tyle, co na palto. O reszcie ja sam pomyślę. Ale tylko tyle.

- Żeby Pan Bóg chciał o każde głupstwo...

- Nie przerywaj - wtrącił Leszek.

Dziewczyna zamilkła ponuro.

- Masz rację, Naścieńka, że głupstwo. Dla Boga to nawet milion milionów razy mniej niż głupstwo. Po prostu nic. A ja idę ulicą i proszę Jego już trzeci dzień. Ludzi mijam, nikt nie spostrzega, bo ja niby to patrzę na boki, a w cichości proszę. „Boże, mówię w swoim sumieniu, daj palto mojej kochanej żonie, no, co Tobie może stać na zawadzie?” Ona biedna, nic mnie nie mówi, a cierpi. Niewielka rzecz, może niewielkie nawet cierpienie. No więc zupełny drobiazg. No to co może Jemu szkodzić? No, jaka może być racja? Rozumiem, żeby mnie nieszczęście jakieś spotkało, jak to się zdarza, nogę odjęło czy

58

rękę, to jeszcze może być za jakieś grzechy moje, a nawet moich rodziców grzechy. Żeby nieszczęście, to powiadają: nieznane są wyroki boskie. Dobrze, zgoda. Ale tu głupstwo: palto. Za co ją karać takim głupstwem!

- A czyż On jej odebrał to palto, czy co! - Nie wytrzymała znowu Naścia. - Nie miała jego wcale, więc...

- No, nie przerywaj - wtrącił z kolei Józiuk, który cały aż się przechylił z końca ławki, żeby lepiej widzieć twarz Flora.

- No, i co? Dał w końcu? - spytał Leszek.

Pauza. Naścia też spojrziała na Flora ukradkiem, nie mogąc powstrzymać ciekawości.

- Nie, nie dał.

Wszyscy westchnęli i nastąpiło milczenie.

Wieczorem tego dnia, Naścia zarzuciła ręce na szyję Leszka, cała do niego przywarła i szepnęła: „Nie słuchaj ty jego, nie zadawaj się z nim. On jakiś niezupełnie rozumny i ciebie jeszcze do złego doprowadzi”.

Leszek nic nie odpowiedział, ale było mu przyjemnie i ciepło od bliskości jej ciała.

W ciągu tych kilku dni, które nastąpiły po ostatnich oględzinach, a które zdecydowały o jego dalszym pozostawianiu

w szpitalu, namiętność Naści przybrała formy wybuchowe. Przestała się z nią kryć zupełnie. Zresztą, przed kim miała ją ukrywać: Flor i tak wiedział wszystko; Łodzio nie liczył się; Józiuk, jak tylko wydobrzeł na tyle, że mógł już chodzić swobodnie, zabrany został ze szpitala przez rodziców, którzy mimo rozmięklej drogi, przyjechali po niego furmanką. Przywieziono wprawdzie dwóch pacjentów nowych, którzy leżeli w pokoju dla ciężko chorych, ale ci nic nie widzieli. Jeżeli zaś chodzi o Hele, to stosunki między kobietami uległy prawie całemu zerwaniu. Nastąpiło to pewnej nocy, na górze, w ich pokoju, po jakiejś gwałtownej sprzeczce, która musiała wyrodzić się w awanturę, bo odgłosy jej przedostały się poprzez sufit do pokoju chorych. Ani Flor, ani Leszek nie mogli zasnąć, chociaż nie zdradzali się przed sobą, że czuwają. Widocznie Naścia chciała natychmiast, pośród nocy, opuścić szpital i wyjść na ulicę, co wobec zakazu chodzenia, związane było z dużym niebezpieczeństwem, i Hele ledwo ją ubłagała i

59

powstrzymała na schodach. Nastąpiła potem cisza i wszyscy zasnęli.

Ale kolejna awantura powtórzyła się dnia następnego: powiedziały sobie wszystko, co mogą nawzajem powiedzieć kobiety w rozpaczliwej pasji. Naścia plunęła tamtej w twarz. Hele obaliła ją na kanapę i przygniotła jej brzuch swym silnym kolaniem, ale Naścia ugryzła ją w rękę poniżej łokcia. - Od tego wypadku wyniosła się do rodziców, a do szpitala przychodziła jedynie na kilka godzin dziennych, z których połowę co najmniej ostentacyjnie spędzała przy łóżku Leszka. Z Heleną mijały się nie rozmawiając.

Hele potrafiła nie dać poznać po sobie, co się w niej dzieje. Pozornie była jak dawniej, może bardziej tylko sucha i małowólna. Ale pewnego dnia, a było pod wieczór - w takiej chwili, w której słońce jeszcze nie dosięgło horyzontów, ale już schowało się za dachami domów, a szpaki żegnały je na najwyższych gałązkach drzew swym śpiewem - Naścia zamknęła się z Leszkiem w pustym budynku łaźni. Wtedy Helena wymówiła jej pracę oficjalnie i zakazała przychodzić do szpitala.

Doktor Dawidowski nawet nie zauważył jej braku. Dozorca nie mówił nic. Żona jego, kucharka, spytała tylko raz jeden. Flor patrzył w inną stronę. Tylko Leszek zdradzał wyraźnie ponury nastrój i zdawał się walczyć wewnętrznie ni to z jakąś tajemną decyzją, ni to knuł w cichości plany. Nie wstawał jednak z łóżka, bo właśnie nawiedziła go powrotna fala gorączki.

W ten sposób minęły trzy dni. Pod koniec tego trzeciego dnia, mimo widocznego wysiłku, Hele nie mogła opanować cierpienia, które ją gnębiło od wewnątrz. Gdy w południe przeszła przez salę z twarzą pobladłą i ściągniętą skurczem w jakiś bardzo bolesny wyraz, Flor spojrzął na nią z niepokojem. Zmiana nastąpiła nagle, rzucała się w oczy, i wtedy zrozumiał, iż rzecz cała nie ułoży się sama przez się, na co miał skrycie nadzieję.

Drzwi kuchni wychodziły na korytarz, naprzeciw dawnego

oddziału kobiecego. Było około ósmej wieczorem. Flor, nie zapalając światła, przeszedł ciemnym korytarzem na jego przeciwległy koniec, gdzie pod drzwiami kuchni widniała smuga światła. Pamiętał, że kucharka od dwóch dni cierpi na bóle

60

w krzyżach, wywołane wiosenną wilgocią, że w przygotowaniu kawy na kolację zastępuje ją teraz Helena, a więc musi być sama. Uczuł nieprzepartą chęć zobaczenia jej, porozmawiania z nią. Flor stapał zazwyczaj cicho, twierdząc, że tego zwyczaju nabrał w puszczy (choć Naścia upierała się, że: „Jak złodziej"...). Podobnie i teraz: wszedł do kuchni bezszelestnie i stanął nie spostrzeżony w pierwszej chwili u progu.

Na tacy poustawiane już były kubki, napełnione dymiącą kawą. Helena obrócona profilem do wchodzącego wsypywała właśnie do jednego z kubków zawartość małej papierowej torebki z rodzaju tych, jakie używa się w aptekarstwie. Zmięła paperek, a usłyszawszy szelest przy drzwiach, drgnęła całym ciałem i zmięty papier wsunęła do kieszeni fartucha.

Jednocześnie chciała przydać swej twarzy wyraz obojętny, ale zakołysała się dziwnie w biodrach i oparła oburącz o krawędź stołu; z twarzy jej odpłynęła wszystka krew. W nalanej do kubków kawie smutno odbijała się jedyna żarówka zwieszająca się ze środka sufitu.

Flor podszedł, ujął kubek i wylał jego zawartość do zlewu.

Następnie, nie wypowiadając ani jednego słowa, splukał go kilkakrotnie wrzątkiem i nalał doń świeżej kawy z rondla. Gdy zbliżał się ponownie z pełnym do stołu, chciał widocznie coś powiedzieć, bo wargi mu drgały, ale zabrakło słów. Zwłaszcza trudno było dobrać to pierwsze.

Hela stała wciąż w tej samej pozycji, trzymając się stołu, oczy miała w pół przymknięte. Podobna była do skazańca, oczekującego ciosu. Na stół wskoczył kot Naści. Flor postawił kubek i spędził kota ruchem dłoni. Ten ruch musiał zwolnić skurcz w gardle, bo zdołał wykrztusić:

- Tak nie można, Hela.

Ona pochyliła głowę, ale stała ciągle w miejscu. Na białą twarz padał teraz cień. Nie chwiała się, ale można było odgadnąć, że gdy puści krawędź stołu, to upadnie. Flor otoczył ją ramieniem i odprowadził na ławkę pod ścianą. Siadł obok, przytrzymując ją wciąż jednym ramieniem.

Na kredensie cykał budzik. Kawa stygła w kubkach. Flor myślał wciąż, jak zacząć następne zdanie. Dopiero gdy ona pierwsza odetchnęła ciężko, odezwał się:

61

- Hela, ty wiesz... Ja dla ciebie...

- Wiem, wiem... - szepnęła zsiniałymi wargami, nie odrzywając oczu od podłogi. Znowu wciągnęła głęboko powietrze i dodała: - Ale ty nie jesteś po mojej stronie. Ty nie możesz być.

Ja wiem, Flor.

-Hela...

- Ty byś może chciał, ale nie możesz mnie pomóc. To już tak jest, tak Pan Bóg zrobił.

- Poczekaj z Bogiem... Ja tobie coś powiem. Nieszczęścia różne bywają, jedne większe, a drugie inne. Różne nieszczęścia, jednym słowem... - I utknął.

- Ty z mego możesz się tylko cieszyć. Z tego, teraz.

- Ja nie cieszę się, Hela. Nie.

i

Raptownie odwróciła się do niego całą twarzą, patrząc mu prosto w źrenice:

- Chcesz, ja tobie wszystko zrobię... - zaczęła, mówić bezładnie. - Ja z tobą pójdę zaraz... Zaraz pójdę do mego pokoju, na górę... do mego pokoju! Chcesz? Tylko ty... jego stąd wyprowadź... wyprowadź jego... wyprowadź, wyprowadź!

- Ciszej, ciszej. - Zdjął ramię z jej pleców i wsparł na swoim kolanie. - Co z tego, że wyprowadzę. Nie będzie w szpitalu, będzie w miasteczku. Chorego na front nie wyślą. Tak, doktor ma rację. Wtedy oni cały dzień będą razem. A co do tego, co ty mówisz, na górę do twego pokoju, to nie myśl, Hela. Ja nie takiej ciebie chcę. Ja chcę ciebie inną. No, a już raz u ciebie taki... charakter, no cóż...

- Ty możesz zrobić dużo...

Flor pomyślał i rozłożył ręce. Powtórzyła:

- Ty możesz zrobić dużo, jak zechcesz...

- Hela, jednego już zabiłem. Ty wiesz... A ty nie zapomnij, że ta... twoja Naścia też wie.

Helena wyprostowała się nagle, patrząc przed siebie.

- Ona nie powie - szepnęła po chwili.

- Nie powie albo powie. Jak zechce. Jak będzie zła, to powie.

- Nieumyślnie zabiłeś. Przypadkowo.

- Et, mówisz jak dziecko. Kto to będzie zwał. Żołnierza podczas wojny, oho. - Rozstawił kolana i wsparł się na nich

całym ciałem. - Ale to nie o to chodzi. Ja nie boję się. Przede mną świat szeroki. Ty wiesz. Ty wiesz, co mnie tu trzyma... Nie odpowiedziała.

- No więc, o czym tu gadać - zrobił nieokreślony ruch dłońmi.

- Ale ty wiesz - szepnęła - że ja ciebie... nie mogę chcieć.

- Któż może wiedzieć lepiej ode mnie.

Nastało milczenie. Na kredensie cykał budzik. Oboje jednocześnie jakoś spojrzeli na godzinę. Helena ocknęła się z osłupienia i sięgnęła rękami do włosów, jakby je chciała poprawić po jakimś wstrząsie.

- Trzeba nieść kolację - powiedziała cicho.

Flor sięgnął ręką do bocznej kieszeni jej fartucha, wydobyl stamtąd zmięty paperek małej torebki i jął go w zamyśleniu rozprostowywać palcami na kolanie. Nagle zmrużył oczy, podniósł go do twarzy i przeczytał etykietkę. A potem uśmiechnął się szeroko i pokazał Heli. Ta, zrazu z zaciśniętymi ustami, przeczytała i rozchyliła wargi w zdumieniu: to była zwyczajna soda do picia.

- Jeszcze i felczerka się nazywa - mruknął Flor z robioną dobroduszością w głosie.

Ona wstała i ujęła mocnymi rękami za tacę.

- Wystygła - zwrócił jej uwagę. - Poczekaj. Trzeba nalać nowej.

- Daj spokój! Pocukrzona już. Szkoda cukru. Tylko ta jedna... bez.

63

- Eeech, puszcza...

Leszek otworzył oczy i zobaczył nad sobą Flora. To nie było nic nowego: stał koło łóżka i patrzył w okno. Na tle nieba, czarno rysował się dach przeciwległego domu, a łąta w rynnie pobłyskiwała świeżą blachą.

- Ech, życie, życie.. - westchnął jeszcze raz Flor i oto uczynił gest, którego dotychczas Leszek nigdy jeszcze u niego nie zauważył: wyciągnął ramiona do okopconego sufitu, przeciągnął się całym ciałem i w ciągu kilku sekund stał w tej patetycznej pozie, jak gdyby zapatrzony był w tę nieskończoność, która się zaczyna za każdym dachem każdego, najlichszego nawet miasteczka na globie; spodnie osunęły mu się z lekka w pasie, krótka koszula odwinęła ku górze, ukazując poźółkłą skórę brzucha i pośrodku wielki, ciemny z brudu pępek. Sekundy minęły i Flor wrócił do siebie, siadł na łóżku ociężale i milczał. A Leszek, któremu się zdawało, że w ciągu tych kilku sekund olśniło go niezwykle odkrycie, długo jeszcze leżał na wznak i myślał: „Nieskończoność zaczyna się zaraz za dachem... Nieskończoność zaczyna się właściwie wszędzie, trzeba tylko ręce do niej wyciągnąć...” Po czym przypomniał sobie brudny pępek na brzuchu Flora i odwrócił się do ściany.

64

W południe Lodzio, który powrócił z miasteczka, podszedł jakimś niezwykłym krokiem do Leszka. Uczynił to z tak przesadną dyskrecją, iż z daleka rzucała się w oczy. mrugnawszy kaprawym okiem, wręczył mu kartkę papieru. Flor spoglądał spode łba, śledził każdy ruch Lodzia, a następnie ziewnął szeroko i głośno. Nic nie powiedział.

Była to kartka od Naści. Pierwsza tej treści:

„Ja ciebie bardzo kocham. Anastazja”.

Leszek obracał ją przez jakiś czas w ręku. Następne były dłuższe. Codziennie przynosił je Lodzio. Leszek pisał odpowiedzi. Później, gdy zaczął znów chodzić, kartka bywało zawierała tylko cyfrę oznaczającą godzinę. Na ten określony czas Leszek wciągał mundur, płaszcz i wychodził ze szpitala.

Spotykali się jak uprzednio i szli do jej domu. Ojca nigdy nie bywało. Dostał pracę w tartaku w puszczy i wyjechał z miasteczka. Z matką Naścia nie robiła dużo ceregieli, wybierała jednak zazwyczaj godzinę, gdy ta właśnie musiała wyjść; być może też umawiała się z nią uprzednio, prosiła lub żądała, żeby wyszła, tego Leszek nie mógł się dowiedzieć.

Piesek znał go już i nie czekał. Kałuża za furtką wyschła.

Drzewa pokryły się pierwszym puchem.

Zdarzył się jednak wypadek, gdy Naścia, mimo wyznaczonej na kartce godziny, daremnie czekała na rogu drugiej przecznicy. Było to wtedy, gdy Flor zaczął jakąś kolejną

opowieść o puszczy i zasłuchany Leszek, zamiast na randkę, poszedł z Florem do ogródka szpitalnego, gdzie siedli na ławce. Leszek sądził wprawdzie, iż posiedzi chwilę i zaraz pójdzie, co najwyżej się spóźni trochę, ale Flor niespodziewanie wydobyl z kieszeni zatłuszczoną mapę wojskową o podziałce 1:300.000 i zaczął pokazywać. Na mapie las, zgodnie z regułą, oznaczony był kolorem zielonym. Leszek przyglądał się znakom topograficznym i zgadywał teren. Z miasteczka w tamtym kierunku wiodła czarna, krótka linia kolei żelaznej, aktualnie nieczynnej ze względu na zniszczenia wojenne. Na południowym zachodzie falistymi kreskami zaznaczone były piaszczyste, leśne wzgórza, a wśród nich drobny punkcik podpisany kursywą: Pieski. Flor położył nań swój palec o pozółkłym paznokciu, obramowany czarnym brudem:

- 65
- To tu - powiedział. - Tu była kiedyś moja główna kwatery, zanim dostałem się do szpitala. - Splunął, przesunął wierzchem palca po ustach i dodał: - Więc teraz widzisz?
 - Uhm. A te błota w lewo?
 - Ooo... bracie, nie przejdiesz tędy. Tu jak morze. Żurawina rośnie, bagno. A w górę spojrzysz, zawsze orzeł wisi nad głową. Wysoooooo, wysoooooo!...
 - No, wiele może być nad ziemią?
 - Ot, pytasz śmieszne rzeczy. - Flor zmrużył oczy, spoglądając w niebo. - Nikt przecie nie mierzył. Dwa, trzy kilometry w górę - i uśmiechnął się.
- Leszek też się uśmiechnął i obydwaj poczuli się nagle weseli. Słońce i ciepło zawsze przydaje ludziom trochę szczęścia, a było właśnie i słonecznie, i ciepło.
- Po pewnym czasie Leszek zapytał:
- Mówiłeś, że tam pójdziesz znowu. Naprawdę, czy tak tylko sobie mówiłeś?
 - Gdzie, do tego błota?
 - Nie do błota, a w ogóle.
 - A... W ogóle... Tak, pójdę.
- Leszek zawahał się, a później tonem niezdecydowanym, odezwał się niby od niechcenia:
- ja bym poszedł.
- Flor odchrząknął i sięgnął po tytoń, co zawsze czynił, nie mając na poczekaniu przygotowanej odpowiedzi. Długo odrywał bibułkę od arkusza, dla siebie, następnie dla Leszka, wydzielając tytoń, ślinił, aż wreszcie gdy zapalili, mruknął:
- Możemy.
- Leszek milcząc przyglądał się w dalszym ciągu mapie. Flor zagadnął:
- Ty byś naprawdę poszedł?
 - Naprawdę, a dlaczego?
 - Możemy - powtórzył. - Owszem, możemy. Tylko...
 - Tylko co?
 - To, że związałeś się tu - potarł oko, do którego zaleciało trochę dymu tytoniowego.
 - Jak to, związałem się?

- No, z tą, z tą Naścią.

66

Leszek przypomniał sobie nie dotrzymane spotkanie i po chwili szepnął: - To żadne związanie.

- Twoja rzecz. Nie moja.

- Ale... - zaniepokoił się nagle Leszek.

- Co: ale?

- Nic, tylko chciałem powiedzieć... A szukać mnie nie będą za dezercję?

Flor wzruszył ramionami: - Niech szukają. Wielka bieda!

W puszczy będziesz jak igła w stogu siana. A zresztą nie będą oni! W takim chaosie jak teraz, żeby za każdym żołnierzem uganiać się po lasach. Skąd tam!

- To pójdziemy?!

- A wiesz, że możemy pójść. Ech, ech, zielona!

- Puszcza, mówisz? - zagadnął wesoło Leszek i nagle zdało mu się, iż zrzuca z siebie brzemię krótkiej przeszłości i stawia pierwszy krok w przyszłość.

- Puszcza, bracie. Idziemy - wstał.

- Kiedy?

- Poczekaj, jutro, pojutrze ...Ot, tak, w tym czasie mniej więcej.

Wieczorem Flor nachylił się bez słowa pod łóżko Leszka, wydobyl stamtąd jego cywilną, skórzaną walizkę i obejrzał dokładnie.

- Z takim kuferkiem - powiedział - do puszczy nie chodzą.

Poza tym zwraca uwagę i zresztą niewygodna. Weźmiesz mój stary plecak. A to sprzedamy.

Następnie przywołał Lodzia i tłumaczył coś długo

w drugim końcu pokoju, macając skórę i grożąc mu palcem. Leszek domyślał się, że każe mu ją sprzedać. A kto wie, być może też zabrania jednocześnie rozpowiadać o tym Naści przy spotkaniu?

Następnego dnia Lodzio wręczył Florowi pieniądze za sprzedaną walizkę. Ten przeliczył je skrzętnie i schował do kieszeni. Nie musiało być tego wiele i Leszek, podniecony planowaną wyprawą, sam nie pytał, ani domagał się ich zwrotu. Tym bardziej że prowiant, bieliznę i tę trochę drobiazgów, miał w plecaku nieść sam Flor, gdyż po namyśle doszedł do przekonania, iż Leszek jest zbyt jeszcze słaby. Tym razem Lodzio

67

począł aż Flor wyjdzie i dopiero oddał Leszkowi kartkę od Naści. Kartka ta zawierała następujące słowa:

„Czemu nie przychodzisz? No, czemu nie przychodzisz, kochany? A ja czekam i czekam. Anastazja”.

Leszek czytał kartkę kilka razy i zaciskał zęby, żeby uniknąć drżenia dolnej szczęki. Kartka wyrwana była z liniowanego kajetu, w rogu miała jakąś skazę fabryczną. Próbował ją wyskrobać paznokciem małego palca i zrobił dziurę w papierze. „Ona nigdy nie podpisuje: Naścia, zawsze: Anastazja”, myślał. Flor wrócił.

- Pojutrze wieczorem - szepnął - pójdziemy.

- Czy Hela będzie wiedziała?

-Pst! Nikt.

Leszek nie odpisał Naści.

Z Florem omówili wyprawę w najdrobniejszych szczegółach. Te plany i przygotowania wypełniły wszystkie godziny dnia. Aż wreszcie przyszedł ostatni dzień przed wymarszem.

Leszek ubrał się od rana, chodził po całym szpitalu nerwowym krokiem, wydawał się nagle zupełnie zdrow. Wskutek wewnętrznego podniecenia nie chciało mu się jeść. Flor też był w ciągłym ruchu. Kilkakrotnie wychodził do miasteczka, wracał, szedł na górę do Heli, przebywał tam niedługo i schodził po schodach.

- Czyś jej coś powiedział? - zagadnął ponownie Leszek.

- Nie. Nie bój się, nie bój się; wszystko w porządku.

Ale nie było w porządku. Na niebie zaczęły zbierać się coraz gęstsze obłoki. Za nimi pociągnęły chmury. Pchał je wiatr ze wschodu na zachód. Wierzchołki topoli za drewnianym parkanem drgnęły i zaczęły szumieć. Leszek nie mógł doczekać się umówionego zmierzchu. Wciągnął płaszcz. W tym momencie wrócił Łodzio, powiedział, że robi się zimno i wręczył mu kartkę.

„Przyjdź, przyjdź koniecznie. Mój najukochańszy. Będę czekać. Twoja Anastazja”.

Leszka ścisnął w gardle jakiś mimowolny, a jednak znany mu skurcz. Tak jeszcze nigdy nie pisała: „Mój najukochańszy...” Uprzytomnił sobie, że w ogóle jeszcze nigdy

68

nikt tak do niego nie pisał i nie zwracał się dotychczas. Jeżeli ta forma nie była mu obca, to tylko dlatego, że znał ją z książek, nie z życia. Osobiście bierze w niej po raz pierwszy udział. Siadł w płaszczu na łóżku i nagle strasznie zechciało mu się nie iść, nie iść! Nie musieć iść... - Łodzio powiedział, że jest zimno, a tymczasem nie ma w perspektywie wieczoru ani łóżka, ani herbaty, ani swego kąta, nic, żadnego zaplecza.

Jednocześnie nie mógł sobie wyobrazić, że w ostatnim momencie oświadczy Florowi, że się rozmyślił, że zostaje... Nie! To niemożliwe! Ale dlaczego? Dlaczego?!

Pokoik Naści, mój ty Boże!... Nie mógł uchwycić sensu swego postanowienia. Jaki sens?... Zaraz, zaraz... Ot, miasteczko. Dzwony biją w tej chwili na wieczorne nabożeństwo, no, i co z tego? Nie, nie o tym chciał myśleć... Wygląda jakby sensu istotnie nie było. A trzeba iść, naturalnie, ale wiatr i zimno. Leszek skurczył się w sobie, zgarbił się. Wzrok jego mimo woli padł na drzwi, przez które ma wyjść. Nigdy jeszcze nie patrzył na nie z taką odrazą. Ba, gdyby teraz raptem przez te drzwi weszła Naścia! Gdyby, gdyby!... Rzuciłby się jej na szyję i powiedział: „Naścieńka, ty też jesteś moja najukochańsza!... Wiesz? Powiedz, powiedz, co robić?” A ona by na pewno odpowiedziała: „Ot, głupi, zupełnie szczeniak” i pogładziła go po głowie i znowu wszystko byłoby dobrze: szpital, małe miasteczko, beznadziejność, zmięte łóżka,

podkrążone oczy... A w perspektywie wyzdrowienie, zapach końskiego potu, ludzkiego smrodu i piosenka w zwartym szeregu:

„Co użyjem to dla nas,
Za sto lat nie będzie nas...”

Co robić, co robić?... Nagle drgnął: drzwi się otworzyły i wszedł Flor. Kiwnął nań palcem. Leszek wstał i zbliżył się.

- No, już czas - szepnął Flor. - Idź.

Leszek ze zdumienia aż usta otworzył: - A ty?...

- Widzisz... Tak nie wychodzi, jak chciałem. To by zwróciło za dużo uwagi. Ty idź sam, a ja jutro. Żeby tego, rozumiesz...

- zmrużył oko. Leszek nic nie rozumiał. - To wszystko jedno. Ja przyniosę rzeczy. Ty wyjdiesz zaraz i kierujesz się na stację.

69

Ona zniszczona, tam nie ma żywego ducha. A później szynami,

szynami, nasypem znaczy kolejowym, prooosto! Jak strzelił!

W jedną noc zajdziesz. Jak będziesz podchodził do puszczy...

Zobaczysz, czaaarana taka, tylko świerki w niebo sterczą

-uśmiechnął się, ale Leszek tym razem się nie uśmiechnął.

-Weźmiesz w lewo. Będzie taki młyn... A zresztą wszystko jedno, po co, niepotrzebnie: zajdziesz do pierwszej chaty i

zapytasz o wieś: Muchanowo, Mu-cha-no-wo. A tam: gdzie mieszka, spytasz, no, ten Józiuk nasz, nazwisko pamiętasz?

- Uhum.

- Zaczekasz u nich. A ja na jutro już będę. No!

- Ale dlaczego...

- Już, już! Bo Hela, słyszę, idzie.

Leszek poddał się bezwolnie jego dłoni, która go stanowczo

wypchnęła za drzwi. Przekroczył bramę. Poczul wiatr.

poprawił czapkę i chciał się odwrócić, ale w tej chwili furtka

zatrzasnęła się za nim. Miał ze sobą tylko karabin. Nikt nie szedł

ulicą, zapadał zmrok. Latarni jeszcze nie zapalono. Pachniało

zimnym, wietrznym wieczorem. I poszedł.

70

Wojna na całym Bożym świecie. Długo, zazwyczaj bardzo długo walczy zima i wypiera wiosnę z raz już zdobytych przez

nią pozycji. Teren przechodzi z rąk do rąk. Wiosna okupuje

kraj, ustanawia swe porządki, obwieści obowiązujące prawa.

Jej urzędowe rozporządzenia pisane są przez kwiaty na mchu,

szum skrzydeł przelotnych ptaków, przez młode listki, puch

wierzb, nocne wołania dzikich gęsi. Śnieg kurczy się jak

gąbka, zdycha, leży wreszcie trupem, brudno się rozkłada i

przestaje istnieć. Tymczasem skowronki robią propagandę od

świtu do zmierzchu i choć starzy ludzie, podobnie jak stare

wrony i stare wróble na każdym dachu, ostrzegają przed nią,

większość rzeczy ulega jej całkowicie. Na obłysiałe wzgórze

wychodzi oracz, a za smugą pługu czarny szereg gawronów

w poszukiwaniu pędraków. W południe jest ciepło, koń odpoczywa,

człowiek skręca machorkę w kawałek zimowej gazety i siny

dymek ciągnie do siniego nieba.

Ale za puszczą na wschodzie leżą, hen, kraje, siódme rzeki

i jeziora, wszystkie jeszcze pod lodem. To ostatnie rezerwy zimy. Gdy wiosna je ruszy, zima rzuca wiatr. Walka odbywa się zrazu w powietrzu. Ciężkie bombowce chmur, ładowane śniegiem i gradem, ciągną na spotkanie południa. Płyną i płyną, zasłaniają słońce, pędzą precz agitatorów wiosennych

71

z nieba, opanowując sieć informacyjną, i wtedy druty na wszystkich szosach huczą i gwizdzą jednostajną wieścią: huuuu... zima wraca!

Zdarza się, że gęsty deszcz przechodzi raptownie w śnieg, pokrywa pierwiosnki, mnie głupią trawę, ugina swym ciężarem młode pędy, mści się na każdym, kto nieopatrnie dał wiarę propagandzie wiosny.

Leszek był tylko jednym z wielu, który tej propagandy padł ofiarą, ale zdawało się tego wieczoru, że lodowaty wiatr specjalnie miał go na oku. Widocznie śledził go już, gdy szedł zaułkami miasteczka, bo zabiegał mu drogę, zaczepiał raz z przodu, raz z tyłu, ale to były tylko igraszki. Naprawdę zaś przyczał się za ostatnim budynkiem stacyjnym przy rampie towarowej i gdy tylko Leszek minął ten budynek i wyszedł na wysoki w tym miejscu nasyp kolejowy, rzucił się nań znienacka wprost w oczy, w nos, usta, za kołnierz, targać począł połamami szynela, chwytać za czapkę. Leszek w pierwszej chwili odwrócił się plecami, jak to czynią ludzie, którzy sądzą, że w życiu można wymigać się pierwszym lepszym gestem; przystanął, później zapiął się dokładniej, nastawił kołnierz i nacisnął czapkę. Gdy spróbował znowu iść, wiatr uderzył go po raz drugi z całego rozmachu, oblepił twarz i zagwizdał w uszach. Wtedy Leszek pochylił się, jakby był zgarbionym starcem i powłókł się, zaciskając zęby w nadziei, że przełamie wroga albo go chociaż zniechęci w końcu swoim uporem. Nie znał go. Nie znał wiatru na wysokiej płaszczyźnie w taką noc, gdy zima walczy z wiosną. Ludzie, przyzwyczajeni do nienawiści innych ludzi, zapominają często, jak wielka może być nienawiść wiatru, który dmie w oczy. Nic nie jest w stanie zmusić go do sfołgowania: ani podziw dla męstwa, ani litość. Czy słyszał kto kiedy, żeby wiatr litował się nad pojedynczym liściem zerwanym z drzewa? Takiego wypadku nie było jeszcze w ciągu miliardów lat. A czymże był Leszek w przestrzeni tego czasu, by się ponad liść wynosić? Kto dał mu to prawo? Biblia? Niechże go teraz osłania w tę czarną noc marcową!

Z rozlewiska wody po obu stronach toru kolejowego ciągnęło wonią mułu, mokrych traw i nadgniętego tataraku. Nie można było zejść w dół, a na górze panował wiatr. Leszek

72

odwrócił się tyłem jeszcze ze dwa razy, odetchnął trochę. Noc spowiła miasteczko, nie było nic widać. Szedł więc dalej, ciągle pochyłony ku przodowi, zupełnie tak jakby istniał jakiś szczególnie ważny cel, do którego dążył. Gdy noc stała się czarna jak atrament, miał wrażenie, że na świecie istnieje tylko on i wiatr. Nie mógł też myśleć, podobnie jak nie mógłby mówić albo śpiewać; nie tylko bowiem głos, ale każdą myśl, ledwo

zrodzoną w głowie, wiatr zrywał i niósł wstecz, rozpraszał na miliony bezsensownych drobinek, pozbawionych wszelkiego kształtu.

Raz tylko, a było wtedy, gdy zaczął padać deszcz ze śniegiem, próbował pomyśleć o Florze, i to tylko tyle: „Dobrze, że chociaż nie mam walizki ze sobą, bo...” Ale wiatr nie dał mu dokończyć w raptownym, gwałtowniejszym niż poprzednio zrywie, oblewając twarz ciekącym śniegiem, i Leszek uklonił mu się nisko i zapomniał, co miał na myśli.

Świt zastał go pod huczącym słupem telegraficznym. Niebo i ziemia były jednostajnie szare. Śnieg topniał, a w kałużach odbijały się chmury. Na ukos, machając bezładnie, leciała wrona. Po obu stronach leżały pastwiska, gdzieniegdzie przecięte postrzępioną wstęgą krzaków. Na lewo widniała drożyna ze śladami kolein w głębokim błocie. Dalej samotna chata. Leszek poszedł tą drogą i zastukał do chaty. Chciał chwilę odpocząć, siedząc na ławce w ciepłe. Ale gdy usiadł, zasnął w tejże samej chwili.

Najdłużej śnił mu się pies, który szczeka, szczeka i szczeka... Otworzył wreszcie oczy. Był dzień. Poruszył ręką i zrozumiał, że jest zupełnie chory. Twarz paliła mu ogniem, łamało w kościach. Powiódł mętnym wzrokiem po izbie i tyle mógł zauważyć, że z pułapu zwiesza się kołyska. Gospodarze patrzyli nań z wylekłą niechęcią. Wtedy odchrząknął i by nie wydać się zupełnie bezradnym, zmarszczył brwi. Zapytał o wieś: Mu-cha-no-wo. Chłop ożywił się, jakby mu kamień spadł z serca, prędko wyprowadził Leszka na wiatr, wskazał kierunek ręką i zapewnił, że to niedaleko. Odpędził przy tym psa, który szczekał bezustannie.

73

Zelgał: do Muchanowa było jeszcze bardzo daleko, a wiatr dął z tą samą siłą. Dopiero w południe zaczęły się krzaki, pojedyncze sosenki, grunt był w tym miejscu piaszczysty, pokryty nawilgłym mchem i wrzosami. Skądciś wyskoczył zając i zamajaczył białym podogonem. Leszek wszedł na pagórek, zatrzymał się i patrzył:

Na wprost przed nim, wyraźna na tle szarego nieba, stała puszczka.

Wielkie świerki mają kształt stożkowej piramidy. Ich dolne gałęzie rozchodzą się szeroko, a wyższe są coraz krótsze, zbiegając do wierzchołka, który wystrzela w niebo. W ten sposób świerki, gdy tworzą gęsty szpaler na skraju lasu, wydają się niby wybrzuszone na zewnątrz, z czubem nieco odrzuconym wstecz, jakby zadartym wyniośle. Oto dlaczego, na pierwszy rzut oka, sprawiają wrażenie takiej nieprzystępnej, obojętnej dumy. Wszystkie drzewa wyrosłe wysoko mają dużo pychy, ale świerki urodzone dwieście i więcej lat temu, zwłaszcza gdy stoją w szeregu, są przez tę pychę formalnie

rozpierane; są tak wielkie i tak wysokie, i tak gęste, i strojne zarazem, że wszystko, co pełza u ich stóp, mimo woli odczuwać musi własną nikczemną małość.

Leszek zszedł z pagórka i poszedł między wrzosami,

bokiem puszczy, aż do wsi Muchanowo.

Przyjęty był gościnnie. Siedzieli długo przy zastawionym stole w ciepłej izbie. Józiuk był wesół, a stary jedynie dla pouczającego przykładu narzekał, że szpital kosztował go dużo pieniędzy, w rzeczywistości zaś, gdy patrzył na syna, zbiegały mu się zmarszczki wokół oczu jak do uśmiechu i właśnie po układzie tych zmarszczek można było odgadnąć, że patrzy nań z mieszaniną miłości i dumy. Miał widocznie przyjemne poczucie, że nie został nabrany, a za wyłożone pieniądze otrzymał towar pełnowartościowy. Skąpił, owszem, bo sądził, że doktor go oszuka, pieniądze weźmie, a syn umrze.

Tymczasem darmo nie wziął:

- Dobry doktor, grzech zaprzeczyć. Doktor dobry. Wziął, to wziął, ale wyleczył jak należy. Nie ma co Pana Boga obrażać. Zanim wiosna przyjdzie... - ciągnął, ale Leszek mu przerwał:

74

- Już jest przecie wiosna. - Powiedział to skwapliwie, na przekór oczywistej prawdzie, i po tym było poznać, jak dużo z tą wiosną łączył nadziei.

- Jaka tam ona, wiosna! - machnął ręką chłop. - To jeszcze nie wiosna. Ale akuratne ciepło jak przyjdzie, to myślę, że Józiuczek i pole wybronuje, a może nawet za pługiem pójdzie. Podano gorącą herbatę, nastawioną na suchych malinach, z cukrem. Leszek mało jadł, tylko łapczywie pił słodki wrzątek.

- No, a ty jakże tam? - zagadnął młody chłopak. - Tę swoją Naście czy jak ona, rzuciłeś?

Leszkowi wydało się, że winien uczynić w odpowiedzi jakiś lekceważący gest, ale w tej chwili zadrgała mu dolna szczęka i prędko przytknął do ust szklankę. Józiuk roześmiał się i uderzył go żartobliwie po ramieniu. Leszek sparzył się w język.

- Ale coś ciebie to nie bardzo doktor wyleczył - zauważył chłopiec. - Słabo wyglądasz. - Istotnie, od gorącej herbaty i zmęczenia oczy kleiły się Leszkowi, kłoniło do snu i z największym jedynie wysiłkiem utrzymywał pozory dziarskiej postawy. Wyjaśnił, że umówił się tu z Florem.

- Po co?

Leszek zmieszał się i nastąpiło kłopotliwe milczenie.

- No - mruknął stary, dostrzegając jego zmieszanie - po cokolwiek. Jest znaczy po co, jeżeli umówili się. Czy to przed każdym trzeba spowiadać się. - Przełknął i dodał napocieszenie: - Nie słyhać było, jeszcze nie przychodził, ale wraz nadejdzie, ten Flor.

W tej chwili na podwórzu zaszczekał pies. - A może i on

- mruknął stary, podnosząc się z ławy i wyszedł zobaczyć. Ale to był tylko sąsiad w jakiejś gospodarskiej sprawie. Gdy zostali sami, Józiuk ponownie zagadnął:

- I co ty z nim będziesz robił?

- Do puszczy pójdę.

- Po co, do puszczy? Co w puszczy robić?

- Widzisz... - zamrugał oczyma Leszek, przygarbił się, urwał i z zażenowaniem, spode łba spojrział na chłopca. Tamten nic nie zrozumiał i też zamrugał jasnymi rzęsami, patrząc

na gościa.

75

Leszek był tak wdzięczny za przyjęcie, którego doznał w chacie, że zaprzagnął, aby wszystko ułożyło się dobrze i może dlatego właśnie zapytał:

- Ty myślisz, że on przyjdzie?

- Kto, Flor? Jak powiedział, to dlaczego ma nie przyjść.

Przyjdzie. Na pewno. Ale chyba dopiero wieczorem, może jutro rano.

Ale rano go nie było. Wiatr uspokoił się nieco przez noc, za to na zmianę przyszedł mróz. Silny mróz marcowy; skuł kałuże lodem, a błoto na drodze w twardą grudę.

- Nie ma jego - powiedział na przywitanie Józiuk, trzaskając drzwiami, gdy Leszek leżał jeszcze okryty kożuchami.

-Leż, leż, wypocznij - dodał grzecznie.

Flor nie przyszedł ani następnego, ani trzeciego dnia.

Trzeba było wstać z łoża. Gospodarz milczał. Z synem Leszkowi też nie kleiła się jakoś rozmowa. Herbaty nastawionej na malinach więcej już nie podawano. Na stole stała miska kartofli i druga z zacierką na mleku. Gospodyni bez słowa położyła koło Leszka drewnianą łyżkę. Cały dzień siedział przy oknie i patrzył na drogę, ale niedużo mógł dostrzec: droga ginęła między opłótkami wsi, perspektywę zasłaniała poczerniała strzecha sąsiedzkiego chlewu. Mróz trzymał. Raz czy dwa przejechała furmanka, a koła dudniąc podskakiwały na grudzie.

Leszek wychodził tylko za stodołę za swoją potrzebą i zimno przejmowało go do kości; wracał biegiem do chaty.

Wieczorem, za przepierzeniem, dosłyszał rozmowę prowadzoną szeptem:

- Długo on tu będzie jeszcze siedział? - pytała stara.

Józiuk coś odpowiedział, czego nie można było usłyszeć.

Wtedy znowu matka, której głos był bardziej przenikliwy:

- Jak chory, niech do szpitala idzie. Czego wychodził. Tu nie szpital, żeby darmo karmić...

Leszek nie miał przy sobie ani pieniędzy, ani rzeczy, ani niczego prócz zupełnie nieprzydatnego mu w jego sytuacji karabinu. W rzeczywistości, co można robić na szerokim świecie z karabinem? Ludzi zabijać? Nie, życie to nie bajka. W życiu rzadko się strzela, a ciągle się płaci. Przygnębienie Leszka

76

rosło: zacierka na mleku też kosztuje. I postanowił: jeszcze jeden dzień.

Flor nie przyszedł. Kolacja minęła w zupełnym milczeniu.

Józiuk patrzył w bok, unikając wzroku gościa. Dopiero gdy wstawali od stołu, gospodarz przeżegnał się znakiem krzyża i zawyrokował:

- Nie przyjdzie już ten Flor.

Leszek nic nie odpowiedział. Przytakiwać nie chciało mu się, wyrażać nadziei nie śmiał.

Nazajutrz rano wciągnął szynel, zapiął pas, przerzucił przez ramię karabin i podziękował za gościnę. Józiuka nie było w domu. Gospodarz ucieszył się, i dlatego powiedział bez

przekonania:

- Ostałby się może jeszcze....

- Nie, nie! - zaprzeczył Leszek.

Wtedy stary dał mu kawałek placka z grochowej mąki, jaki ludzie w puszczy biorą ze sobą w drogę ze względu na jego wyjątkową pożywność.

77

We wsi Pieski szukał Luby, dawnej przyjaciółki Flora.

Ażeby zapytać o nią, wstąpił do pierwszej z brzegu chaty, która leżała nieco na uboczu od wsi. Miała tylko jedną izbę i wielki piec. Mieszkało w niej dwóch starców. Leszek przysiadł się na ławie, nie zdejmując czapki, i poprosił pić. Jeden z gospodarzy chętnie zaczerpnął kubkiem w drewnianej kadzi, która stała w rogu i podał gościowi kwasu brzozonego. Później zastanowił się nad pytaniem Leszka:

-Która Luba?...

Drugi starzec siedzący na łóżku, przyglądając się własnym, zwieszonym, bosym stopom, kiwnął głową: - To będzie ta pewnie... wiesz?... No, co dziecko rodziła latem.

- A co, czy ona wyszła za męża? - spytał Leszek z odcieniem rozczarowania.

- Nie. Tak, przyżyła z kimś - odparł poważnie. - Nie ma jej już tu. - Następnie wyjaśnił, że jesienią był pożar, który strawił ich dom. Rodzina przeniosła się do puszczy, do wsi Łosie, gdzie ojciec miał kawał gruntu, na którym gospodarował brat. - Nie było im jak tu żyć - zakończył.

- No pewnie, bez domu, nie mająk - przytaknął pierwszy.

Leszek odstawił kubek i podziękował.

- Nie ma za co - odpowiedzieli zgodnie.

78

Obydwaj mieli siwe brody i to ich wzajem do siebie upodobało. Czy byli to jednak bracia, krewni, czy tylko przyjaciele, trudno było wymiarkować. Żyli tak dawno w tej chacie razem, że nie wszyscy nawet we wsi pamiętali, czy obumarły ich żony, czy mieli kiedyś osobne gospodarki i jakie losy zapędziły ich na głęboką starość do tej wspólnej izdebki bez zabudowań gospodarczych, bez ogrodzenia, bez inwentarza. Ktoś tam twierdził ponoć, że przed laty słygnęli jako sławni kłusownicy, spory szmat życia odsiadując po więzieniach powiatowych, ale czy była to prawda, czy jedna z tych legend, którymi obfituje puszcza, nikt nie dochodził ze względu na obojętność sprawy, która zresztą dotyczyła czasów bardzo odległych. Byli tak biedni, że nie obawiali się gościa: nie można ich było ani okraść, ani objeść. Kartofli uprawiali tyle, że starczyło im na cały rok i jedząc je, popijali kwasem brzozowym. A skąd brali pieniądze na zakup soli, nie wiadomo. Skądciś musieli brać. Może jeszcze sidła stawiali na ptaki, może trudnili się czasem przygodną pracą u sąsiadów. W każdym razie nie było o tym mowy. Jeden ze starców, Mateusz, który siedział na łóżku, potrafił wiele godzin z rzędu nie uczynić żadnego ruchu, co najwyżej palcami bosych stóp,

ale też rzadko. Drugi, Jakub, który chodził cicho w łapciach z lipowego łyka, od dwóch lat cierpiał na dziwną manię: a mianowicie uzupełnienie swego bardziej niż zaniedbanego wykształcenia. Kilkakrotnie próbował nawet wyuczyć się alfabetu, ale mu nie szło: był dalekowiedzem, a z bliska nie bardzo mógł rozeznaczyć kształty liter. Chciał więc dowiedzieć się o rzeczach drogą ustnego rozpytania, ale mało miał ku temu okazji. Za to dużo myślał i z tych myśli układał teorię życioznawczą. Żartowano z niego, że mania do nauki była tylko wynikiem chorobliwej a raptownej ambicji zostania sołtysem wsi Pieski. Zaprzeczał temu kategorycznie, ale nawet Mateusz kiwał w takich razach porozumiewawczo głową, widocznie na znak, że i on posądzał Jakuba o tajemne aspiracje. Nie twierdził jednak ani że tak, ani że nie.

Flora żaden z nich nie znał i nie pamiętał:

- Co on, wojenny czy wolny? - spytał Jakub.

79

Leszek wytłumaczył. Wtedy rozsądzili między sobą, że jeżeli miał przyjść, a nie przyszedł, jak umówiono, do Muchanowa, tedy chyba istotnie powinien zajść do Piesków. Bo skąd może wiedzieć o pożarze. O pożarze na pewno nie słyszał.

- Nie - przytaknął Leszek.

- No, jak nie słyszał, to gdzież jemu pójść, jak nie do swojej baby. A rzeczy miał jakieś?

- Miał i swoje i... - zająknął się - moje.

Mateusz wpatrzył się w wielki palec u nogi. Jakub niechętnie, ale wtrącił:

- A może po prostu żulik?

Leszek zaprzeczył gorąco. Starzy nie nalegali. Musiał lepiej od nich wiedzieć.

Leszek zamieszkał na razie u nich. Rozesłano mu bardzo stary kozuch na piecu, a przykrywał się własnym płaszczem. Jadł kartofle i popijał kwasem.

Drugiego dnia Jakub, popatrując w maleńkie okienko, z którego jedna szybka zapchana była workiem, odezwał się niby od niechcenia:

- Co ja to chciałem spytać... Aha, jaka to, powiedziec mnie, będzie różnica między arytmetyką i gramatyką?

Leszek też spojrział w okienko. Drobnny śnieg jak biała kaszka, pędzony wiatrem, przesłaniał widok puszczy.

Westchnął i zaczął tłumaczyć. Jakub słuchał z napięciem i z widoczną trudnością. Gdy Leszek skończył, zapytał:

- Czy to prawda, że cara już nie ma?

Mateusz tym razem uniósł twarz i utkwiał swe wodniste źrenice w gościu. Potem razem pokiwali brodami na znak współczucia.

Żaden z nich nie żałował kartofli, które zjadł u nich Leszek, ale Jakub zrazu ostrożnie, a czwartego dnia już wyraźnie dał mu z powagą do zrozumienia, że posiadając tyle wiadomości, marnuje swoje życie.

- Mówią - zaznaczył - że ziemia jest okrągła. Ale nawet niech będzie sobie płaska, to przecież taka da! Ohoho... A cóż

tu...

Później spytał Leszka, dlaczego uciekł z wojska. Bał się?

80

Leszek chciał splunąć zamaszycie śliną, jak to u innych widywał, ale miał wyschnięte usta, więc z tym większą brawurą wzruszył ramionami:

- Bać się! Też... Czego?! - i machnął ręką z lekceważeniem.

- No, to... po co?

- Bo nudno.

- Aaaa... - zrozumiał Jakub. I po chwili jeszcze: - Uhum

-hum... - wypowiedział to z taką powagą, że gość nabrał doń zaufania i po raz pierwszy nie wstydził się podzielić ze starymi własnym poglądem na życie. Powiedział o sprzecznych pragnieniach, które nim targają i o niezbyt jasnych motywach, które zagnały go tu z tego zapadłego, małego miasteczka...

-Jakub przerwał: on też był w tym mieście. Dlaczego ono zapadłe? Ładne miasto, owszem, kto ma pieniądze, oho...o...

- Ja nie mówię, że brzydkie - zgodził się Leszek, - ale...

- Izaczął z kolei opowiadać o szpitalu, o Florze. Przemilczał tylko o Naści i stosunku, jaki ją łączył z Helą, a też z nim; wstydził się. Potem jeszcze raz o Florze i tym wszystkim, co mu tamten opowiadał o puszczy.

Mateusz słuchał, siedząc ze zwisającymi z łóżka nogami, a Jakub podszedł do paleniska i poruszył tylko garnkami bez widocznej przyczyny.

- Może być. Może być - przytaknął. - Cóż... puszcza...

Wiadomo, las.

Nastało bardzo długie milczenie. Potem Jakub przyniósł z sionki pieńek smolana i przytrzymując go rozstawionymi nogami, strugał siekierą łuczywa na rozpałkę. Leszek zamilkł, rozczarowany trochę rezultatem swej wylewności. Gdy łuczywa zostały porąbane, starzy zabrali się do obierania kartofli. I wtedy to Jakub zagaił przemowę:

„Że las jest lasem, a pole, na przykład, naturalnie tylko polem. Ale nie to jest ważne, czym ziemia jest pokryta: lasem, polem czy miastem. Ważne jest związanie z nią człowieka...”

- Jakie związanie? - spytał Leszek.

- Zwyczajne. Czym człowiek jest związany. Bez związania człowiek żyć nie może, a przede wszystkim jego chata i jego żarcie egzystować nie mogą. Przez las można iść, ale nie można w nim żyć. Żyć można w chacie tylko.

81

- No, a Flor na przykład mówił...

- Flor! Dobrze jemu było opowiadać, temu twemu Florowi, o puszczy, kiedy u niego była ciepła ziemianka i w niej może wszystko... Znaczy był związany. Jemu ta ziemianka z nieba nie spadła. Dla jakichś spraw była zbudowana. A pod krzakiem żyć nie będziesz. Po pierwsze zimno. Wiewiórka w dziupli może mieszkać, a i to osobne gniazdo sobie buduje wysoko na drzewie. A człowiek... Co tu i mówić o człowieku! Człowiek spętany jest od dziecka, ot, przykładem jak ten koń na pastwisku. Tych pęt nie rozerwiesz.

- A ja spróbuję! - odparł z przekorą Leszek.

- Puste słowa.

Mateusz uznał za stosowne złagodzić nieco tę odpowiedź:

- Dlaczego, spróbować można.

- Nawet Chrystus mówił - zaczął Leszek - że ptaki niebieskie nie sieją, nie orzą... i stawiał je za przykład.

Mateusz splunął dyskretnie na klepisko i tym razem podtrzymał Jakuba: -To Chrystus, może On wiedział jak to robić, ale ludziom nie powiedział. Wiadomo, słowo Boże, nie nam do Jego mądrości.

- Owszem - podjął Jakub - i ja wiem, że tak powiedział, ale fakt, że człowiek tak nie pożyje, nie siejąc, nie orząc. To fakt.

- No, a jak wy żyjecie?!

- My, to co innego. Kartofle sadzimy... - odparł niechętnie.

- Wiosną brzozy nacinamy, sok puszczaemy. Po drugie, my...

U nas jest chata.

- To znaczy - zareplikował Leszek - chata to najważniejsza rzecz na świecie?!

- Najważniejsza - odparł Jakub i zwrócił się do Mateusza:

-Dość już chyba obierać, starczy na kolację. - Poniósł garnek i zaczął płukać kartofle. - Tak, chata. Najważniejsza. Bez chaty tylko Kain żył.

Leszek włożył na piec i wyciągnął się na kozuchu. Kain przypomniał mu znowu dzieciństwo. Matka uczyła go Starego Testamentu. W książeczce były ładne obrazki: drzewa, palmy, owoce, zwierzęta Nigdy nie potrafił zrozumieć, dlaczego to miało być dla Kaina tak wielką karą chodzić sobie po świecie w ciepłe, z przewieszoną skórą zamiast ubrania. Poczuł, że jest 82

głodny, i z odrazą pomyślał o suchych kartoflach. Trzeba iść... Trzeba iść dalej.

W piecu trzaskało drzewo i bulgotała woda. Wtedy zagadnął znowu Jakuba: - A może Flor zachodził do Piesek, może nie rozpytał dość dokładnie, może rozmawiał akurat z tymi, którzy Leszka nie widzieli nigdy na oczy i nic o nim nie słyszeli? Przecież chata stoi daleko na uboczu, a we wsi prawie się nie pokazywał. Mogli nie słyszeć nawet, że tu jest. Flor dowiedział się o pożarze i poszedł do Łosiów. Mogło tak być?

- Być to mogło. Dlaczego, owszem. Różne rzeczy bywają.

Leszek wytrzymał dłuższą pauzę, a potem powiedział:

- Chyba już pójdę, niezadługo.

- Dla nas to wszystko jedno - odparł Jakub. - Nam miejsca w chacie nie szkoda.

- Nie, trzeba iść. Muszę iść.

- A w jakiej sprawie?

- Jak to: „sprawie?”

- No, a jak bez sprawy? Bez sprawy ludzie nie chodzą.

- W tej samej sprawie! Co właśnie mówiłem: może Flor...

- A... W tej. No, cóż, jak nie ma innej...

83

Flor spakował swoje i Leszka rzeczy do plecaka, nie na

zajutrz, a dopiero trzeciego dnia. Po prostu został o jeden dzień dłużej. Rzadko mu się zdarzało nie przyznawać przed samym sobą do motywów swego postępowania, ale się zdarzyło.

Jeszcze jeden dzień: cóż wielkiego...

Plecak był ciężki. Uniósł go z ziemi, położył z powrotem i dla czegoś kopnął go leciutko nogą. Potem stał nad nim i drapał się w głowę. Wreszcie poszedł na górę do Heleny. Stapał krokiem powolnym i ciężkim jak ołów. Schody pod nim skrzypiały do tego stopnia niezwykajnie, że Helena, słysząc te kroki, otworzyła drzwi, aby zobaczyć kto idzie.

- Wychodzę - powiedział krótko.

Zmierzyła go wzrokiem od stóp do głowy i cofnęła się, dając do zrozumienia, aby wszedł.

- Dokąd? - spytała.

W odpowiedzi machnął ręką.

Wiedziała już, że Leszka nie ma od dwóch dni, ale nie spytała jeszcze, gdzie się podział. Nie chciała pytać. Woląca zaczekać, aż Flor sam jej to powie. On stał milcząc.

- Dokąd idziesz? - ponowiła pytanie.

- Sama chciałaś... Wyprowadziłem.

Nastało milczenie.

84

- Dziękuję - szepnęła.

Flor skinął nieznacznie głową i zrobił nieokreślony ruch odwracając dłonie. Odchrząknął: - No, a teraz ja z tyłu, za nim... - I pomyślał, iż jeżeli go spyta, czemu nie wyszedł razem, nie będzie wiedział, co odpowiedzieć, podobnie jak nie wiedział, co odpowiedzieć Leszkowi, jak nie miał odpowiedzi przed samym sobą. Ale Helena nie o to pytała, tylko zwyczajnie:

- Po co?

- A no, tak już... Mam jego rzeczy... A po drugie, cóż on beze mnie robi. Zdechnie.

- Niech zdycha.

Flor po raz pierwszy podniósł wzrok i spojrzał jej w źrenice. Na krótką chwilę oczy ich spotkały się, ale nic nie wynikło z tego spotkania.

- No, a jeżeli, na przykład, wróci? - mruknął, znów odwracając głowę.

Zdawało się, że oboje przez chwilę zastanawiali się nad tym pytaniem, ale ona miała gotową odpowiedź:

- Nie wróci. - I po chwili ciszej: - Nie chcę, żebyś szedł.

- A jednak może wrócić...

- Nie wróci tu - wymówiła z naciskiem. - Jak wróci, to go aresztują. Dziś rano zameldowałam, że uciekł ze szpitala.

- Phiii... - gwizdnął przeciągle Flor. - Ot, jak zrobiłaś?

Nie odpowiedziała.

- Bierzesz na swoje sumienie?

- Biorę. Nie chcę, żebyś szedł.

Flor spuścił wzrok.

- Może być, że nie chcesz. Ale co tobie z tego... A może tylko, żeby jemu na złość?

- Nie chcę zostać zupełnie sama.

- Sama... - powtórzył jak echo. - Sama. W mieście przecie,
nie na pustyni.

Milcząc odeszła od okna.

- Rodzice twoi nie żyją - powiedział nie pytając, bo już
o tym wiedział od dawna.

- Nie żyją.

- Nie żyją, ale i ty nie jesteś mała. Krewnych tu nie masz?

85

-Jedna siostra mamy... Ciotka, znaczy. Ale nie tu. Daleko.

- Odwróciła się od okna, patrząc mu w twarz: - Mieszkałam
kiedyś u ciotki, ale jak dowiedziała się... Wygnała z domu.

-Powiedziała tonem wyzywającym. Flor złagodził to wyzwanie
obojętnym wyrazem:

- Co tam tobie z ciotki dzisiaj.

- Tu nie o ciotkę chodzi.

-Tym bardziej.

Helena raptownie ścisnęła obydwie dłonie w pięści i
przycisnęła je do ust. - Samej straszno...

- Czego straszno, Hela? - Pomyślał, a później dodał
szepem: - A może Naścia wróci?...

Drgnęła, ale nic nie odpowiedziała, tylko mocniej zacisnęła
pięści koło ust, jakby je chciała ugryźć.

- Ja przepraszam, Hela, ja nie chciałem... Ty wiesz, ja w tej
rzeczy nie wyznaję się.

- Zostań - szepnęła błagalnie. - Ja ciebie proszę, zostań.

Ty jeden jesteś, który... rozumie. - Nie powiedziała nic więcej,
nie odjęła rąk od ust, ale zaczęła raptownie chodzić po swym
pokoju tam i z powrotem: od dwóch łóżek, które stały pod
ścianą, aż do okna. Nad łóżkiem, w którym kiedyś spała
Naścia, wisiał na ścianie na niebieskiej wstążeczce gipsowy
talerzyk z jaskrawą, czerwoną różą; widocznie niezbyt dawno
odlany, bo jeszcze nie popstrzony przez muchy. Na kołdrze
spal ryży kot.

Flor milcząc grubymi palcami wyrywał jakąś nitkę, która
sterczała z górnego guzika szynelu. Wciąż wymykała się mu
spod paznokcia, więc szarpał ją coraz zacieklej i coraz bardziej
nerwowo. Nitka była za krótka.

- Co tam tak wyszarpujesz?... usłyszał nagle szepł Heleny,
łagodny, prawie przymilny. Przystanęła tuż przed jego twarzą.
Niebieskie tęczęwki jej oczu były w tej chwili miękkie jak atlas,
szeroko rozwarte, prawie dziecinne.

Chciał nawet powiedzieć do niej w ten sposób: „Dziecko
z ciebie, Hela...” Ale nie rzekł nic, postać jeszcze chwilę,
potem zawrócił bez słowa, wyszedł, przymknął za sobą cicho
drzwi i schodził ze schodów, stopień po stopniu, a one

86

skrzypiały. Helena nie zdając sobie z tego sprawy, zaczęła liczyć jego
kroki.

Flor wyszedł do ogródka i rozejrzał się. Kryta gontami
studnia, budynek łaźni, ławka, wszystko było na swoim
miejscu; i płot pochyły, wsparty o pień topoli. Tylko pod ławką
stała teraz kałuża wody. Deszcz ze śniegiem zaciął ukosem.

Przejmowało wilgotnym chłodem tej najbardziej nieprzytulnej pory roku, kiedy to wiosna walczy jeszcze z zimą. Zawrócił do pokoju chorych i jał wolno, metodycznie rozwiązywać plecak, wyjmować poszczególne przedmioty i układać je z powrotem w szafce. Obok swoich rzeczy również rzeczy należące do Leszka.

W tej czynności przeszkodził mu Lodzio, który wpadł nagle zdyszany, nie mogąc z emocji wymówić słowa, i zostawiając drzwi otworem. Flor podniósł nań ciężkie spojrzenie znad plecaka:

- Zamknij drzwi.

Lodzio wskazał ręką okno. Wtedy Flor usłyszał, że po bruku jezdni, jeszcze daleko, stukają liczne kopyta koni i okute koła wozów. Wstał, minął obojętnie Lodzia i wyrzwał. Po ulicy posuwał się leniwie tabor wojskowy.

- Opuszczają miasto?! - zapytał w podnieceniu Lodzio.

Flor przyglądał się jakiś czas w milczeniu jadącym i dopiero odchodząc od okna, odparł tonem rzeczowym:

- Nie wiadomo. Może wycofują tylko tabory na dalsze etapy. Nie wychodź teraz lepiej. Czego włączysz się ciągle.

Jakub wytłumaczył Leszkowi drogę: zaraz za wsią rozpoczynał się prosty dukt leśny aż do rzeki. Może będzie tego ze dwanaście kilometrów. Na rzece mostu nie ma, ale przerzucone są żerdzie. Za rzeką ciągle jeszcze tym samym trybem aż do pierwszej drogi. Leśna, nieduża droga. Wtedy w prawo i nią aż do wsi Łosie. Trafić bardzo łatwo.

Leszek zamierzał początkowo wyjść następnego dnia o świcie, jak się normalnie wyrusza w daleką drogę, ale od południa począł go nękać wewnętrzny niepokój, w połączeniu z fizycznym prawie zniecierpliwieniem. Myśl, że miałby jeszcze raz układać się do snu na tym piecu, wydawała mu się nie do zniesienia. Wyszedł przed wieczorem. Nastaly właśnie noce księżycowe. Niebo było pogodne, ale mróz, który folgował pod wpływem południowego słońca, potęgował się z chwilą gdy wieczorna siność spowijała świat. Pociągnięte nią były i wrzosa, i pojedyncze drzewa na pasiekach, zmarznięta, skąpa ozimina pól, strzechy chat i sama puszcza. Słońce zachodziło wskutek tego fioletowo, hen, pomiędzy krańcem lasów i bezkresnymi pastwiskami, na których stały kałuże pokryte szklanym lodem.

Leszek zapuścił się w puszcę, gdy było jeszcze jasno, w miejscu, gdzie rosły wysokopienne sosny o słabym

88
podszyciu. Pochłonięty był całkowicie szybkim marszem. bezwiednie starał się iść cicho, nie łamiąc suchych gałązek, i zadowolony był, iż mu się to tak łatwo udaje, stąpając po wydeptanym kobiercu igliwia. Mech przepojony wilgocią, kora drzew, zmarznięte błoto, stare liście i młode pędy, skwaszone przez nawrót zimy, stwarzały dziwny ferment, który odurzał. Leszek wciągnął kilkakrotnie powietrze nosem, ale się nie rozglądał.

Uszedł kilka staj, gdy raptownie poczuł, że ktoś na niego patrzy... Było to wycucie do tego stopnia namacalne, że zatrzymał się jak wryty; na lewo w skos, pomiędzy rozrośniętymi krzewami jałowca, stał jeleń i patrzył istotnie. Oczy ich spotkały się na sekundę. W oddali trzasnęła złamana gałązka. Leszek rozejrzył się po raz pierwszy: wokół panował niepodzielnie szmer ciszy. Od tego spotkania nawiedziło go dziwne uczucie... Szedł prędzej, szedł ciszej, ale nie mógł pozbyć się wrażenia, że jest oto zauważony przez wszystkie drzewa i wytknięty palcem: „Ot, tu idzie człowiek...” I zdawało mu się, że ten anons biegnie przed nim gdziekolwiek stąpnie i tam, gdzie stąpnie, na swej drodze, wszędzie wzdłuż trybu leśnego, nachylają się nad nim drzewa i sprawdzają, że idzie, a dalsze będą czekać już i wypatrywać: „Ach, oto on... zbliża się, idzie, minął, zagłębia się w puszcze, coraz dalej, coraz dalej idzie w puszcze...” - „I po co im to potrzebne?” myślał Leszek i szedł jeszcze szybciej, ale nie mógł dać rady, bo drzewa przed nim już o nim wiedziały. Wtedy zaczął powtarzać słowa Flora: „Igła w stogu siana, igła w stogu siana...” - Nie, nie była to igła w stogu siana. To był jedyny człowiek wśród setek tysięcy drzew, w zapadającą, mroźną noc.

Dopiero po kilku godzinach ukazał się księżyc. Wtedy cała puszcza zajęła się jego blaskiem i zapomniała wreszcie o idącym człowieku. Zdarzyło się to niedaleko rzeki. Bokami pokryta jeszcze lodem, środkiem pchała nurt wodny, wezbrany, z migotliwą ścieżką księżyca pośrodku. Gdyby się zatrzymać i stać dłużej, można by słyszeć jak płynie - czas... Ale Leszek nie stał; było mu zimno i śpieszył się. „Pół drogi” pomyślał i szedł, szedł dalej.

89

Było już dawno po północy, gdy dotarł do wsi Łosie. Jakub wytłumaczył mu dokładnie, gdzie leży i jak wygląda chata, w której mieszka Luba: pośrodku wsi, jedyna frontem do drogi, oddalona nieco od ulicy. Znaleźć bardzo łatwo. Istotnie nie było trudno. Żaden pies nie szczekał. Wszedł na podwórko i zastukał w okno. Czekał chwilę, nie było odpowiedzi. Zastukał po raz drugi. Ktoś poruszył się wewnątrz; usłyszał szepty. Stał cierpliwie i czekał. Nie miał już teraz żadnej nadziei, że zastanie tu Flora, ale musiał stukać. Wszedł na ganek i zakołatał w drzwi. Później mocniej. Wreszcie odezwał się starczy głos, po którym było poznać, że stara się opanować drzenie:

- Kto tam?

Leszek zapytał o Lube. Nastąpiła cisza; znowu szept. Później głos kobiety:

- Kto tam?

Przybyły zapytał z kolei o Flora. Odpowiedziało mu milczenie spowodowane niewątpliwie zaskoczeniem. Domyślał się tego. Ale nie miał innego wyjścia. Od czasu gdy stał, poczuł, że zimno się wzmaga.

- Nie ma tu żadnego Flora!

Leszek zdjął bezwiednie czapkę i przeciągnął ręką po włosach. Boże, jak dawno się nie strzygł: włosy spadały mu aż

na kołnierz. Zastukał.

- Czego?!

- Otwórzcie - poprosił zachrypłym głosem, który mu samemu wydał się obcym.

- Nie ma tu tego, kogo szukasz! Po nocy nie otworzymy.

Leszek zaczął tłuc nogą w drzwi. Powinien był coś wytłumaczyć tym ludziom, ale krzyczeć poprzez deski było trudno.

- Wpuście!

- Idź, idź swoją drogą! - krzyknął chłop.

- Luba! - zawołał Leszek z ganku. - Nie pamiętasz Flora?!

- Nie znam ja żadnego takiego! Idź, idź, skąd przyszedł! Nie ma czego po nocy dobijać się!

Jednocześnie doszedł go zduszony szept: „Gdzie siekiera?”

- Wpuście, mnie zimno...

Szept: „Nie puszczaj, nie puszczaj”...

90

Leszek zerwał karabin z ramienia i zaczął tłuc kolbą w drzwi. Wewnątrz rozplakały się dzieci; ktoś je uciszał. Zaczekał chwilę, chciał znów przemówić, ale język obracał się z trudem. Wydał z siebie jakiś nieartykułowany dźwięk i począł tłuc ze zdwojoną siłą. Odpowiedziało mu teraz zawrodożenie kobiet, coraz bardziej histeryczne: - Boże mój! Boże! Nie otwieraj! Nie otwieraj!

- Idź, skąd przyszedł! - krzyknął naderwany strachem, groźbą i rozpaczą głos męski.

Leszek poczuł się bez chaty... Chciał już odejść. Zrobił nawet kilka kroków po ganku, butem wymacał stopień i rozglądnął się bezradnie. Księżyc kłonił się ku wierzchołkom lasu. Wokół nic, tylko puszcza. Wtedy rozpacz i nienawiść odebrała mu rozsądek: wpuścił ładunek do lufy, cofnął się z powrotem na ganek o jeden krok i - strzelił! Strzelił przez drzwi do wewnątrz chaty.

W pierwszej sekundzie huk przesłonił wszystko, ale zanim minął w uszach, już doszedł go krzyk prawie zwierzęcy, a jednak musiał to być krzyk kobiety:

- Ajajaj!... Aaaajajaj! Aaaa! - Wtedy zbiegł ze schodów i pobiegł do drogi.

-Ajajaj...

Biegł do puszczy. Biegł przez wieś, nie oglądając się, gnany strasznym widmem, że wszystkie drzwi otworzą się nagle i zewsząd wypadną ludzie, ludzie, ludzie, straszni ludzie, gdy trzymają w rękę siekiery i koły... „Boże, prędzej! Boże, prędzej!” Psy już szczekają. Psy, przyjaciele ludzi! A w uszach ciągle nie huk wystrzału, ale: ajajajaj.

Prędzej, puszcza! Prędzej, Boże!... Ach, puszcza, puszcza zbawicielka, byle do puszczy... Teraz pot ciekł mu po twarzy i czarna panika biegła z tyłu. Ale puszcza już niedaleko, już, już, orędowniczka słabych, opiekunka zbłądzonych, przystań nieszczęśliwych, pocieszycielka grzesznych, ratunek morderców, puklerz ściganych! Panika zaczęła odstawać, a drzewa były coraz bliżej. Panika zatrzymała się. Wtedy Leszek

odwrócił się. Nie, nikt za nim nie gonił. Psy ujadły rzeczywiście, ale nikt nie gonił. Wieś pozostała w tyle, rozplywając się w nocy. Księżyc już się chował. Zaraz będzie zupełnie ciemno.

91

Głęboko wciągnął nocne powietrze lasu, na które składa się tyle zapachów i wkroczył w gęstwinę.

Zdarza się, że człowiek, który przegra wszystko, raptownie wyciągnie szczęśliwy los na loterii i ten ratuje go w ostatniej chwili. Los taki wypada rzadko, ale się zdarza... Podobnie bardzo rzadko się zdarza, że nastają długotrwałe mrozy (czasem jesienią, a czasem wiosną) w porę zupełnie bezśnieżną. Błota leśne są wtedy skute. Pomiędzy drzewami, które rosną na kępkach jak na wyspach, oddzielone wzajem wodą, powstaje twarde, lodowy chodnik, po którym można iść jak po asfalcie: szybko, wygodnie, nie zostawiając żadnych śladów. Można nawet, kto by chciał dla rozrywki, idąc przyglądać się poprzez szkło lodu, co się dzieje wewnątrz błota, jakie tam rosną trawy rozmaite, a w głębi pływają dziwne wodne owady. Słońce prześwieca poprzez bezlistne drzewa, bieli się kora brzoź, człowiek idzie i dziękuje Panu Bogu. Wychodzi czasem na płaszczyznę zamrzniętych wód, bezdrzewną, mija ją jak plac miejski i znów zapuszcza się w las.

Leszek nigdy w życiu nie wydostałby się z tej części puszczy, gdyby był zabrnął w nią o innej porze roku.

Nie udało się zimie powstrzymać wiosny. Nie udaje się to nigdy. Ostatnia bitwa nabiera coraz bardziej cech prestiżowej walki o prywatne sprawy, które nie interesują nikogo, i wszyscy nagle mają jej dość. Zaczyna po prostu nudzić. W tym stadium rzeczy zima raptownie zwija swoje sztandary i ucieka. Zwyczajnie: pewnego ranka trawa na moczarach nie jest pokryta szronem. W koleinach dróg stoi woda. Niebo jest niskie i wilgotne, a ziemia grząska jak ciasto. Ze strzech kapie woda. Buty oblepione błotem mają ciężar stupudowych, iść jest bardzo trudno. Ale iść trzeba, bo w tym czasie nie ma się gdzie ani położyć, ani przysiąść, ani w inny sposób odpocząć, ponieważ wszystko wokół jest mokre.

Nisko nad polem biegnie wiatr z południa.

Leszkowi po kilku dniach wędrówki zaczęła się odrywać podeszwa u lewego buta; grzęznąc po kostki w błotnistej drodze, z odrazą czuł, jak wilgoć i brud wślizgują się zimno do środka. Zatrzymał się i zastanawiał, jak będzie zaradzić. Można

92

by to zrobić za pomocą sznurka czy kawałka drutu, ale I wokół ciągnęło się puste pole i nie widać było żadnej chaty. Nie było do kogo udać się o pomoc. Przypomniawszy sobie, jak to Flor prosił kiedyś Pana Boga o palto dla swej żony i uśmiechnął się w duszy pobłaźliwie dla jego ówczesnego zmartwienia. Już wiedział, dokąd idzie. Nie postanawiając niczego, po prostu wiedział. Wiedział, gdy szedł jeszcze przez puszcę, tylko tego sobie nie mówił. Może wiedział to zawsze, może nigdy się z tym zamiarem nie rozstawał? To nie miało w tej chwili znaczenia. I teraz nie myślał wcale o celu swojej podróży, ale wyłącznie o

podartym bucie. Całe buty byłyby w tej chwili celem samym w sobie, daleko ważniejszym niż wszystka przyszłość życia. Ale nie było całych butów: lewa podeszwa odpadała.

Ciągle się jeszcze zastanawiał, gdy daleko na horyzoncie dojrzał furmankę chłopską jadącą w tym samym kierunku. Oparł się o karabin, zmrużył oczy wypatrując i czekał. Znowu wyciągnął szczęśliwy los.

Chłop niezbyt chętnie godził się na podwiezienie: nie ma gdzie sięść, tłumaczył.

- Widzisz, do szpitala wiozę - wskazał ręką z biczem wstecz.

- A ty widzisz - odrzekł Leszek, nie interesując się jego sprawą - u mnie podeszwa, ot, zupełnie prawie odpada.

- I oparłszy się o bokówkę wozu uniósł nogę, zgiął w kolanie i pokazał.

- A... tk, tk, tk - cmoknął ze współczuciem chłop.

- prawda, że odpada. Hm, do miasta, trzeba?

- Uhum.

- Sam nie wiem. To chyba przy mnie, jakkolwiek, z boku...

Leszek wlaźł i pojechali wolno.

Droga była bardzo ciężka. Koła to zapadały w błoto, to stukwały o wystające kamienie; wóz się przechylał, skrzypiał, koń wyęczał nogi, wypinał się i ciągnął. Wiatr dął w twarz, nie chciało się rozmawiać i nie było o czym. Z tyłu chory czy chora (Leszek nie zapytał nawet), otulony w kożuchy i poduszki, nie wydawał żadnego głosu. Chłop widocznie był zatroskany i też milczał.

93

Dopiero jak wyjechali na suchsze miejsce i potoczyli się truchtem po grobli, Leszek zagadał pierwszy, pytając, skąd jedzie.

- Z puszczy - odparł chłop. ;

- A chory, mężczyzna, kobieta?

- Dziewczyna... - odparł z niejakim wahaniem.

- Ciężko chora?

Chłop zastanowił się, poprawił czapkę. - Trudno powiedzieć. Strzelił ktoś w nocy przez drzwi. Ranił. Nie bardzo nawet: ledwo, ledwo w rękę. Zdawało się głupstwo. Ale po kilku dniach czy zabrudziła gdzieś, czy ja wiem... Gorączka jak ogień! Ręka rozpuхла, stężała. A teraz nawet przytomność jej odeszła.

Leszek chciał się odwrócić, spojrzeć na chorą, ale było bardzo niewygodnie i ciasno się poruszać, przy tym ryzykował, że wiatr mu nadmie za kołnierz, więc zaniechał. Przeciwnie, jeszcze bardziej skurczył się pod płaszczem. Chłop też zaabsorbowany był tak dalece przebiegiem samej choroby, że zdarzenie, które było jej pierwotną przyczyną, wydało mu się mało ważne.

- Boję się, czy to nie będzie czasem od kurzego nawozu...

- podjął w zamyśleniu.

- A - przytaknął Leszek - to niebezpieczne.

- A co?! - ożywił się tamten. - Prawda?

- Tak.
 - Kurzy nawóz najgorsza rzecz.
 - Uhum. Mówią, że to groźne zakażenie.
 - Otóż i ja mówiłem właśnie. Wymyśliła kurnik czyścić.
- Mówię: gdzieś będziesz teraz, z chorą ręką, jeszcze, nie daj, Boże, zarazisz. To nie! Uparła się, powiada: trzeba przed wiosną. Mówię jej: zaczekaj jeszcze z tą wiosną! Jaka tam wiosna, zimno. A po drugie, nawet kury wypędzać pora bardzo nieodpowiednia. Korszuny rozmaite ciągną, choć one prawda i nie odlatują, jak to mówią, do ciepłych krajów na zimę, ale wiosną ciągną zawsze na północ gromadami. Wiadomo, głodne. Nie, mówi, korszunów nie widać. No, i musiała zaraza gdzieś do krwi wpaść.
- Przejdzie może - pocieszył Leszek.

94

- Dałby Bóg.
- Jakby na potwierdzenie tych słów, na tle nieba spowitego w chmury, ukazała się na horyzoncie najpierw wieża kościelna, wyższa od innych, a gdy zbliżyli się bardziej, niższe kopułki cerkwi.
- Nie dojeżdżając miasteczka, Leszek zlął z wozu, podziękował i pobrnął piechotą wzdłuż grobli, następnie bocznymi uliczkami, kłapiąc odstającą podeszwą. Szedł umyślnie drogą okólną, bokami, bojąc się natknąć na kogoś z żołnierzy. Przechodniów prawie nie widział. Tych kilku, co spotkał, obejrzało się za nim na wpół ze strachem, na wpół z ciekawością, ale minęli go bez słowa. Przelotne zdumienie jakie wyczytał w ich oczach, przypisał Leszek swemu wyglądowi, musiał być obrośnięty, brudny, obdarty. Istotnie był wychudły strasznie i zmizerowany, ale szedł, przyśpieszając kroku. Mimo woli zauważył jednak, że wszystkie domy i sklepy zamknięte były naглуcho. Jak w święto? A może coś się stało szczególnego? - przyszło mu do głowy, ale nie chciał się zatrzymywać ani rozpytywać. Już niedaleko! Zaraz, pierwsza ulica na prawo...
- Wdrapał się zaułkiem pod górę i skręcił. Jeszcze kilkanaście kroków i oto znajomy, parterowy domek, kryty przegnitym gontem, brama. Pchnął furtkę, ale była zamknięta na rygiel. „W biały dzień?!“ - zdziwił się. Zastukał i zaraz też zaszczekał piesek.
- Bobik! - przywołał go - Bobik! - Istotnie piesek poznał go i zaczął skomleć z radości. Leszka ogarnęło uczucie szczęścia. Pierwsze tego rodzaju od niepamiętnych już chyba czasów. Nareszcie kroki za bramą i głos Naścinej matki: - A kto tam?
 - To ja. Czy Naścia jest?!
- Furtka się otwarła i w niej ukazała się twarz starej, ale dziwnie jakaś chłodna i surowa. Jednocześnie w oczach jej tlił się wyraz zdumienia. Obrzuciła gościa wzrokiem i zatrzymała go na jego znaku żołnierskim, widniejącym wciąż na czapce.
- Nie ma jej... - przeciągnęła. - Nie ma Naści... w domu.
 - Nieee ma? A gdzie?!
 - Ale co tu robi!... - wykrzyknęła. - Przecież twój już

odeszli...

95

Leszek nie słuchał.

- Gdzie Naścia?!!

Wzruszyła ramionami: - Naścia pracuje. W szpitalu.

Wróciła tam. Tam i mieszka. Ale...

- Wró... - Wiadomość ta z trudem przenikała do mózgu.

On nigdy nie był zazdrosny o Hele, nigdy, a w tej chwili mniej niż kiedykolwiek. Tylko po prostu nie potrafił uświadomić sobie, że... no, że nie puszczają go do domu. Przecież przed chwilą nawet Bobik... I wyciągnął do psa rękę: - Bobik, piesek, jak się... - i nie dokończył.

Bo w tym momencie kobieta spojrzała w głąb uliczki i musiała dostrzec tam coś strasznego, gdyż uniosła ręce do głowy, krzyknęła: „Och! Boże!”, cofnęła się i zatrasnęła mu furtkę przed nosem. Słyszał jak uciekała do domu. Wtedy odwrócił się w kierunku, który ją tak przeraził.

Zza zakrętu, o kilka domów dalej, ukazała się grupa jeźdźców w nieprzyjacielskich mundurach, na czele z blondynem w niskiej, barankowej czapce na bakier i z gołą szablą w ręku. Leszek jeszcze wyciągał swoją do Bobika i stał jak skamieniały.

Dostrzegli, że był sam.

- Ej! - krzyknął jadący na przodzie. - Ręce do góry! Ty!

Tam! - Leszek ostatnim wysiłkiem trzymał się na nogach. Nie podniósł żadnej ręki. Prawą trzymał pas karabinu, lewa stężała w bezruchu.

- Nie chceesz! - przeciągnął prawie wesoło jeździec. - Ech, ty, wojaka! -I spiął konia śpiesząc się, jakby się bał przepuścić okazję. Leszkowi mignęła w oczach na tle drzew jasna kosa szabli... Konny, sprawnie, zdawało się z uśmiechem, ciął go z góry - w dół - na prawo, prawidłowo odchylając w bok łeb swego konia, wsparty ciałem na prawym strzemieniu, jakby ścinał łożę na ćwiczeniach, aż gwiznęło w powietrzu!

Odniesiono go do szpitala i położono w osobnym pokoju na łóżku, na którym swojego czasu umarł huzar.

Nazajutrz rano, jak zwykle punktualnie, przyszedł doktor Dawydow.

96

CZEŚĆ II

97/98

Z przyjaciół Leszka pierwszy zaciągnął się do wojska Kostek. Następnie prawie wszyscy koledzy z ławy szkolnej. Niektórzy dopiero gdy Kostek przyjeżdżał już na urlop w mundurze ułańskim, polowym i z kiepskiego materiału, ale z dwoma rzędami guzików, etyszkietami przy lewym ramieniu, szablą u boku i dzwoniącymi na odległość ostrogami. W istocie, nie mogło być żadnego innego wyboru. Wystarczyło zaobserwować gest, jakim Ania przerzucała warkocz na plecy, gdy w towarzystwie Kostka szła ulicą. Niby tak samo, jak dawniej, a przecież teraz z odcieniem takiego jakiegoś

wewnętrznego podniecenia odchyłała głowę w tył; a zwyczajny, dziewczęcy rumieniec na twarzy miał w sobie coś z niezdrowego wypieku gorączki. Zaimponować uczennicom, które znają życie tylko z książek, jest trudno, bo w książkach bywa moc rzeczy, które w życiu się nie dzieją, a przecież każdy mógł spostrzec, że Ania jest po prostu dumna z tego, że spaceruje z Kostkiem. Leszek nie miał też żadnych złudzeń, że zaciągnąć się musi, niezależnie od tego, że zawsze miał pociąg do długich butów z cholewami. Sprawy przybrałyby więc obrót normalny, gdyby wskutek jakiejś usterki charakteru, nie był przeciągnął terminu decyzji o dzień za długo.

Był jedyńkiem, ojciec umarł dawno. Nie pamiętał go.

Opiekowała się nim matka i stryj Cezary, który w domu stał

99
się komentatorem woli ojca, jaką by nieboszczyk niewątpliwie okazał: „...Gdyby Jaś żył...”, mawiał do wdowy; albo: „Gdyby twój ojciec żył”, zwracał się do Leszka, „toby na pewno” nie dopuścił do czegoś, nie zezwolił na coś, zakazał czegoś itd.

Leszek miał czasem wrażenie, że śp. aptekarz, jego ojciec, był jak urzędowa tablica z rozporządzeniem, na której ponad obojętną w gruncie rzeczy treścią, widnieje czarne słowo: „Wzbronione”.

Do tego się już przyzwyczał, jak zresztą do takich tablic, których była mnogość, zwłaszcza w okresach wojennych, nieprzebrana. Wszystko od lat było wzbronione: gdzieś pasać bydło, gdzie indziej chodzić, posiadać broń, sprzedawać po innej cenie, wychodzić w nocy, przekraczać tory kolejowe... Wszyscy też wokół przekraczali, chodzili i sprzedawali, i pasali bydło, zwyczajnie jak ludzie zniewoleni do tego warunkami życia.

Apteka prosperowała niezgorzej nadal. Natomiast szkoły zamknięto na okres wakacyjny, a nie wiadomo było, czy jesienią zostaną otwarte wobec przeciągających się wojen. Leszek, który miał aż dwie poprawki i musiał się przygotowywać do egzaminu, nie uczył się, a wałęsał w sposób, który się określa: z kąta w kąt... Włóczył się za Anią, dopóki nie przyjechał Kostek. Podkochał się w jej plisowanej spódniczce i doczekał, że matka nazwała Anię kiedyś „rozwydrzoną dziewczuchą”. Ale matka była, w czasie gdy prawie wszyscy synowie zapisywali się do wojska jeden po drugim, coraz bardziej rozdrażniona. Leszkowi wydawało się to naturalne: był przecie jedyńkiem. Stryj Cezary też coś przeżuwał wewnątrz i z ukosa spoglądał na Leszka z widocznym rozczuleniem. Było więc prawie pewne, że gdy Leszek ruszy na wojnę, matka przyciskać go będzie do piersi na pożegnanie, a stryj Cezary wyciągnie chusteczkę, strzepnie ją swoim zwyczajem w powietrzu i może nawet przytknie do oka.

Razu pewnego Leszek siedząc na kanapie postanowił: będzie w chwili pożegnania skupiony i spokojny; nie pozwoli się odprowadzać na dworzec; idąc sam, nałoży trochę drogi i przejdzie koło domu Ani: spotkają, dobrze, nie spotka, drugie dobrze.

Na tej kanapie siedział właśnie beczynn timer. Tymczasem w sadzie owocowym, przylegającym do domu, opadały już liście. W rękę trzymał napoczęte jabłko. Okazało się za kwaśne, nie miał go gdzie odrzucić, a wstać mu się nie chciało. W pokoju pachniało konfiturami i pastą froterowaną podłogi.

Nagle doszła go z kuchni rozmowa prowadzona półgłosem. Stryj musiał wejść bocznymi drzwiami z ogrodu i zatrzymać się w kuchni, rozmawiając o czymś z matką, która szykowała kolację.

- ... no, nie wiem, co robić... - mówiła matka. - Uczyć się nie chce, do wojska iść nie chce... - Stryj coś odpowiadał. Leszek otworzył usta, jakby przez nie mógł lepiej dosłyszeć i gdy wreszcie pojął sens, wyszeptał: „Ahaaaa...” Później wstał i wyszedł cicho innymi drzwiami do sadu. Starł się wzbudzić w sobie gorzkie refleksje. Wyobrażał sobie samotnego, opuszczonego przez wszystkich na szerokim świecie. Niebo tego wieczoru istotnie było dramatyczne, jak tylko czasem potrafi być jesienią: czerwone, żółte; chmurki barankowe podpalone łuną aż pod sam zenit; drzewa na tym tle czarne. „Na wiatr, nie na wiatr?” zastanowił się Leszek. Ale po raz pierwszy szczerze, to znaczy nie zdając sobie dokładnie sprawy, o czym myśli, wyczuł nieomal fizycznie, daleką, daleką przestrzeń ponad dalekim krajem... Słowo, które Kostek przywiózł z frontu i wymawiał z fachowym, suchym akcentem: „Pochód... w pochodzie... Poszliśmy pochodem...” stało się raptem upragnioną wizją szerokich dróg wiodących ku horyzontom. Kolacji Leszek nie jadł tego wieczoru. Wrócił do domu późno, gdy w oknach pogasły już światła, a tylko latarnia uliczna wywabiała zielonkawy refleks z wielkiej wystawowej butli aptecznej. Ale właśnie ta jego ostatnia włóczega łącznie z rozmową odbytą w kuchni wpłynęła na decyzję stryja. Nie poszedł spać i czekał na powrót bratanka.

- Mam do ciebie dwa słowa - wszedł do pokoju Leszka, małym palcem nerwowo grzebiąc w uchu.

-Hm?

- Mój drogi, wiek ma swoje prawa, jak to się mówi, ale i obowiązki... Twój ojciec by jednak... Trudno. Wszyscy jednak idą. Ostatecznie, nie możesz robić choćby wstydu matce...

101

Mimo iż wypowiedziane zdania nie zawierały nic konkretnego, Leszek kiwnął głową na znak, że rozumiał: matce nie musi być bardzo przyjemnie obcować z kobietami, których synowie poszli na wojnę, a jej własny, i do tego jeszcze jedyny, objął boki w domu. Tak to rozumiał. Przełknął ślinę, wsadził rękę w kieszenie spodni i ostentacyjnie, tyłem odwrócony do stryja, przyglądał się tapetom na ścianie.

- Pozwól sobie powiedzieć... - podjął stryj.

- Wiem, wiem - uciał cierpko Leszek.

Stryj Cezary postął kilka sekund, po czym zawrócił, zamknął drzwi i poszedł spać.

W ten sposób sprawa została fatalnie popsuta.

Pożegnanie odbyło się wprawdzie zgodnie z tradycją, ale

prawie że unikano patrzenia sobie w oczy. Stryj wyjął chusteczkę, strzepnął nią w powietrzu i wytarł zdjęte z nosa okulary, co zresztą robił wiele razy dziennie. Wzruszenie i troska malowała się na twarzy matki. Ustąpiono jednak naleganiom Leszka, aby go nie odprowadzać na dworzec. poszedł najkrótszą drogą, niosąc w walizeczce zmiany bielizny i kilka drobiazgów. W ulicę, przy której mieszkała Ania, nie skręcał.

W koszarach, gdy go oblażyły pierwsze wszy, a z nar toczył się monotony potok sprośnych wyrazów, uświadomił sobie, do jakiego stopnia świat potrafi być zamknięty, horyzonty ograniczone wolą wachmistrza, a szerokie drogi zakazane już przy bramie. Za tą bramą, po drugiej stronie drogi, nad rowem rosła jarzębina, pokryta o tej porze gronami czerwonych jagód. Z czasem Leszek, gdy miał wolną chwilę, podchodził i patrzył na nią z dziedzińca, miarkując, by wzrok jego nie wyrażał niczego poza tępą obojętnością, gdyż żołnierz w postawie marzyciela jest jednostką zarówno tępioną, jak wykpiwaną do szpiku kości. Tymczasem ta jarzębina, widoczna poprzez bramę główną, rosnąca nad rowem po tamtej, wolnej stronie muru, była jedyną rzeczą, na którą patrzył z przyjemnością z perspektywy swego rekruckiego życia. Na jarzębinę opadły gile, jadły jagody, a później zrywały się raptem stadkiem i leciały ponad mur, wymijając druty telegraficzne, otwierając i

102
zamykając skrzydełka w swym falistym locie przelatywały dach koszar i nikły. Leszek przechylał głowę, śledził je udając, że szeroko ziewa.

W dzień po pierwszym nocnym przymrozku na drzewo jarzębiny wlaźł ordynans rotmistrza i oberwał wszystkie pozostałe jagody. Leszek spotkał go na brukowanym podwórzu koszar, gdy tamten wracał już z pełnym koszykiem.

- Do czego to ma służyć? - spytał go przystając.

- Na jarzębiak dla rotmistrza - odparł ordynans, dzwoniąc ciężkimi buciskami po kamieniach.

Leszek wolno podszedł do bramy. Stał tam wartownik i jak zawsze nudził się. Po drugiej stronie drzewo ogołocone z owoców. Kilka ułamanych gałązek zwisało, ukazując matową stronę liści; kilka innych leżało na szosie. Niskie słońce przeciskało się pomiędzy kompleksami koszarowych budynków i stamtąd docierając do bramy odbijało się w ostrzu bagnetu.

Gile przestały przylatywać i jarzębina nie bawiła już Leszka. W tym czasie doszedł do przekonania, że najbardziej nawet bezbarwne życie bezbarwnej ulicy jest jeszcze wielką przygodą w zestawieniu z życiem wojskowym, o którym Kostek, przyjeżdżając na urlop, bąbał cuda. Później dopiero zrozumiał, że bajanie to należy do niepisanego kodeksu, jak wiele rzeczy nie wymienionych, ale związanych niejako z regulaminem wojskowym. Gdyby sam miał kiedykolwiek wrócić, też będzie bąbał podobnie, aby nie uchodzić za oferwę w cudzych oczach. Ale nawet w chwilach najcięższych tego okresu, na samą myśl, że mógłby stąd uciec z powrotem do domu, wzdrygał się cały.

- Wstawaaać! Te! Ofermy! - budził głos dyżurnego co rano o piątej. Nie było rady, trzeba wstawać i lodowatą wodą zmyć do pasa złe sny.

Coraz częściej więc, włączając okrakiem na swoje miejsce na górnych narach, marzył, by otwały się wreszcie bramy koszar i wypuszczono ich na front.

..., „I taki miał szczęście”, jak to powiedział później Kostek.

„Prawdziwy los na loterii!”

103

Rana zadana Leszkowi w głowę cięciem szabli w dółna prawo z pełnego rozmachu była ciężka. Ale kości czaszki wytrzymały. Czapka, bujne, nie strzyżone włosy osłabiły uderzenie. Wszakże Helena, gdy go przyniesiono do szpitala, sądziła w pierwszej chwili, że już nie żyje. Był cały ubabrany krwią i błotem, zupełnie bezwładny. Postąpiła nad nim, przez chwilę opanowana dziwną zadumą, a później zaczęła obmywać te znane jej dobrze rysy twarzy, ostrożnie odmaczać włosy z zakrzepłej krwi i brudu, dezynfekować ranę. Gdy doktor Dawydow obejrzał ranę nazajutrz, gwiznął przeciągle przez zęby:

- Mocny rębacz.

- Co z nim będzie? - spytała Helena.

- Nic, wyżyje.

- Nieprzytomny wciąż.

- Nie szkodzi. Długo jeszcze będzie. A gdzie go to diabli nosili? - dodał, ale widocznie nie czekał odpowiedzi. Był w złym humorze. Prawdopodobnie z powodu nowej zmiany władzy w miasteczku. - Czort wie co... - mrucał przez zęby i tak brutalnie rozciągnął ranę na głowie pacjenta, iż, nieczuła zazwyczaj przy opatrunkach, Helena najniespodziewaniej wydała cichy okrzyk:

104

- Oj... - W tej chwili jednak dodała sucho: - Przywieźli jeszcze kobietę. Z gangreną, zdaje się. Nie wiem - i zrobiła gest wskazujący w kierunku stolika.

- Kobietę?... - zdziwił się lekarz.

Oddział kobiecy nieczynny był od dłuższego czasu. Gdy chłop z puszczy przywiózł na wózku dziewczynę ze spuchniętą ręką, Helena nie chciała jej przyjąć. Zgodziła się dopiero nie tyle wskutek uporczywego molestowania chłopca, ile usłyszawszy relację dziwnego wypadku, jaki zaszedł w puszczy.

Trzymając bezwiednie dwie złote monety wetknięte jej do ręki, zapytała raz jeszcze, aby się upewnić: „O kogo pytał, mówisz?” - „O Flora. Ja jego znam”... - Pomogła wtedy sama zanieść chorą do dawnego oddziału kobiecego. Złotych monet nie wzięła sobie, tylko położyła je na stoliku w operacyjnym pokoju. Doktor spojrzął na nie teraz spode łba i nic nie powiedział.

Anastazji ani Flora nie było wtedy w szpitalu. Helena musiała robić wszystko sama, mając jedynie do przygodnej pomocy stróża i kucharkę.

Trzeciego dnia zajechał dwukołowy wóz wojskowy i przyszedli żołnierze zabrać rannego jeńca. Nieprzyjaciół nacierał na froncie i spodziewany był odwrót.

- Zostawcie jego. Na co on wam? - prosiła Helena, mimo woli zasłaniając sobą drzwi.

- Na cokolwiek - odparł żołnierz i, lewą ręką przytrzymując nosze, prawą odsunął niedbale Helenę na bok.

- Nie, poważnie mówię. Przecież on zaraz umrze - skłamała, tym razem głosem prawie drżącym. - Ot, ludzie...

- Umrze, to mydło zrobimy - wtrącił wesoło młody żołnierz, trzymający drugi koniec noszy. Ustawili je koło łóżka i ułożyli na nie Leszka.

Helena zawahała się chwilę. - Poczekajcie! - zawołała i pobiegła na górę. Zerwała ze swego łóżka dwie puchowe poduszki i kołdrę, przychwyciła jeszcze koc i wyszła przed szpital, w chwili gdy rannego układano już do dwukółki.

- Zaraz, zaraz - przepchnęła się między żołnierzy i zaczęła podkładać poduszki i starannie opatulać Leszka. Ten rzeził nieprzytomnie.

105

Żołnierze postali z opuszczonymi rękami, popatrzyli na jej zabiegi. Podjechał konny podoficer, spoglądając z wysokości siodła. Woźnica odwrócił się i zauważył chmurnie:

- Widzicie ją, siostra szpitalna, jak to o swojego się stara. Naszego brata by tak nie opatulała. Na peewno.

Inni nic nie odpowiedzieli. Helena zwróciła się raptem do konnego:

- Rąbnij tego po czasie szablą, a zobaczy, czy będę koło niego tak samo troskliwie chodzić, jeżeli taki ciekawy.

Wszyscy się roześmieli. - No dobrze, już dobrze - przytaknął pojednawczo podoficer. Młody żołnierz wskoczył na siedzenie obok woźnicy i mruknął do Heleny:

- Przydadzą się poduszki! Będziemy babom za jajka wymieniać - i ruszyli rażno. Białe nawlecзки podskakiwały nad kamieniami bruku.

W bramie milcząc stał stróż i oceniał w myślach wartość straconej przez Helenę pościeli. - Ciepłe popołudnie zwiastowało ustalenie się prawdziwej wiosny. Powietrze było rześkie, lekkie. Helena uniosła ręce, jakby się chciała przeciągnąć, ale poprawiła tylko bez potrzeby włosy. Było jej przyjemnie, że zrobiła wszystko, cokolwiek mogła zrobić dla Leszka.

- Kiedy to panna Nastazja wróci? Nie wiadomo? - spytał stróż w przestrzeń bardziej niżli zwracając się do Heleny.

-Grzędy schną.

- Nie wiem. Widocznie po drodze zatrzymało ich coś. Wojna może - odparła Helena. - Chodźmy już do chorej. Trzeba zmienić opatrunek.

Matka Anastazji, informując kilka dni temu Leszka, nie miała sama dokładnych informacji o córce już od dłuższego czasu, gdyż Naścia nie przychodziła do domu. Przyczyną był ojciec, który wrócił z tartaku wskutek przerwania robót.

Czasy, ciągle nie ustatkowane, brzydły wszystkim. Stary

przeklinał wojnę i własną starość. Od razu też wyładował na żonie zły humor, gdy tylko zasiadł do stołu.

- Zdaje się, ani ja, ani ty... - ale splątał ułożone zdanie, sparzywszy usta kartoflem. - Ludzie, jak ludzie, zdaje się, my. I skąd taka córka wyrodziła się paskudztwo... - wypluł

106

zpowrotem na talerz gorący kartofel, który ze złością obracał w otwartych ustach, a nie mógł ostudzić.

- Bo co?

- Co?! Ona nie wie! Wszyscy mówią, a ona nie wie! Wyhodowała k... I to gorzej niż to. Bo taka chociaż z mężczyznami zadaje się. A nasza z kobietami! Gorzej niż kaleka jaka! - Łgał oczywiście, bo od nikogo o tym nie słyszał, a jedynie w przystępie złości powtarzał to, co mu kiedyś sama żona zdradziła ze swych matczyńskich obaw.

- Co gadasz, co gadasz trzy po trzy! - rozzłościła się.

- Sama tobie kiedyś mówiłam, ode mnie słyszałeś, a teraz przyczepił się jak kleszcz! To nieprawda. Chodził przecie ten chłopak do niej. Przez niego i służbę omal nie straciła...

- Właśnie, że straciła! Służbę! Bo tamta druga... Ach, co ty mnie tu o jakimś chłopaku opowiadasz! A gdzież on podział się, ten chłopak? Z taką żaden chłopak nie pójdzie. Za taką rzecz do więzienia sadzają!

- Do więzienia nie sadzają.

- A ty cieszysz się! Co?! Jeszcze matka nazywa się!

Wyhodowała, znaczy! Won, żebym ja jej w domu na oczy nie widział! - Wpadał w coraz większą furię, i w takich wypadkach nie było sensu przedłużać z nim dyskusji. - Bo jak zobaczę, to!... - zachłusnął się.

Po obiedzie matka poszła do szpitala uprzedzić Anastazję, aby w przeciagu pewnego czasu nie przychodziła do domu. Ostrzeżenie to nie zrobiło na córce żadnego wrażenia. Przede wszystkim nie miała powodu tęsknić do domu, a po drugie nie potrafiła się nigdy oderwać myślami od rzeczy, która ją w danej chwili absorbowała, choćby to była rzecz tak mało ważna, jak kopanie grzędy. Z zapalem przyciskała łopatę nogą, zgrzana, w jednej bluzce, której koniec wyłaził jej w tej chwili spod paska spódnicy; krótki żakiecik leżał na ławce; kosmyki włosów opadały na spotniałą twarz. Wyglądała ze swymi kanciastymi ruchami na małą dziewczynkę pochłoniętą dziecinną zabawą, i widok ów wzruszył matkę.

- Naścieńka - powiedziała do niej łagodnie. - Nie męcz się tak. Co ty tu kopiesz? Co to, grędy kazali tobie kopać?

107

- I wychudłymi palcami usiłowała odsunąć z czoła córki opadające kosmyki.

- Kazali?! - Anastazja wzruszyła ramionami, wytarła rękę o spódnice i nie wypuszczając spod pachy nasady łopaty, zaczęła niecierpliwie zapychać bluzkę w pasek spódnicy. - Też, mama. Któż mnie może kazać! O, tu, widzisz będzie ogródek - uniosła łopatę, przytrzymując łokciem trzonek i wodząc nią półkolistym obrotem wzdłuż płotu. - Od tego miejsca, od tej

łaźni, aż po kuchnię. Bo co teraz za widok! Śmietnik jeden, nic więcej. A będą kwiaty. Na ławce przyjemnie posiedzieć będzie.

- Przecież nie twój. Co tobie z tego przyjdzie. Tyle pracy...

- Ach, mama nic nie rozumie.

Stara pomyślała, że więcej rozumie od córki, ale wciągnęła nosem zapach świeżo rozkopanej, wiosennej ziemi i nic nie odpowiedziała. Chciała właściwie poważnie porozmawiać o innej rzeczy, która jej leżała na sercu, a którą w sposób tak brutalny poruszył mąż, ale nagle żal się jej zrobiło psuć nastrój ładnego dnia.

- A flanców skąd weźmiesz?

- Wezmę już. Skądkolwiek.

Matka poszła jeszcze chwilę, przyglądając się robocie, a później poszła, kędy przyszła, przez bramę szpitalną, niewygodnie stąpając wykoślawionymi obcasami po wielkich kamieniach.

Gdy pomysł założenia ogródka wpadł Anastazji do głowy, stróż chciał pierwotnie protestować, ale w sprawę wmieszał się Flor. On sam z początku przyglądał się od progu, nie mogąc zrozumieć, co tam Naścia robi, później domyślił się i podszedł bliżej. Kopała odwrócona do niego tyłem.

- Dobrą rzecz wymyśliłaś - powiedział za jej plecami. Był przecie kiedyś ogrodnikiem.

Anastazja nie odpowiedziała. Nie rozmawiała z nim od chwili, gdy wróciła do szpitala, obrażona jeszcze za sprawę Leszka sprzed kilku tygodni, której przebiegu zresztą dokładnie nie знаła. Flor nie starał się też do niej zagadywać. Ale teraz nie wytrzymał. Nie wytrzymał, żeby nie udzielić rad w kopaniu; nie wytrzymał, żeby nie zapytać, co tu ma być: kwiaty czy jarzyny?

108

- Cebula! - odkrzyknęła Anastazja z udaną złością i nagle oboje się roześmieli.

Flor poszedł wziąć od stróża drugą łopatę i powiedział do niego przy tym:

- Nie mrucz, nie mrucz, stary - choć ten był w równym z nim wieku. - Takie kwiaty pójdą, że i na rynku będziesz mógł sprzedawać.

Później przyszła Helena i wszyscy stali nad rozkopaną ziemią. Sprawa wydała się nagle ważna. Z początkowych półsłówek, docinków i wątpliwości, przeistoczyła się w ożywioną dyskusję. Każdy mówił, gestykułując i dorzucając swój pomysł, któredy przeprowadzić grzędy i co sadzić. Flor rozszerzył plan i zaproponował, aby kawałek od łaźni w drugą stronę aż do kąta ogrodu, gdzie wyrzucano śmiecie, też skopać i istotnie zasiać tam jarzynę.

- Chciałaś cebulę, będziesz miała czym łyżyciskać

-zwrócił się do Naści.

- Co tam o łyżach tracić słowa - wtrącił stróż, który brał już teraz rzecz poważniej od innych. - Buraki trzeba, marchew, koperku świeżego.

- Może być i koperki - przytaknął Flor.

Szpak śpiewał, siedząc na przybitej do brzozy szpakówce w sadzie ojca Mikołaja za płotem. Gdzieś, z bardzo daleka, dochodziły odgłosy toczącej się bitwy, w gruncie rzeczy obojętnej dla wszystkich.

Najważniejszą była sprawa nasion i sadzonek kwiatowych, których nie wiadomo gdzie szukać w miasteczku. Każdy podawał inny adres, ale Flor, który świetnie znał całą okolicę, zdecydował inaczej jako fachowiec; w pewnej wsi, niedaleko, będzie z 10 wiorst, znał ogrodnika i hodowcę-handlarza nasion. Pójdą tam z Naścią i przyniosą, co trzeba.

- Weźmiemy koszyki... Co, Naścia? Ech, wiosna!

Hela też cieszyła się bardzo, że będzie ogródek.

- Pójdziesz, Naścia? - spytała zachęcająco.

Poszli więc.

Niespodziewane działania wojenne, właśnie na tym odcinku, gdzie leżała, owa wieś, odcięły Flora i Anastazję od miasteczka, które zajęte zostało przejściowo przez inne

109
wojska. W ten sposób wypadek z Leszkiem zaszedł podczas ich nieobecności. A gdy wrócili dopiero po kilku dniach, Anastazja nie zastała już Leszka w szpitalu, wywiezionego jako jeńca. Natomiast Flor zastał Lube, leżącą w kobiecym oddziale ze spuchniętą ręką, zakażoną, kurzym nawozem.

- Po coś jego dała zabrać?! - wykrzyknęła Anastazja do heleny, gdy się dowiedziała o przebiegu całego wypadku.

Ale Helena, zamiast spodziewanej u niej reakcji, wywoływanej dotychczasową zazdrością, odpowiedziała dziwnie potulnie:

- A co miałam robić, strzelać?

Flor wtrącił: - Strzelać to nie było z czego. Ale robić... Co byście z nim robiły, na wypadek, żeby teraz był?...

- Co robiły?! odpaliła bez namysłu Anastazja.

- Położyłybyśmy i spałby między nami!

- Ccccicho... Co ty gadasz! - Helena poczerwieniała i obejrzała się wokół odruchowo, jakby się obawiała, że ktoś obcy stoi w pobliżu. Flor już się nie liczył. On i tak wiedział za dużo.

- Idź, idź do swojej! - zawołała doń Naścia. - Teraz masz.

Przyjechała. Doczekałeś się.

W tej chwili na progu stanął stróż.

- Flor, to co robić teraz z tymi flancami?

Flor bez słowa poszedł za nim do ogródka i sadzili aż do zmroku, przykucnięci nad wilgotną ziemią.

110

Leszek, jako jeńiec, przewieziony został do szpitala w dużym mieście, dalej od linii frontu. Ale niespodziewane, gwałtowne kontrnatarcie wyrzuciło nieprzyjaciół z zajętych przez nich terenów i opuszczali w popłochu również i to miasto, pozostawiając nie tylko jeńców, ale i własnych ludzi w szpitalach. W ten sposób Leszek oswobodzony został nieoczekiwanie już w tydzień po swoim wypadku.

Jego pułk znajdował się w odwodzie i nie brał udziału

w ogólnym przeciwnatarciu, z wyjątkiem jednego szwadronu, w którym właśnie kiedyś służył. Szwadron jednak zabłądził w terenie, nie zdążył o wyznaczonym czasie zająć przewidzianego odcinka i w rezultacie również bezpośredniego udziału w całej akcji nie wziął. Nie stracił też ani jednego żołnierza. Dowódca pułku był wściekły na fatalny zbieg okoliczności i oczywiście na rotmistrza, który splątał drogę. Rotmistrz w cichości ducha był wściekły na samego siebie, ale zły humor skrupiał na podwładnych. W całym pułku panowało wielkie przygnębienie. Wiedzano już bowiem, że przeciwuderzenie dywizji było ogromnym strategicznym sukcesem, jednym z takich, o których się mówi, że decydują o losach całej kampanii; że posypały się ordery, odznaczenia i awanse na tych, którzy brali w nim udział. Dowódca frontu wraz z całym sztabem zjechał osobiście na odcinek dywizji. W mieście, gdzie stał sztab dywizji, znajdował się właśnie odbity od nieprzyjaciela szpital.

111

Na placu obok odbyła się uroczysta defilada przed dowódcą frontu.

Generał, sam odznaczony i w świetnym humorze po doskonałym śniadaniu, wizytował osobiście szpital wojskowy, w którym nieprzyjaciół złożył był rannych jeńców. Leszek nie odzyskał jeszcze zdrowia i choć kryzys minął, leżał wciąż w stanie półprzytomnym. Ale jego rana nie mogła budzić żadnej wątpliwości: nie był dezertorem, nie poddał się, był ranny, i to ciężko ranny, i nawet nie żadnym pociskiem z daleka, a szablą w głowę. Takiej rany nie otrzymuje się inaczej, jak w spotkaniu z nieprzyjacielem wręcz, w walce najbardziej szlachetnej i tradycyjnej. Generał okazał zainteresowanie, a lekarz wykorzystał okazję, aby i na swoje zdolności zwrócić uwagę. Trzymając głowę Leszka, tłumaczył z dużą kwalifikacją, jak poszło cięcie: mianowicie z góry w dół przy odchyleniu na prawo, ale wyraźnie od przodu. - Gdyby zadane było z tyłu, to koniec szabli, który zawsze czyni ruch półkolisty, musiałby zostawić ślad nieco zwężony poniżej ciemienia, o tu, o...

- Leszek syknął z bólu. Adiutanci, wyraźnie dzieląc zainteresowanie generała, przechylili głowy, aby widzieć lepiej. Doktor zakończył swój interesujący wykład, wykazując niezbić, co też odpowiadało nastrojowi wszystkich, że żołnierz ten cięty został w momencie, gdy miał twarz obróconą do nieprzyjaciela, a więc nie uciekał, tylko walczył... Generał wyciągnął rękę do Leszka, a że ten był za słaby, by unieść swoją, więc lekarz podtrzymał mu ją. Następnie generał kazał przedstawić tego żołnierza do najwyższego odznaczenia bojowego.

Absolutnie nikomu nie mogło zależeć na zmianie czy rewizji tego rozkazu. Dowódca pułku dowiedział się o tym fakcie w sam czas, by zdążyć zameldować się u generała.

- A widziałem, widziałem - powiedział generał łaskawie na przywitanie. - Gdzieżeście się to tak rąbali z nieprzyjacielem, pułkowniku, he?

Pułkownik ukrył wyraz zadowolenia, rozłożył ręce i skromnie się tylko uśmiechnął. - Nie puszczono nas, panie generale,

do ataku... Pominęto. A tamto, to jeszcze... - Już wiedział, do jakiego szwadronu należał Leszek i orientując się mniej więcej w sytuacji sprzed dwóch tygodni: - gdy osłanialiśmy odwrót

112

2. dywizji. Zrobiliśmy, co było można wtedy. - Uniósł brwi i tonem bardziej konfidencjonalnym: - Mogło być źle wówczas...

- Tak, tak, wiem. Gratuluję. A nazwisko dowódcy szwadronu?

- Jest w przyległym pokoju, panie generale.

Rotmistrz wszedł i z brzękiem ostróg zestawiał obcasy w progu. Generał, podnosząc się z krzesła na wysokość odpowiednią dla różnicy rangi, wyciągnął rękę. Rotmistrz podszedł szybko i po raz drugi dźwięknął ostrogami.

- Dzielnych ma pan ułanów, rotmistrzu.

- Rozkaz, panie generale!

Wachmistrz był starym służbistą, stąd wiedział zawsze, co ma czynić w każdej sytuacji: przede wszystkim mówić mało, natomiast odbierać i wydawać rozkazy. Bywają jednak rozkazy nie wydane, które wszelako również należy wykonać z tą samą służbową skrupulatnością. Rotmistrz nie powiedział mu ani jednego słowa, ani też żadnym półsłówkiem nie dawał nic do zrozumienia. Wachmistrz był tylko niemym świadkiem wypadków. Przypomniał sobie tedy jakieś doniesienie, które otrzymał kilka tygodni temu ze szpitala w pewnym małym miasteczku, pisane, o ile go pamięć nie myliła, ręką kobiecą. Nigdy nie lubił pracy kancelaryjnej, ale zadał sobie tyle trudu, by przeszukać stare szpargały. Wyjął stamtąd jeden papier listowy błękitnego koloru i nie czytając, bo znał jego treść, zniszczył. Następnie o nim zapomniał.

Gdy poszedł odwiedzić Leszka w szpitalu, zastał przy jego łóżku Kostka. Kostek najwyraźniej chciał o coś rozpytać rannego, który czuł się słabo i któremu mówienie mogło tylko zaszkodzić. Dlatego wachmistrz spochmurniał. Wtedy to właśnie, Kostek, zwracając się do wachmistrza, powiedział owe słowa:

- Ot los na loterii wyciągnął, co, panie wachmistrzu?

A odpowiedź wachmistrza, której Leszek nie dosłyszał z powodu szumu w głowie, brzmiała:

- Z patrolem po siano! Jazda. - Gdy Kostek wstał niechętnie, a później ruszył ociężale w kierunku drzwi, zawołał jeszcze za nim: - Tylko kwaśnego mi nie brać! No, już!

113

Leszek otrzymał jednorazowo wypłacony żołd, diety urlopowe i od pułkownika prywatnie parę setek. Poza tym przyznano mu pensję za order. Mimo iż wszystko wskazywało, że wojna ma się ku końcowi, gdy tylko mógł wychodzić ze szpitala, kazał sobie uszyć elegancki mundur u żydowskiego krawca w mieście. - On, który pod wpływem głębokiego rozgoryczenia pierwszego okresu swej służby, postanowił był nie pisać wcale do domu, a prawdopodobnie nigdy już do niego nie wracać, wysłał teraz serdeczny list do matki; wspominając o

ranie i o wysokim odznaczeniu, zapowiedział swój powrót i wyznaczył dzień przyjazdu. Gdy tylko mundur był gotów, z obandażowaną głową i z krzyżem na piersi pojechał do domu. - Leszeczek!... - matka nie była w stanie wymówić więcej, przyciskając go do piersi. Leszek dzierżył w prawej ręce walizeczkę, lewą podtrzymując długą, w metalowej, błyszczącej pochwie, szablę, bardzo nieporęczną na wojnie, ale efektowną, którą nabył w sklepie ozdób wojskowych. Matka, całując go, potrafiła okuty daszek nowej czapki, która ześliznęła się wskutek tego na tył głowy. Wszystko to razem przydawało jego postaci trochę nieporadny i dziecinny wygląd, nie taki jaki zamierzał przybrać na peronie po wyjściu z wagonu. Ale mimo woli sam się rozrzewnił i wzruszył szczerze.

114

Z obciążonymi rękami spoglądał ponad plecy matki na znajomy dworzec kolejowy, nieomal z uczuciem zdziwienia, że nic się wokół nie zmieniło. Stryj stał opodal i czekał swojej kolejki w ceremonii powitalnej. Bandaże można było już właściwie zdjąć, ale Leszek postanowił uczynić to dopiero pojutrze.

- Proszę jechać powoli - zadysponował surowo stryj woźnicy - i nie trząść! - Nie dodał przy tym żadnego komentarza. Ale zarówno woźnica, jak ludzie na chodniku, którzy słyszeli te słowa, rozumieli doskonale, iż chodzi tu o rannego. Leszek jedynie wysiłkiem woli powstrzymywał rozpierającą go radość i zachowywał należyłą powagę. Z przyjemnością myślał o dzisiejszym i następnym dniach, które go czekają.

- Leszeczeku - mówiła matka - masz przygotowane łóżko i kładź się zaraz.

Ale Leszek po śniadaniu wołał zaraz pójść na spacer. Stryj postanowił mu na tym spacerze towarzyszyć, czego dotychczas nigdy nie robił. Nie powiedział, że w obawie, aby nie zesłał na ulicy, można się było jednak tego domyślać.

- Zateśknił - spojrzał znacząco na bratową.

- Ale czy to nie będzie za duży wysiłek?...

- Ee, da radę. Dał radę na wojnie, to da i na chodniku.

Leszek uśmiechnął się z dowcipu. - Szli milcząc. Stryj Cezary, jak przystało na człowieka dojrzałego w sprawach pokoju i wojny, nie wypytywał o szczegóły ani o przebieg potyczki, ani o tzw. wrażenia z bitwy. Wiedział czy też wyczuwał, że takich rzeczy między mężczyznami się nie wałkuje. Raz tylko, przerywając milczenie i nasepiwszy brwi, zagadnął fachowo:

-I toś w konnym szyku, oberwał to... - podrzucił podbródkiem w kierunku bandaża.

- Uhm - odmruknął Leszek.

- Uhum - przytaknął stryj, jakby się niczego innego nie mógł spodziewać. Kroczyli powoli. Leszek z rzadka odsalutowywał znajomym, stryj Cezary kłaniał się poważnie, bez cienia afektacji. Spotkali nawet Anię. Ubrana była w ładną letnią sukienkę i miała inaczej uczesane włosy. Wyglądała też o wiele powabniej niż kiedyś, gdy nosiła się jak uczennica. Leszek wymienił z nią kilka powściągliwych zdań. Stryj zaprosił ją wraz

z mamą na jutrzejszy, niedzielny wieczór.

Wszystko - i herbatka niedzielna, i następne tygodnie stanowiły źródło dużych przyjemności dla całego domu. Matka była dumna z syna w sposób tak naturalny, którego się nie okazuje a który przez to staje się dla otoczenia zupełnie zrozumiały i nawet sympatyczny. „No, cóż pani chce, mawiały sąsiadki, nie każda ma takiego syna, który wraca jak bohater, z krzyżem”. Odpowiadała wtedy: „Ach, mój Boże...”

i rozumiano, że ma na myśli ranę, która o pół centymetra głębsza okazać się mogła śmiertelną. I to jaką ranę! Nie byle jaką, pospolitą, lecz ciętą szablą, rycerską ranę w starciu na białą broń.

Leszka w tym czasie ze dwa-trzy razy nachodziła chęć spojrzenia na rzeczy ze złośliwą ironią, ale za każdym razem odrzucał ją od siebie, a zresztą żałował po prostu czasu na próżne refleksje. Raczej pogardliwie zaczął się odnosić do własnych, przedwojennych nastrojów i tęsknot. Dawne marzenia i „wyrwania się” do czegoś nieokreślonego skłonny był teraz traktować jako dziecinadę. - Człowiek „wrywa się”, gdy mu jest źle - myślał. - Ale gdy jest dobrze...

Zdarzyło się jednak, że idąc chodnikiem zatrzymał się przed sklepem tytoniowym i przyglądał reklamie. Zrazu bezmyślnie, później z domieszką pobłażliwej ironii, aż raptem przykuła jego wzrok i zaczął ją chłonąć łapczywie. Nawet obejrzał się ukradkiem, czy go kto nie widzi, bo w istocie śmiesznie jest stać tak przed śmieszną reklamą i wypatrywać oczy, ale ulica była pusta. Reklama była banalna:

przedstawiała okręt z rozpiętymi żaglami na pełnym morzu, który wiezie ładunek najprzedniejszego tytoniu z dalekich wysp w porze zachodu słońca; zachód ten utrzymany był

w barwach, które zazwyczaj wydają się wulgarne w swej przesadzie.

Jednak w tej chwili nasuwały myśli, wspomnienia, może ułamki snów kiedyś prześnionych czy też skrawków jawy zapamiętanych jako sen... - Znajomy sklepikarz zobaczył go przez witrynę, otworzył drzwi i zaprosił uprzejmie do środka.

Leszek drgnął w pierwszej chwili, zbudzony nieprzyjemnie, ale

już ocknąwszy się, wszedł z zadowoleniem, palił proponowane mu papierosy i na pytania opowiadał o wojnie w słowach tak banalnych i bezbarwnych, że mimo woli sam się temu dziwił.

- Przepraszam - przerwał mu w pół zdania sklepikarz, usłyszawszy, że w przyległym pokoju jego żona targuje się z jakimś klientem. - Na chwileczkę - i wyszedł. Gdy powrócił po minucie do sklepu, Leszek wstał, aby się pożegnać. Sklepikarz zapraszał go uprzejmie, aby przychodził, ale ani jednym słowem nie okazał zainteresowania dla przerwane opowiadania, którego najwidoczniej słuchał tylko przez grzeczność i o którym już zapomniał.

Na beztróskim próżniactwie minęło kilka tygodni.

Po raz pierwszy naszło go to, gdy padał deszcz, a on siedział w swoim pokoju i czytał książkę. Zdawało mu się, że wciąż czyta i czyta dalej, gdy uświadomił sobie, że litery biegną

bez logicznego związku, sens się urwał, a do mózgu dobija się jakaś natrętna myśl, o której już teraz wiedział, że ją odganiał równie uporczywie. Odrzucił książkę i skapitulował: „Dobrze więc, niech będzie... Owszem, wszystko odbyło się inaczej. Naprawdę wyglądało to nie tak. Zgodna. Ale przecież ani uciekałem, ani się nie poddałem, ani nawet twarzy nie odwróciłem, gdy zamachnął się szablą. No, bo nie! - Ale... - Co ale? - A to, że każdy wie, iż tak się nie robi. Uczyli przecie, jak. A tyś stał niby sparaliżowany dureń. Uczyli, że w pieszym szyku, gdy nie ma czasu wystrzelić, to się zasłania od cięcia karabinem.. Trzymanym w obydwu rękach za dwa jego końce nad głową... O, tak!" Leszek wstał i zajął pozycję. „O, tak!" Wyciągnął pięści, ściskając wyimaginowany karabin szeroko nad głową. „Jeżeli z prawa, to o, tak!... O, tak. A jeżeli tamten rąbie w dół na lewo, to o, tak!" Coraz to zmieniał pozycję, posuwając się i tupiąc jednocześnie nogami na podłodze. Nie zauważył, jak w drzwiach stanął w tej chwili stryj Cezary, zanim nie usłyszał jego głosu:

- Co to, mała gimnastyka szwedzka?

Leszek spąsował, opuścił ręce, zaskoczony, bezradnie, zupełnie właśnie jak wtedy, gdy otrzymał cios.

117

- Bardzo dobrze, bardzo dobrze - pochwalał stryj. - Grunt, to nie wyjść z formy. Ja sam... No, teraz już jestem za stary.

-Wyjął chusteczkę, zapomniał nią strzepnąć i wytarł okulary.

Nagle przygarbił się trochę i on, zawsze sztywny i jak go Leszek przezwał kiedyś: „sumiasty, choć bez wąsów", wydało się, oklapł w sobie, przysiadł ciężko na krześle i patrząc krótkowzrocznymi oczyma na oprawną litografię na ścianie, przedstawiającą obojętną treść, westchnął: - Uf... Serce już nie te. - I po chwili: - Szkoda, szkoda, że twój ojciec, nieboszczyk, nie dożył, nie doczekał..

Leszkowi szczerze żal się zrobiło starego stryja Cezarego.

118

Kostek został zabity na wojnie, zaledwie na tydzień przed jej definitywnym zakończeniem.

Nikt już prawie o nim nie pamiętał, gdy minął czas, choć w istocie nikt nie wie dokładnie, czym się ów czas mierzy, i każdy czyni to na swój sposób. Sam Kostek mierzył go ongiś zegarkiem zdobytym na zawodach pułkowych za dobre rąbanie łoży z konia. Inni mierzą go zmianami księżycy. Można też rośnięciem drzew, ruchem morza, a nawet corannym ćwierkaniem wróbla za oknem, który po sześciu latach uchodzi wśród wszystkich mieszkańców dachu już za starego wróbla.

Minęło sześć lat.

Fala idzie, wzbiera... Nagle rozpląszczy się na piasku. Nie ma jej! Idzie druga, trzecia. A co stało się z pierwszą, czy była ona kiedykolwiek? Ludzie mówią, że czas tak samo się rozpląwa. Mówią! Łatwo jest powiedzieć: „O, tu na pogodnym niebie stał kiedyś obłok, w kształcie jakimkolwiek..." Ach, tyle się słyszy gadania! Nikt nigdy nie znalazł wiatru w polu, nie oglądał zeszłorocznego śniegu...

Za oknem ćwierka wróbel. Jego dziób stał się czarny, zużyty od wiecznego szukania w rynnie, od grzebania w nawozie. Minęło sześć lat.

119

W ciągu tych sześciu lat Leszkowi wiodło się świetnie.

Przede wszystkim, gdy przystąpił do egzaminów końcowych, dyrektor szkoły z góry zapowiedział, że musi je zdać. Zdał, naturalnie. Wszędzie indziej doznawał też dużych względów, a regularnie trzeciego każdego miesiąca słyszał przez otwarte drzwi apteki głos matki:

- Leszeczku, przyszła twoja pensja za order.

Raz, w przystępie złego humoru, odpowiedział ni stąd, ni zowąd:

- Dlaczego: „moja”? Po prostu pensja i już.

Oplacał z niej częściowo swe skromne utrzymanie, oddając matce większość pieniędzy. Ale po upływie niespełna roku od chwili jego tryumfalnego powrotu z wojny, wypadło pomyśleć wreszcie poważnie o wyborze zawodu. Leszek mógł zostać kim chciał: lekarzem, prawnikiem, profesorem, inżynierem i tak dalej, albo gdyby nie chciał, ograniczyć się do aptekarstwa, jak jego ojciec i stryj. Nagle najniespodziewaniej zaskoczył wszystkich oświadczeniem, że zostanie - leśniczym!

W rodzinie decyzja ta wywołała konsternację.

- Czyś ty kiedy w ogóle widział las? - zażartował stryj Cezary.

- Widziałem - odparł Leszek po prostu.

„Skąd to się u niego raptem wzięła ta skłonność? Do roślin... Czyja wiem...” dziwiła się matka. „Może do polowań”, poprawił stryj.

- Leszeczku, i ty byś chciał zakopać się gdzieś... Bez dojazdu... Ty, który przecie tak lubisz towarzystwo...

- Skąd mama wzięła, że ja lubię towarzystwo?

Dyskusja groziła ześlizgnięciem na tory uboczne, i stryj Cezary sprowadził ją do rzeczy: - Karierę można zrobić tylko w leśnictwie rządowym. A teraz są bardzo trudne warunki zarówno przyjęcia do uczelni, jak egzaminy konkursowe; jeszcze większe trudności są z dostaniem się na dobrą posadę państwową w tym zawodzie.

- Zrobi się - odparł Leszek z lekceważeniem, które ubodło nieco stryja.

- Cóż, skoro masz takie zamiłowania...

120

Leszek stał odwrócony tyłem i bębnił palcami po szybie.

Nie odpowiedział na ostatnią uwagę stryja i uznano dyskusję za wyczerpaną.

Istotnie, otrzymana na wojnie blizna i order ułatwiły mu w znacznym stopniu obejście przepisowej drogi konkursowej i zastąpiły protekcję. Gdy po wyraźnie ułatwionym przejściu pierwszych semestrów wyższej szkoły leśnej, a przed egzaminem na wyższe kursy, siedział w gabinecie dyrektora i zgadało się o chlubnej przeszłości bojowej Leszka, dyrektor zapragnął nawet zobaczyć wygojoną bliznę na głowie.

Leszek pochylił głowę i rozsunął włosy z lekka posmarowane brylantyną.

- Tk, tk... - cmoknął dyrektor i pokiwał brodą. - Ślad jednak pozostał znaczny. Ho ho! No, ale to honor. - I po krótkiej pauzie. - Zobaczmy, zobaczmy. Mam nadzieję, że...

Do zdań wypowiedzianych w podobnie niesprecyzowanej bliżej formie Leszek już przywykł. Ułatwiały mu dotychczas o tyle życie, że gdy ukończył wyższą szkołę leśną, a na drodze do uzyskania posady wyłoniły się nieoczekiwane trudności, był tym szczerze zaskoczony.

Wkładał w klapę marynarki wstążeczkę orderową i udawał się do różnych instancji. Wszędzie go uprzejmie przyjmowano, ale jednocześnie zapewniano z ubolewaniem, że nie ma etatów bądź wcale, bądź też chwilowo. O tym, że są „ciężkie czasy”, Leszek wiedział od najmłodszych lat i nie przywiązywał do nich wagi. Czasy są właśnie od tego, żeby były ciężkie, o innych nikt jeszcze nie słyszał nigdy. - „Ale (jak to się wyraził pewnego razu w gronie kolegów, podczas okazyjnej popijawy), żeby w ten sposób traktowano ludzi, którzy karmili sobą wszy na froncie...”

To był zwrot przyjęty i dyskretny. Nie było w modzie uciekanie się do słów patetycznych, w rodzaju: „przelewali krew...” Ale każdy z obecnych wiedział, że on był ciężko ranny i widział, że ma order w klapie.

W takim to nastroju, po wielu niefortunnych zabiegach, Leszek przyjechał do domu i już pierwszego dnia po swoim powrocie dał upust rozgorączczeniu.

121

Dziwna reakcja nastąpiła ze strony stryja. Pozornie przytakiwał bratankowi, ale się prawie zdawało, że był z obrotu rzeczy zadowolony. Albowiem stryj Cezary od początku śledził beztroską łatwością, z jaką Leszek omijał przeszkody, z mieszanym uczuciem. Że się cieszył z jego sukcesów, nie mogło ulegać wątpliwości, lecz był cokolwiek jakby urażony we własnej ambicji, iż wszystko odbywa się bez jego udziału. Od pierwszej przechadzki publicznej z Leszkiem, po powrocie jego ze szpitala, rola protektora bohaterskiego bratanka wydała mu się, szczególnie po długich latach życia, raczej zasłużoną. Odczuwał więc nieomal jak osobistą krzywdę, że został jej pozbawiony.

- Widzisz - powiedział teraz, ważąc każde słowo - gdyby życiem rządziła wyłącznie sprawiedliwość, świat stałby się idealny, co, jak wiesz, nie jest możliwe. Niestety, mój drogi, naga zasługa nie wystarcza. Wymagana jest jeszcze umiejętność... Hm. No, co tu rzecz owijać w bawełnę. Umiałeś się dobrze bić, ale nie umiesz dobrze gadać.

- Ależ ja przecie...

- Nie tłumacz się, nie tłumacz. Damy radę. We dwójkę damy radę. Stary stryj Cezary jeszcze się na coś przyda. Potrafi też zabłysnąć, nie szabelką, wprawdzie, ale odpowiednim słówkiem.

Szczerze ukontentowanie promieniowało z jego twarzy. Gdy

wstał od stołu, zdawało się, że nawet chód jego nabrał dawnej sprężystości, a zarazem tej wymagającej szacunku godności, jakby się już widział wkraczającym do gabinetu ministra, nie po to, by zginać kark w przymilnym uśmiechu. Nie, nie będzie potrzebował się jąkać, gdy wypadnie mu przemawiać w sprawie bratanka, myślał z zadowoleniem. Zaraz też zabrał się do układania niezbędnych przedmiotów do staromodnej walizy, a jednocześnie odświeżania w pamięci starych znajomych i adresów, które by mogły wchodzić w rachubę.

- Ale, a propos - zapytał wieczorem Leszka - jak się nazywa twój były dowódca pułku?

Leszek nie pamiętał.

122

- To nic, to nic, już my go odszukamy... Jutro wyjeżdżam.

Aha, jeszcze jedno: daj mi może, na wszelki wypadek, dyplom na order, dobrze?

Nazajutrz Leszek odprowadził stryja na ranny pociąg i wracał przez park miejski. Ze względu na wczesną porę, zarówno dnia, jak roku, gdyż wiosna nie zdążyła jeszcze gruntownie przesuszyć ziemi, było pusto, choć dzień zapowiadał się ciepły, słoneczny. Drzewa pokryte były świeżym, drobnym liściem. Rozkwitła czeremcha. Leszek siadł na ławce i zapalił papierosa. Był człowiekiem wolnym, prawie szczęśliwym w tej chwili. Ażeby nie zamącać myślami tego wewnętrznego uczucia, usiłował skupić uwagę na czymkolwiek obojętnym z otaczających go przedmiotów: fontanna nie była jeszcze czynna. Pies przebiegł, ale znikł zaraz na zakręcie. Policzył kasztany aż do skrzyżowania alei. Zajął się kształtem korony klonu, który rósł naprzeciw. Później - szczególną konstrukcją ławki ogrodowej; nawet się nachylił, by zobaczyć, jak zrobiono dolne spojenia. W tej chwili wróble w pobliskich krzakach podjęły wielki hałas, więc odwrócił głowę w tym kierunku. Badając przyczynę alarmu, dostrzegł wreszcie ryżego kota; oczy miał zielone i utkwiał je nieruchomo w jeden punkt. Wróble krzyczały wniebogłosy, a kot poruszał tylko koniuszkiem ogona, jak nerwowym wahadłem. Leszek, zajęty w ten sposób, nie słyszał kroków stąpających po elastycznej od wilgoci ścieżce. Gdy odwrócił głowę, przed nim stała Ania.

Od tego przypadkowego spotkania w parku miejskim aż do powrotu stryja, zaczęli widywać się często. Chodzili razem na spacer i rozmawiali o niczym. W poprzednich latach spotykali się raczej rzadko. Leszek, który miał za sobą dużo doświadczeń życiowych, zapomniał już dawno o uroku, jaki dla niego miała kiedyś jej plisowana spódniczka. Obecne spotkania traktował bardziej jako obojętną rozrywkę, zabicie czasu, z którym nie wiedział co począć. Bezstronnie jednak musiał przyznać, że Ania podobała mu się znowu z każdym dniem bardziej. Prawie nigdy nie rozmawiali o szkolnej przeszłości. Nigdy też Ania nie wspomniała o Kostku, być może dlatego, że wstydziła się po trochu swej pensjonarskiej egzaltacji z tamtego okresu, nie wiadomo, czy przed nim tylko, czy i przed

123

sobą samą. Była teraz opanowana, wykobieciała, piersi jej się zaokrągliły. W stosunkach wzajemnych nie wychodzili jednak poza ramy przyjacielskiej pogawędki, czasem żartów, drobnych przekomarzań.

Czy Ania pragnęła czegoś więcej? Pewnego razu zapytała głosem bardzo poważnym:

- Kiedy pan wyjeżdża?

- Nie wiem jeszcze. Czekam na powrót stryja.

Siedzieli wtedy bodaj na tej samej ławce, co za pierwszym spotkaniem w parku miejskim. Kasztany osypane już były świecami kwiatów. Leszek wyciągnął nogi przed siebie i wygodnie rozparty, zapatrzył się w wierzchołki.

- Lubi pan drzewa?

- Bardzo! - I nagle zaczął jej opowiadać o lesie, o puszczy, w której był podczas wojny. Zdarzyło mu się to po raz pierwszy od sześciu lat, że mówił z kimś o tym wielkim lesie. Właściwie nigdy nie widział go w pełnej zieleni, ale - porwany zapalem - mimo woli używał porównań i powtarzał spostrzeżenia nie własne, ale zapożyczone od Flora i nawet kilkakrotnie przeplatał je słówkiem: „Ech!”, które brzmiało w jego ustach jak szczerze westchnienie. Gdy się połapał, umilkł, a ponieważ Ania mu nie przerywała, nastąpiła raptowna cisza między nimi. Zwiesił głowę i drażył nerwowo ziemię obcasem. Teraz miałby ochotę jeszcze raz powtórzyć: „Ech!...”

- Czy dlatego wybrał pan zawód leśnika?

- Chyba. Bo ja wiem...

- Ładnie teraz będzie w lesie wiosną. Zazdroszczę panu.

- Zamiast siebie nękać próżną zazdrością - odpowiedział tonem lekkim - proszę przyjechać do mnie na wakacje, gdy obejmę posiadłość gdzieś w lesie.

- Bardzo chętnie - odcięła rezolutnie tym samym tonem.

Żadne z nich nie brało tych słów na serio, ale Leszek z żartobliwym namaszczeniem wyciągnął rękę:

- Słowo?

- Słowo - odpowiedziała również żartem, ale ręki nie podała.

124

„Kobiety są jednak solidniejsze pod pewnym względem od mężczyzn”, pomyślał Leszek, ja bym rękę podał bez namysłu.

- I nie będzie się pani bała wilków?

-Nie.

- A wilgoci?

- To już raczej. Ale może będzie jak raz suche lato.

Oboje roześmieli się, a potem nastąpiła chwila milczenia.

- Wie pan... - zaczęła Ania. - Ile razy słyszałam rozmowę o przyszłości, zawsze zastanawiałam się, co to jest właściwie przyszłość? A pan wie?

- No... niby... - powiódł ręką, a później potarł nią czoło.

- A ja wiem! Przyszłość to jest: zmiana.

- Zmiana czego?

- Wszystkiego. No, może nie od razu wszystkiego, ale im

dalsza przyszłość, tym więcej zmian. Jednym słowem - zmiana.

Bo gdyby nie było żadnej zmiany, toby trwała wieczna terażniejszość. Otóż przyszłość wydaje mi się dlatego bardzo nierealna; bo jednak, musi pan przyznać, zmiany następują strasznie wolno. Gdy się budzę rano, to wiem zawsze, że śniadanie będzie takie, jak wczoraj, że ulica będzie ta sama i domy wcale nie kruszeją, i ten sam piekarz za ladą, i mleczarka wcale nie umarła, choć jest ciągle stara, i sukienkę mogę jeszcze włożyć tę samą, i pies, który żyje podobno o wiele krócej od człowieka, będzie na pewno jeszcze w budzie i żywy. Więc proszę mi powiedzieć, kiedy następują zmiany? Bo jeżeli nie w nocy, to przecież i nie we dnie.

- Ale jednak następują. Pani wie o tym.

- Wiem, owszem, ale ich nie widzę.

Leszek uśmiechnął się pobłaźliwie, nie dlatego by to, co mówiła, wydało się mu takie głupie, ale że przywykł, iż powinno się odnosić z lekceważeniem i traktować jako naiwność wszelką filozofię, wygłaszaną przez młodą dziewczynę. Wreszcie wtrącił od niechcienia:

- A wojny, na przykład.

- Wojny to wyjątek z reguły. Ja mówię o regule.

- No, to: wiosna.

125

- Ach, tam, wiosna! Też reguła. Co roku przecież przychodzi niezmiennie. Całe lata mijają bez żadnych zmian. A starzy ludzie mówią, że życie jest krótkie, że szybko biegnie i tak dalej.

- Fakt, że mówią.

- Właśnie. Że: „ani się obejrzysz...” i temu podobne.

Tymczasem wszystko się wlecze. Więc komu wierzyć: starym ludziom czy własnej spostrzegawczości?

Leszek przygryzł wargę i wahał się, czy wtrącić coś poważnego o zmiennych kolejach własnego losu, czy raczej przypieczętować dyskusję jakimś dowcipem. Zanim się jednak odezwał, Ania przecięła ją sama:

- Chodźmy już, bo rzeczywiście robi się chłodno i wilgotnawo na tej ławce.

Wstali, a on obserwując spod oka, jak się zgrabnie wyginała, otrzepując spódniczkę, nagle zapragnął Ani w takim stopniu, w jakim dotychczas nigdy jej jeszcze nie pragnął. Żał mu się było z nią rozstawać. Gdy szli następnie ulicą milcząc, obok siebie, myśl jego pracowała gorączkowo: - „Dokąd pójść z nią? Gdzie by można... Co jej zaproponować? Gdzie się z nią ukryć i jak to zrobić? Eh, obrzydła wiosna z jej wieczną mokością!”

- Może... - podjął nieśmiało - może się gdzie spotkamy?

Wieczorem?

- Wieczorem?... - przeciągnęła pytanie. - Czyja wiem?...

No, można by ostatecznie... Wie pan co?! Niech pan zajdzie do mnie, tak mniej więcej koło siódmej.

- Doskonale! - prawie odkrzyknął Leszek ze wzruszeniem.

A później dodał, siląc się na lekki ton: - To już będzie zmiana,

że nie w parku, ale w domu...

Ona zaróżowiła się, podając mu rękę na pożegnanie, i nic nie odpowiedziała.

Nie przyszedł jednak. Nie przyszedł, gdyż popołudniowym pociągiem powrócił stryj Cezary i wypadki potoczyły się torem zupełnie dla Leszka nieoczekiwanym.

126

Stryj Cezary po przybyciu do domu przede wszystkim odmówił wszelkich komentarzy. Oblicze miał uroczyste i ściągał brwi w taki sposób, jak to czynią ludzie, którzy usiłują najdłużej utrzymać w karchach mięśnie twarzy, ażeby się nie zdradzić z wewnętrznymi uczuciami. Tego rodzaju postępowanie ułożył sobie stryj Cezary jeszcze w pociągu i postanowił rzecz rozegrać według ustalonego planu. Najpierw poszedł się umyć i przebrać. Dopiero podczas obiadu nastąpić miało ujawnienie sensacji.

Uroczysty wyraz twarzy chciał zachować do końca, ale przeciągnął strunę. Gdy zasiadł w fotelu na swym zwykłym miejscu przy stole i zamiast od razu przystąpić do rzeczy, rozkładał jeszcze długo serwetę i zatykał ją później palcem za kołnierzyk, Leszek nie wytrzymał i głosem zdenerwowanym odezwał się pierwszy:

- No, niechże stryj wreszcie wydusi z siebie! Przynajmniej tylko powie: dobrze czy źle?!

- Nie, nie dobrze, a... doskonale! - wykrzyknął uroczyście i aż się zarumienił przy tych słowach. Próbował w dalszym ciągu zachować zimną krew, ale tym razem mięśnie twarzy odmówiły posłuszeństwa i zdradziły wyraz promieniujący.

127

Uderzył dłonią po stole: - To się dopiero nazywa załatwić sprawę!

- Ach, opowiadaj prędzej, Cezary! - zawołała matka.

Siedziała z łyżką wazową w ręku, ale nie nalewała zupy do talerzy.

- No, no! - zawołał wesoło Leszek.

- Tak, dajcie mi tylko jeść, bo zgłodniałem. - Nie jadł jednak, lecz opowiadał, nie starając się już ukryć dumy, która go rozpierała. - A więc pomijając szczegóły...

- Tak, tak! Mniejsza z nimi! - wtrącił pośpiesznie Leszek.

- No, więc uzyskałem dla ciebie świetną posadę! Ni mniej, ni więcej, otrzymasz stanowisko... Posłuchajcie tylko: pełnego leśniczego, na własnym leśnictwie...

- Co to znaczy: „na własnym leśnictwie”? - przerwała matka.

- Niech mama nie przeszkadza!

- Bez praktyki, bez stażu, od razu z miejsca! Co?! Jak się wam podoba stary stryj Cezary? W dzisiejszych ciężkich czasach, przy tej ilości kandydatów... - I dla podkreślenia tego sukcesu uczynił tak energiczny gest ręką, że serweta ześliznęła się z szyi i musiał ją na nowo zapychać.

Teraz i Leszek poczerwieniał z ukontentowania.

- Uściskaj stryja!

- Poczekajcie! To jeszcze nie wszystko! Jest jeszcze największa dla ciebie niespodzianka! - Zwrócił się do Leszka.

-Czy ty wiesz, gdzie?

- No, nie wiem, skądże mogę wiedzieć... - odparł ubawiony Leszek.

- Nie wiesz?! To ja ci powiem: otrzymasz leśnictwo...-

-wymawiał każdą sylabę dobitnie - w puszczy, tej samej, koło której walczyłeś i w tym samym miasteczku...

W tej chwili stało się coś niezwykłego: twarz Leszka zbladła, a potem poszarzała jak pergamin; nie panując nad sobą, odtrącił złym ruchem talerz, wskutek czego część barszczu, który mu właśnie matka naląła, wyprysnęła i zaróżowiła obrus. Stryjowi, gdy na niego patrzył, splątały się raptem słowa, przeniósł osłupiały wzrok na bratową, ale dokańczył jeszcze zdanie:

128

-...jedyny wakans, i ten dla ciebie wyjednałem... - urwał wreszcie.

Matka również w osłupieniu patrzyła na syna. Przez króciutką chwilę panowało grobowe milczenie.

- Ja nie przyjmę tej posady. - Jakby gromem uderzył. I znowu nastąpiła cisza.

Stryj Cezary niewątpliwie by się z miejsca śmiertelnie obraził, gdyby nie został do tego stopnia zaskoczony, iż w głowie jego nie było miejsca na żaden inny odruch jak tylko niewymowne osłupienie. Po prostu nie mógł uwierzyć jeszcze własnym uszom.

Natomiast w głowie Leszka rozpacзлиwa świadomość, że musi się natychmiast opanować, walczyła z uczuciem okropnego rozczarowania, złości, a nawet strachu. W ciągu kilku sekund zdał sobie sprawę z konsekwencji swego zachowania i ważności decyzji, jaką musi powziąć. W tej chwili usłyszał zgodny w intonacji dwugłos:

-Ale dlaczego?...

Matka dodała jeszcze półszepem: „...na miłość Boską?...”

Odetchnął, opanowując się całym wysiłkiem woli. Był wciąż blady. Zaczął jąkać bez przekonania, że oni nie wiedzą, co to znaczy wojna... Że te wspomnienia... Że może sobie lekceważą... Ale to wcale nie było zabawne... Że miał naprawdę ciężkie przeżycia... Że odświeżanie ich... Że miasteczko wreszcie, to wyjątkowo zapadła dziura... Że... - Nie! Zdał sobie sprawę, że plecie głupstwa, że w ten sposób nie potrafi nikogo przekonać, a jedynie obudzi w nich jakieś wielkie podejrzenie! Musi natychmiast wymyślić bardziej przekonujące tłumaczenie! Instynkt podszepnął mu, że należy przede wszystkim ratować sytuację w ten sposób, aby wstać, uściskać stryja, podziękować mu najserdeczniej za jego starania, przeprosić, że zamiast okazania wdzięczności zachował się jak gbur. To dało mu cenną chwilę do namysłu.

Ale cios, którego doznał stryj Cezary, był nie mniejszy. On, który tak się cieszył z własnego sukcesu, który był z niego tak dumny!... Który zawczasu wyreżyserował w myślach efektowny

sposób zakomunikowania wielkiej dobrej nowiny - siedział teraz w swym fotelu prawie złamany. Po tylu dniach trudu i 129

zabiegów! Czuł ucisk w gardle. Bał się prawie, żeby mu łzy nie stanęły w oczach.

Leszek zmodyfikował nieco wersję. Przyznał się, że gadał głupstwa. Ale cóż na to poradzi, że miasteczko to jest w istocie odrażające i że nabrał doń głębokiej niechęci. Może nieuzasadnionej idiosynkrazji. Godzi się nawet, żeby go posądzono o histerię. Słusznie, to może tak wyglądać z boku. Ale... - Nie! To też nie trzymało się kupy. Widział, że nawraca do pierwszej interpretacji, wciąż nie mogąc wymyślić lepszej...

Stryj Cezary nie jadł drugiego dania. Wstał i zapomniawszy nawet wyjąć serwety, która mu się spod szyi rozwiewała na piersiach, bez słowa opuścił pokój.

Pozostali we dwoje z matką, przy stole, na którym rozlany barszcz tworzył coraz szerszy krąg plamy na obrusie.

- Leszczku, ale powiedz, dlaczego, dlaczego?...

- Ach, dla niczego! - Też wstał i też nie jadł obiadu.

Poszedł błądzić ulicami, ale to nie przyniosło mu żadnej ulgi. Nie mógł przecie uciec w ten sposób od własnych myśli, które leciały nad nim jak stado kraczących wron. Wszystko, o czym starał się zapomnieć i o czym istotnie prawie już zapomniał, stawało mu przed oczami wyobraźni z taką wyrazistością, jakby patrzył na ekran w kinie. Jeżeli pojedzie tam, znajdzie się nie tylko w dwuznaczej, ale przede wszystkim nieskończenie śmiesznej sytuacji, myślał. Możliwość kompromitacji i zdemaskowania zdawała się mu więcej niż prawdopodobną. Dotychczasowa legenda z każdym krokiem, który czynił, malała, aby w końcu zniknąć zupełnie. Trudno mu było w tej chwili uwierzyć, że w ciągu tylu lat potrafił się do niej przyzwyczaić, jak do wersji niemal autentycznej. Zamiast niej, szła obok, a miał wrażenie, że trzyma go pod rękę, naga prawda, która naszeptowała do ucha: „Przecież zawsze wiedziałeś, że tak nie było!... Że było odwrotnie, żeś skamieniał w obliczu wroga i nawet ręki nie był zdolny unieść, aby zasłonić się przed ciosem!...” - Ach, ach - jęknął prawie głośno. - Przecież nie na froncie był wtedy, a przeciwnie -zdezzerterował do puszczy, by tam... - Nie. Nie chce myśleć dalej. To nic nie pomoże. Z gwałtowną siłą odepchnął znajome oblicza, które, zdawało się, zaglądały mu teraz prosto w oczy:

130

Flora, Heleny i... Tych wszystkich, których mógłby spotkać od nowa...

Ale co robić, co robić? W jaki sposób może nie przyjąć tej posady? Przede wszystkim rozbudzi i utrwali podejrzenie w domu, i to może stać się grobem dotychczasowej egzystencji. Po drugie, obrazi stryja i wyrządzi mu śmiertelną krzywdę. Po trzecie, po tylu daremnych próbach, nie znajdzie innej posady. I wreszcie, co najważniejsze, nie może do tego wszystkiego dopuścić ze względu zasadniczego: jego osobista pensja za order w żadnym wypadku nie mogła pokryć kosztów życia,

przejazdów i kształcenia, w ciągu minionych sześciu lat. Pieniądze na pokrycie tych wydatków dawał stryj Cezary. Pierwotnie Leszek upierał się, że mu będzie zwracał ratami, gdy otrzyma posadę. Ale stryj oświadczył, iż uważa to za swój obowiązek, wyłożenie tych pieniędzy, nie tylko wobec bratanka i nie tylko ze względu na pamięć jego ojca, a swego brata, ale też traktuje to jako obowiązek względem ojczyzny, której sam nie mógł służyć, a której Leszek posłużył własną krwią... Była to patetyczna chwila, gdy stryj Cezary wygłaszał swe uroczyste uzasadnienie. Matka miała łzy w oczach. Nie mógł więc Leszek teraz ani powiedzieć im całej prawdy, gdyż byłby to dla nich cios wielki, ani nie przyjąć posady, o którą stryj się dla niego wystarał, aby po jej odrzuceniu, nie zwracając pieniędzy stryjowi, żyć sobie dalej do pewnego stopnia na jego koszt w tym domu. Zresztą, nastroj wytworzyłby się nie do wytrzymania.

- A co mógł zrobić innego? Właśnie: co mógł zrobić? Szukać innego zawodu? Śmieszne! Jedyne co pozostawało, to wymyślić jakieś możliwe uzasadnienie swej odmowy, ale nie przychodził mu żaden ludzki pomysł do głowy.

Było rzeczą zrozumiałą, iż w takim nastroju nie tylko zapomniał o wizycie u Ani, ale nawet o jej egzystencji.

W ciągu następnych dni nie mógł wymyślić nic nowego.

Zmagał się ze sobą, przechylając raz ku jednej, to znów ku drugiej decyzji. Chodził ponury, zmizerniał; ze stryjem nie rozmawiał; cierpko odpowiadał na słabe próby interwencji ze strony matki, zbywał ją półsłówkami i natychmiast wychodził z domu.

131

Podczas jednej z tych bezpłodnych przechadzek, zobaczył Anię po drugiej stronie ulicy. Przyśpieszyła kroku, udając, że go nie zauważyła. Musiała być bardzo urażona. Z początku chciał iść dalej swoją drogą, ale nagle zawrócił i dogonił ją. Przywitała się z nim zimno, dojrawszy jednak jego wymizerowaną twarz o znękanym wyrazie, zapomniała o swojej urazie.

- Co się stało?! Dlaczego pan tak źle wygląda?

- Ach, miałem duże przykrości...

- Jakież?

- Narzucają mi posadę, której nie chcę przyjąć.

- Też mi tragedia!

- Jak dla kogo - odparł ponuro i spuścił wzrok na chodnik.

- Dlaczego?! Nie rozumiem. I gdzie to ma być ta straszna posada?

- No tam właśnie. W tej puszczy...

- O której pan tak pięknie opowiadał? Ależ tam musi być prześlicznie! - Była szczerze zdumiona.

- Uhum, ale...

- Co „ale”?

Wzdrygnął się. Miał raptownie wrażenie halucynacji i przez ułamek sekundy zdawało mu się, że obok stoi nie Ania, lecz... Anastazja.

- Czemu się pan wzdryga?

- A pani myśli, że wojna wygląda w rzeczywistości tak, jak

ją malują różne Kostki?!... - odpalił szorstko. Ale w następnej chwili zmiarkował, że prawi bez sensu, a dojrząwszy rosnące zdumienie w oczach Ani, zmusił się do uśmiechu, przeprosił ją i pożegnał grzecznie, ale w pośpiechu.

„Po diabła ją zatrzymywałem!” - myślał odchodząc. Zanim jednak doszedł do następnej przecznicy, przypomniał sobie jeszcze raz: „Nie, nie można przedłużać tego absurdu! Przecież na coś trzeba się wreszcie zdecydować”.

Tego samego dnia matka Leszka doznała czegoś w rodzaju poczucia odpowiedzialności czy też wyrzutów sumienia za postępek swego syna i zapukała cicho do pokoju szwagra.

- Proszę! - odpowiedział mocny głos.

132

Nie miała gotowego planu, ale w intencji jej leżało wyrażenie głębokiej solidarności i współczucia, do jakiego wzajemnie poczuwać się winni ludzie starsi, wobec przykrości doznanych ze strony młodych, którymi powoduje ekstrawagancja i brak doświadczenia życiowego. Ale już po pierwszych słowach wywnioskowała, że stryj Cezary znajduje się w nastroju najmniej przez nią oczekiwanym. Ponurą twarz, którą okazywał domownikom w ciągu ostatniego czasu, zmienił na oblicze łagodne. Coś w sobie widocznie przełamał, czy też w samotności przemyślał, gdyż jego spojrzenie wydawało się prawie wesołe. Gdy zaczęła od wstępu, jak wielkim złem jest lekceważenie przez młodych doświadczenia ludzi dojrzałych, przeszedł się po pokoju, stanął w rogu i przerwał jej. Ręce trzymał pod rozpiętą marynarką, oparte na biodrach, wystawiając w ten sposób ku przodowi kamizelkę na brzuchu.

- Szkoda słów! - machnął ręką i znów ją ulokował dłonią wpartą w biodro. Powiedział przy tym jakąś rzecz bardzo głęboką: - Kto może wierzyć w mądrość i doświadczenie nabyte przez innych, skoro nikt - przytupnął końcem trzewika - nikt, i my sami nie wierzymy nawet we własną śmierć! Mrugnęła oczami, nie bardzo rozumiejąc o co mu chodzi.

Pomyślała sobie tylko, patrząc w jego kamizelkę: „Jakże rosnący brzuch unieforemnia starzejącego się mężczyznę”.

- Niemniej jednak ona przyjść musi - ciągnął stryj Cezary.

- Iii... O czym tu mówić. Trzeba być pobłażliwym. Tylko przez pobłażliwość można wyzyskać w pełni czas przed ostatecznym... terminem.

Matka Leszka, jak większość ludzi w jej wieku, nie lubiła rozprawiać o śmierci, zmieniła więc temat na bardziej obojętny, ale w duszy cieszyła się z nowego obrotu rzeczy. Nie przyszła bronić syna, raczej przeciwnie, teraz jednak skorzystała z okazji, by wychodząc powtórzyć z westchnieniem frazes, który słyszała od lat pięćdziesięciu:

- Tak, tak, młodzież ma swoje prawa...

Od tej chwili nastąpił zupełny przełom w sytuacji. Stryj Cezary pierwszy przemówił do bratanka, jak gdyby nigdy nic. Leszek się zdziwił, ale też ucieszył niepomiernie. Kolacja minęła w nastroju pogodnym. Rozmawiano o wielu rzeczach

133

postronnych, unikając zasadniczego tematu, ale było coś bardzo kojącego w niewymuszonym tonie słów. Coś jak wzmacniający środek na nerwy, który dodaje otuchy i przywraca optymizm myślom.

„Dobry to jednak człowiek stryj Cezary” - myślał Leszek, zjadając z apetytem. „O, dobry człowiek; bardzo; z gruntu”. Może gdyby nazajutrz wypadł deszcz lub inna jaka niepogoda, sprawa mogłaby się jeszcze przewlec. Ale nazajutrz była właśnie piękna pogoda od samego świtu. Nikt, żaden, żaden zły duch, ani wiatry, ani chmury nie stanęły na drodze słońca. I Leszek wyrzawszy przez okno, zdecydował: „Sześć lat, mój Boże... Nikt mnie tam znowu tak bardzo nie pamięta. Zmieniłem się zresztą, nie poznają mnie. Niekoniecznie muszę spotkać tych, których bym spotkać nie pragnął. A jeżeli nawet spotkam, niekoniecznie muszą z tego wyniknąć jakieś fatalne konsekwencje. Pojadę! Skoro nie ma innej rady”. Z chwilą gdy powziął wielką decyzję, poczuł, jak mu ciężar spadł z serca. Młodzieńczy optymizm zwyciężył: „Nie będzie tak źle! Nie musi być zaraz najgorzej!” W miarę jak przywykał do myśli pojechania „tam”, znajdował coraz więcej argumentów dla zwalczania dotychczasowych obaw. Tymczasem w domu zapanował nastrój pogodny. Stosunki ze stryjem przybrały dawny, a nawet serdeczniejszy charakter. Leszek sprawił sobie za pożyczone od stryja pieniądze ładny mundur, przepisowy dla rangi rządowego leśniczego, a gdy przyszedł moment odjazdu, odprowadzony został uroczyście na dworzec. Matka żegnała go ze łzami tkliwości w oczach, jakby wyjeżdżał na wojnę. Leszkowi zdawało się nawet, że wielokrotnie bardziej czule, niż wtedy przed sześciu laty, gdy naprawdę odjeżdżał na wojnę.

134

Część III

Jedno z okien przepelnionego wagonu klasy 3 było opuszczone. Leszek miał bilet klasy 2 z normalną zniżką urzędniczą, ale pociąg był do tego stopnia przeludniony, że przybywszy wczoraj wieczorem późno, zastał już w drugiej klasie wszystkie miejsca zajęte, a górne ławki podniesione do spania. Poszedł więc do trzeciej. Tu jakiś człowiek usunął się z respektem dla jego munduru i zrobił mu miejsce zaraz koło drzwi na korytarz. W ciągu całej nocy, siedząc w niewygodnej pozycji, raczej drzemał niż mógł zasnąć. O czwartej nad ranem zapalił papierosa, wyszedł na korytarz, wychylił się przez otwarte okno i nagle ogarnęła go radość.

Dym z parowozu rozwłóczył się po przeciwnej, lewej stronie. Z prawej zaś wstawało słońce i pachniało takim powietrzem, jakie zdarza się tylko o świcie latem, i to przez kontrast ze skrzepłą duchotą zaspanego wagonu. Tu ludzie mieli kurz osiadły w kręgach pod oczami, a za oknem była rosa na nie koszonych jeszcze łąkach. Tu chrapał jego sąsiad przez nos, w niewygodnym odrzuceniu głowy na twarde deski, tuż

pod dźwięnią: „CIEPŁO - ZIMNO”, a tam - śpiewały już skowronki. Mokre od rosy leżały przy podkładach czarne kamienie nasypu, za nimi żółte pasmo jaskrów, niebieskie dzwonki, bratki polne, kłosiki dojrzałej trawy. Był czerwiec. Po 137

niebie szły białe, pełnopiersiaste obłoki. Na horyzoncie siność nierąbanych lasów.

Ach, powietrze, powietrze!

Leszek wyciągnął głowę daleko poza okno i cofnął ją, gdy iskierka z lokomotywy wpadła mu w lewe oko. Wyjął chusteczkę i - gdyby się nie wstydził - powiewałby nią na przywitanie łąki w rosie pod płaskimi promieniami pierwszego słońca. Ale świeże powietrze obudziło już ludzi w wagonie.

W chwilach takiego uniesienia nie myśli się o przyszłości, o losie i związanych z nim komplikacjach, a już raczej o gorącej kawie i bułkach, które są jeszcze daleko, za lasami, ale za to czekają na pewno w bufecie stacyjnym. Pociąg zagwizdał.

Leszek, który ciągle jeszcze manipulował chusteczką w lewym oku, wychylił się znowu z okna: most. Powolna, otoczona łożami i cała w łąkach piaszczystych, bardzo leniwie połyskiwała rzeka w dole. Pociąg zwolnił tempo. Nawiało zapachem wody i tataraku.

- Rzeka - powiedział ktoś z tyłu.

- Aha - przytaknął drugi głos.

- A w mieście nie ma.

- No tak, nie ma.

Senne głosy rozważały dalej sprawę:

- Bez rzeki, jednakże, nieporęcznie.

- Nieee. Zawsze co woda, to woda.

Spojrzeni w oba okna, unosząc się zaledwie z ławek i znowu zapadli w milczenie.

Most się skończył. Szkoda! Jechali dalej.

Miasteczko leżało na płaszczyźnie - wtedy, przed sześciu laty, gdy zatrzymali przed nim po raz pierwszy swe konie, śnieżnej - teraz trawiastej, wykropkowanej różną sierścią pasących się krów. Kadłub synagogi, kopuły cerkwi i wyższa od nich wieża kościoła. Znaki kolejowe, semafor. Na peronie czerwona czapka kierownika ruchu. Ot, i nowy rozdział w życiu. Leszek sięgnął po walizkę na półce, zdejmując zaczepił o kapelusz obojętnego człowieka, powiedział „przepraszam” i poszedł korytarzem, przechylając się od ciężaru na jeden bok. Była gorąca, ranna kawa. Bułki z masłem. Potem dorożka konna na trzech gumach i czwartym kole o żelaznej obręczy.

138

Po drodze spotkali wóz-platformę, wypełniony do połowy jarzynami, w drugiej połowie - kwiatami. Hotel „Bristol”.

Wapnem bielony budynek z czarnymi literami szyldu. Było tak wcześniej, że ludzie, którzy już szli chodnikiem, gdyby to nie było lato, spaliby jeszcze na pewno długo.

- Panu herbaty szklanę, może? - spytał posługacz w hotelu.

- Dziękuję. Piłem na dworcu. Pójdę spać na razie, bo całą

noc jechałem.

Posługacz poniósł walizkę po drewnianych schodach, malowanych farbą na czerwono, pachnących obcym domem. Chciał zapuścić firanki w pokoju, ale Leszek powstrzymał go: pragnie mieć jak najwięcej świeżego powietrza i otwarte okno. Zaczął się rozbierać, gdy posługacz jeszcze mocował się z haczykiem okna. Na podwórzu gdakała kura. Pościel była niezbyt czysta, ale zaprasowana. - „Mam dużo czasu - pomyślał Leszek, kładąc się. - Masę do wieczora i masę w ogóle przed sobą...”

- Jeżeli wody do golenia będzie potrzeba, to...

- To później, to później! - odmachnął Leszek.

Gdy się obudził, było już południe. Ale obudził go nie czas, ale zapewne jakiś stuk. Tak, w tej chwili uprzytomnił sobie, że to było stukanie do drzwi. Otworzył oczy.

Nad nim stał człowiek i uśmiechał się. Czarną czapkę trzymał w ręku za daszek. Odsłonięta głowa była ostrzyżona przy skórze. Twarz nalana, a oczy, w tej chwili zmrużone w uśmiechu, za zbiegającymi się zmarszczkami, bardzo małe. Leszek przerzucił się na wznak i zamrugał powiekami.

- Ech, sześć lat. Jakby nie było!... powiedział człowiek.

To zdanie przywróciło leżącemu świadomość, bo przed sekundą zdawało mu się, że leży w szpitalu, a nad nim, jak wtedy bywało, stoi Flor. A przecież to było sześć lat temu. Sam przecie mówi. Już prawie na jawie, zapytał:

-Flor?!...

- A któżby inny.

Wtedy młody leśniczy ponownie stracił wątek rzeczywistości i niby w letargu zadał drugie pytanie:

139

- A Naścia, tu?

Tamten bardziej jeszcze zmrużył oczy i kiwnął głową w sposób nieokreślony. Nastąpiła chwila ciszy, po upływie której Leszek dopiero odepchnął się łokciem od materacu, uniósł na łóżku i zdumionymi oczyma powiódł po hotelowym pokoju. Na krześle leżało zrzucone ubranie, krzywe lustro w szafie odbijało umywalkę w rogu. Ktoś szedł korytarzem. Paltro wisiało na wieszaku nad walizką; za oknem gdakało teraz kilka kur. To nie był szpital i to nie było sześć lat temu. To nie był też sen, a przecie zbudził go Flor swoim zwyczajnym „ech” i stał oto, jak zawsze, nad nim leżącym w łóżku. Był tylko bardziej ociężały niż przedtem i twarz miał bardziej nalaną.

-Ale... skąd... tu?... -wyszeptał Leszek.

- Bardzo prosto. Jadę dziś rano z jarzynami, odprawiać na pociąg, aż tu patrzę, w dorożce... Rozpaaaarty! No, myślę: do jakiego hotelu zajedzie? Wiadomo, do „Bristolu”, do jakiegoż by innego. Jeden tylko taki pierwszoklasny u nas. Zaszedłem, wracając z powrotem; mówią: „śpi”. No, niech sobie, myślę, śpi - wypoczywa. Zaszedłem drugi raz ... - I przysiadł się na brzegu łóżka, choć obok stało krzesło, obite zielonym pluszem, brudnym zapewne od tego, że goście stawiali na nim nogę, czyszcząc obuwie.

Leszek przechylił się, by sięgnąć po papierosy w kieszeni kurtki, która wisiała na poręczy, ciągle jeszcze ogłuszony nagłym spotkaniem. - To ja się mało zmieniłem?

- Dlaczego mało? Wielki pan teraz.

-Zaraz, zaraz... A!... To już ja wiem! Widziałem! Platforma jakaś z kwiatami i jarzynami jechała... Co, to twoja... - zaciął się, nie wiedząc, jak do niego mówić teraz: per „pan” czy per „ty”, jak dawniej.

- To moja - odparł Flor, spuszczać wzrok. Leszek poszedł za jego spojrzeniem i skonstatował, że był ubrany jak się noszą zazwyczaj zamożniejsi rzemieślnicy, prosto, ale schludnie. Na nogach miał buty z cholewami z dobrej chromowej skóry.

-Moja - ciągnął Flor. - Wróciłem do swego zawodu.

Ogrodnikiem kiedyś byłem, baaardzo już dawno... No, ale wstawać

-on też uniknął zwrotu osobistego, nie wiedząc widocznie,

140

jakiego użyć. - Pójdziemy może gdzieś na jednego; opowiem co i jak. Oranżerię własną mam.

- Ot, jak ślicznie - z uśmiechem odezwał się Leszek.

Odwrócił jednak wzrok i westchnął: jeszcze wczoraj, ba, jeszcze dzisiejszego ranka zdawało mu się, iż stronice życia w ten sposób zostały przerzucone, że już ich czytać ponownie nie będzie zmuszony... Miał nadzieję, że nikt go nie pozna, że już chodzą nowi ludzie w nowych czasach... A tu masz! Ledwo przestąpił próg...

- Idziemy, idziemy! - przyśpieszał Flor. - Ja tu znam jedną taką knajpkę niewidoczną. - Zastanowił się: - Chyba, że nie chcesz... Nie wiem, jak teraz mówić?

- Mów tak, jak dawniej.

- Dawniej co innego było. -I powiódł wzrokiem po numerze hotelowym.

- Piękna pogoda - odezwał się Leszek, by przerwać milczenie.

- A czemu nie ma być piękną. Lipy zaraz zakwitną. Ech, pszczołki polecą miód zbierać!

- Może i ule masz? - Leszek ubierał się spiesźnie, nerwowo; beztroski nastrój ranka znikł.

- Mam i ule.

Mimo długiej znajomości, Leszek dotychczas nigdy właściwie nie popijał wódki z Florem. Nie znał go od tej strony.

Obawiał się więc, aby pod wpływem alkoholu nie doszło do wylewnych wspomnień. Zresztą, nie był równie pewny siebie, jak Flora. Ale ten nie dotknął nawet żadnego z drażliwych tematów. Rozmawiali ze sobą na pozór swobodnie, lecz ani o szpitalu, ani ucieczce Leszka do puszczy, ani o tym, co go tam spotkało, czy też mogło spotkać i przywieść, wówczas, z powrotem do miasteczka. Dawno, sześć lat temu. Ani jednym słowem nie wspomnieli o Helenie lub Anastazji. Wiele godzin siedzieli przy wódce, zakąskach i piwie z miejscowego browaru i gadali o rzeczach powierzchownych. Flor zahaczył tyle tylko o szpital, że wspomniął, iż pewną wiosną, jeszcze podczas wojny, założyli tam mały ogródek. Stąd zapewne przyszła nań

chętką do dawnego zawodu. Udało mu się stanąć na nogi, zając znów ogrodnictwem, później założyć własne

141
przedsiębiorstwo. Oranżerię ma. Ciepłarnię, znaczy. Ten fakt podkreślał szczególnie. Wymieniał gatunki kwiatów, które hoduje. W pewnej chwili podczas tego opowiadania, zaciął się nagle, jakby zastanawiając nad rozwinięciem swojej myśli, ale nie dokończył jej i sięgnął po kieliszek.

Później Leszek też zaczął opowiadać koleje swego losu: jak wrócił do domu, uczył się, jak się starał o posadę... Sześć lat minęło. Było bądź co bądź o czym opowiadać. Flor słuchał. Dopiero gdy napoczęli drugą butelkę i nastąpiła jakoś dłuższa chwila milczenia, zagadnął mimochodem, od niechcienia:

- A rana jak?

Leszek poczerwieniał, skwapliwie pochylił głowę, rozsunał włosy i pokazał bliznę. Flor spojrział, mrugnął oczami na znak, że widzi, i zapytał tonem rzeczowym:

- A karabinem nie zdążyłeś się zasłonić?

- Nie. - Leszek zgarbił się raptownie, cofnął głowę w ramiona i zdawało się, że wstrzymał oddech.

Flor uczynił tylko potakujący ruch podbródkiem i grubymi palcami zaczął w zamyśleniu oddzierać z butelki nalepkę browaru „Goldman i Syn”. Leszek czekał z napięciem, ale zerknąwszy ukradkiem, spod powiek, na Florę, nie dostrzegł w nim spodziewanego wyrazu dezaprobaty.

- Bywa. W życiu - powiedział tylko.

Wtedy Leszek uspokoił się zupełnie, wypił duszkiem następny kieliszek i zaczął znów opowiadać; tym razem o aptecę.

- Dobra rzecz - przyznał Flor. - To czemu tobie nie zostać aptekarzem było? Lepiej, nie? Na swoim. Zamiast służyć.

- Ach, nie! - I po chwili: - Co za przyjemność całe życie przy jakichś tam proszkach i słoikach...

-Taaak...

- No, bo nie?! A tak masz: zieleń... las...

- Taaak... - przeciągnął ponownie Flor i zapalił papierosa.

Nagle, pod działaniem alkoholu, nasza Leszka ochota przerwać tę milczącą umowę i przejść do tematów omijanych dotychczas z taką skrupulatnością. Uczynił nawet zapowiadający gest ręką, ale w tej chwili Flor potrącił niebacznie rękawem talerzyk z mizerią i wylał nieco octu na stół.

142

- Widzisz - wskazał, uśmiechając się do brody - te świeże ogóreczki też mojej hodowli. Sprzedają do restauracji.

Maniusiu! - zawołał w kierunku bufetu. - Daj tu ściereczkę, wytrzeć!

Była to drugorzędna piwiarnia z wyszynkiem alkoholu, w półsuterynie, do której schodziło się z ulicy po trzech schodkach. O tej porze - pusta. Stoliki nakryte były ceratą, a po wierzchu białym papierem zamiast obrusów. - Podeszła młoda dziewczyna, uśmiechnęła się do Leszka czy też do jego eleganckiego munduru leśniczego.

Posiedzieli jeszcze chwilę. Flor wstał pierwszy.

- No, wypili, pogadali, zakąsili, ale mnie robota czeka.
Zaprosiłbym do siebie, tylko że w domu bałagan i żony nie uprzedziłem.

- Żony?... To ty żonaty?!

- Żonaty.

Leszek chciał zapytać, z kim. Zawahał się, zdławił w sobie ciekawość i wyszedł po schodkach. Na ulicy się pożegnali. Dopiero teraz zauważył, że cały dzień przesiedzieli w knajpie. Od wypitego alkoholu szumiało mu w głowie.

Zbliżał się bezwietrzny wieczór. Z ogródków, okalających drewniane domy miasteczka, pociągało zapachem rozgrzanej ziemi, późnych bzów; zza płotów wyglądały rozkwitłe jaśminy. W cerkwi skończono właśnie dzwonić i echo stało jeszcze w nieruchomym powietrzu. Podskakując po bruku, przetoczył się lekki powozik, unoszący oficera artylerii konnej w towarzystwie utlenionej blondynki. Nie było dokąd pójść. Wrócił do hotelu, spoglądając w bok, kazał portierowi sprowadzić sobie „dziewczynkę”. Ale portier, nie podnosząc wzroku znad księgi meldunkowej, wyjaśnił, że w ich hotelu nie ma tego zwyczaju...

„Wrócić na górę do numeru czy pójść jeszcze gdzie?”

Zastanowił się Leszek i wreszcie zniechęcony zażądał klucza.

-Zasnął ciężkim, nieprzyjemnym snem.

A nazajutrz wyjechał do puszczy.

143

Na świecie jest wiele jarów, rozpadlin, krzywizn ziemi, a też wysoko wystrzelających w górę sosen. Kołyszą się w takt wiatru, jakby im ciążył, lekki w istocie, kulisty ich czub, podobny z dołu do zielonego obłoku, a wsparty na gładkim pniu koloru miedzi. Obok - piaszczyste urwisko, którego przeciwległy bok najeżony pokręconymi fantastycznie korzeniami drzew i zryty norami borsuków. Właściwe wejścia do tych nor znajdowały się na szczycie wzgórza, niby to maskowane wysoką, suchą trawą i kilkoma brzożami, które w tym gruncie bez wilgoci, rosną ku własnemu zdziwieniu. W istocie, do otworów prowadziły wyraźnie wydeptane ścieżki, bo nie było się znowu tak bardzo przed kim maskować. Lisów borsuki się nie boją, ale, utrzymując swe mieszkania w czystości, nie lubią i nie pozwalają tamtym gnieździć się w bezpośredniej bliskości. Nory lisie zaczynają się o kilka staj dalej. Ponad nimi rośnie najpierw średniej wielkości jesion, a dalej przeogromny dąb, który niezbędną dla siebie wilgoć pompuje już z przeciwległej strony wzgórza, opadającego położycie na mszary. Tam, gdzie widnieje rozryta ziemia, przed głównym wejściem do nor lisich jest brudno, leżą ogryzione kosteczki, na których osiadają muchy i zalatuje smrodem padliny.

Chociaż na ogół pachnie na wzgórzu świeżym i zeszlým

144

listowiem, mieszkanką żywicy z fermentem pobliskich szuwarów, ciepłem piasku i wilgocią błot, a także tym mało wyraźnym zapachem, jaki wydają z siebie okoliczne krzewy

leszczyny, olchy, wilczej jagody i kaliny. Ze szczytu wzgórza, stojąc pod dębem, gdy się rozchyli gałęzie krzaków, widzi się rozległą płaszczyznę błot. Równina wydaje się nieskończenie daleka, jakby horyzont ustępował przed nią i raczej domyślić się można niżli ustalić okiem, gdzie się tam ze sobą styka niebo i ziemia.

Na mapie przestrzeń ta jest pokryta na cały ukos, z południowego zachodu na północny wschód, napisem: BIAŁE BŁOTO. W rzeczywistości jednak jest ona barwy zielono-rudej, pokryta kępami, na których rośnie nigdy jeszcze nie koszona trawa, obok ziół do niczego nieprzydatnych oraz żurawin. Gdy słońce jest w pełni lata, błyszczą tam oka wody i w ogóle drga powietrze od nadmiaru ciepła.

Leszek obchodził ten teren po raz pierwszy, gdy wypadło wyznaczać do cięcia masztowe sosny, zamówione przez firmę handlową. Zaprowadził go gajowy i pokazał najładniejsze sztuki, rosące na wzgórzu. Ale Leszkowi nagle szkoda zrobiło się tych drzew. Zatrzymał się na szczycie i zmrużył oczy od blasku.

- Miejsca dużo - przytwierdził gajowy, zgadując jego myśli.

- Ale co z tego; mszaj, że i nogą nie postąpisz.

Leszek podszedł do sosen i udawał, że mierzy objętość ich pni, coś tam niby wylicza i w końcu zbrakował je. - Nie nadają się - powiedział.

Gajowy zdziwił się, ale zdziwienia nie okazał. - Lepszych w moim obchodzie nie znajdzie - oświadczył tylko.

- A w czym?

- Jakoby chyba na Pieskach. Ławrynowicza obchód.

- Pieskach? - zastanowił się leśniczy. - No dobrze, poszukamy. - Uczynił ruch, jakby chciał jeszcze o coś zapytać, ale widocznie nie mógł sobie przypomnieć, o co mu chodziło, więc tylko odprawił gajowego do domu, a sam poszedł w las. Wrócił jednak niebawem na wzgórze, siadł na zwałonym pniu i długo patrzył przed siebie.

145

Borsuk, który zehciał wyjść z nory i wysunął już pasiąstą mordę, zwiertzył niebezpieczeństwo i, cofnął ją zaraz z powrotem.

Nowy leśniczy bardzo niechętnie udawał się do pobliskiego miasteczka i wyłącznie wtedy, gdy tego wymagały sprawy służbowe. Po ich załatwieniu natychmiast wracał do lasu.

Twierdził zresztą nie bez uzasadnienia, że przede wszystkim gruntownie musi się zapoznać z terenem.

Raz podpatrzyła go żona gajowego, jak leżał na brzuchu w kwadracie 113, o lesie rzadkim, bez podszycia, i jadł czarne jagody, których tam była masa nieprzebrana, zrywając je garściami, najwidoczniej bezmyślnie, bo przecie przynoszono mu je do domu w koszach. Innym razem w kwadratach 156 do 158, któredy można się było przedrzeć jedynie przez wyjątkowo gęstą knieję i zwały starodrzewia, dostrzegł go ryś, czatujący na konarze drzewa. Leszek minął go na ukos, nie domyślając się nawet, że może w tej chwili iść za nim zielona

nienawiść spojrzenia. Lubił zagłębiać się w najgęstsze partie lasu i błędzić tam godzinami.

Miał on dom w lesie, przestronny, z werandą, pachnący cały świeżą deską i żywicą, nowo zbudowany, ale jeszcze nie przystosowany na zimę. Do wykończenia brakowało wielu rzeczy, między innymi podwójnych ram okiennych i pieców. Robotnicy, nie śpiesząc się, ciosali wciąż wokół, piłowali; stapało się po drzazgach drzewnych i trocinach. W oddaleniu dwustu kroków znajdowała się gajówka. Żona gajowego, za niedużą opłatą, prowadziła także skromne gospodarstwo. Leszka i gotowała mu obiady. Rano i wieczorem przynosiła samowar. W domu mieściła się też kancelaria leśnictwa, którą prowadził podległy Leszkowi kancelista. Pracy i spraw było na ogół sporo. Resztę czasu przepędzał Leszek w lesie. Tak płynęły dni, zaokrąglając się w tygodnie. W zupełnym spokoju i ciszy. Leszek, gdy sobie przypominał, uśmiechał się z politowaniem do swych pierwotnych obaw. Przecie pierwszego dnia po przyjeździe spotkał już Flora i wszystko obeszło

146

się jak najlepiej... Miasteczka jednak unikał po dawnemu instynktownie.

Pewnego razu, a było to pod koniec miesiąca lipca, stał nad rzeką. Zapadała noc. Wody szły opieszale w wyschniętych brzegach. Czasem plusnęła jakaś ryba. Była to ta sama rzeka, którą przekraczał ongiś w innym miejscu, po drodze do wsi Łosie; ta sama, którą przekraczał po moście, jadąc pociągiem. Teraz mieszkał od niej w odległości niespełna kilometra. W tym miejscu otaczał ją milczący bór. Owej nocy nad borem stał księżyc w pełni na niebie gładkim jak aksamit. Było pięknie. Leszek, gdy wrócił do domu, odczuł jakiś wewnętrzny niepokój, jakby rodzaj zniecierpliwienia. Wydał mu się ten dom wyjątkowo pusty, cisza wokół zbyt idealna. Poszedł do swego pokoju, zapalił świece i napisał dwa listy.

Jeden list - do Ani, utrzymany w tonie na wpół żartobliwym; opisał jej, jak jest ładnie, jak płynie rzeka wśród ciszy leśnej, a w końcu przypominał „słowo”, które dała, że go odwiedzi podczas wakacji; dodał też rozważnie, iż stryj „również” wybiera się do niego. Drugi list - do stryja, w którym zapraszał go bardzo serdecznie do siebie, co najmniej na miesięczny pobyt, który może traktować jako kurację, takie tu jest doskonale, zdrowe, żywiczne powietrze. Pierwszy list wydał mu się po napisaniu ekscentryczny, nawet pozbawiony sensu. Trochę się go wstydził i zastanawiał, czy lepiej nie podrzeć. Uśmiechając się do swoich myśli, wyciągnął ręce, oczyścił świece z nocnych motyli, których kilka spaliło się już i pływało w stearynie, a potem wytarł palce i obydwa listy szybko zakleił.

Nazajutrz wysłał je na pocztę, a sam poszedł daleko w las i dopiero koło południa dotarł do borsuczej górki. Położył się w cieniu jesiona i stąd przyglądał wysokim sosnom po drugiej stronie urwiska. Czas płynął wolno, jak rzeka wśród wyschniętych ławic. Na niebie bez obłoków wisiał jastrząb,

z rzadka zmieniając swoją pozycję dwoma machnięciami skrzydeł. W powietrzu stał nieustanny, głuchy brzęk owadów, który zlewał się z ciszą w nierozzerwalną całość. W białym

147

blasku słońca zieleń traciła już swą świeżość, choć do jesieni było jeszcze daleko.

„Opowiem Ani”, myślał, „że zabroniłem ściąć te sosny... Ech, diabła tam będzie ją obchodzić akurat, czy kazałem ściąć, czy nie... Co mi przyszło w ogóle do głowy?” - przewrócił się na brzuch, patrząc w głąb traw. - „Nic strasznego, że napisałem list, ale spodziewać się jej przyjazdu jest nonsensem. A z drugiej strony cóż prostszego, jak pójść na dworzec, kupić bilet w kasie, siąść do pociągu... Para obraca tłoki, tłoki obracają koła... Samotność jest przez to zła, że myśli nie dają spokoju”. Obrócił się znowu na wznak. „Kto to powiedział, że myśl w głowie - to jak sznur na szyi, Flor? Może i Flor, niech to wszyscy diabli wezmą!” Wstał.

„Hum-hum, hum-hum...” Leszek wsłuchał się, wzruszył ramionami. Z błot gdzieś. Ptak nie ptak, wilk nie wilk?

Postawił nogę na pniu i posłuchał raz jeszcze. Cisza. A później z drugiej strony, gdzieś bardzo daleko, kuł dzieciół.

W ciągu następnego tygodnia nie wychodził prawie wcale i odrabiał zaległą pracę kancelaryjną. W sobotę otrzymał list. Z charakteru pisma poznał, że od stryja. Nie miał czasu go czytać, gdyż pochłonięty był obrachunkami. Dopiero podczas przerwy obiadowej rozerwał kopertę. Stryj Cezary pisał stylem niezabawnym i donosił (dziękując za zaproszenie), że przyjedzie w połowie sierpnia.

148

Przyjechała, przyjechała! Przyjechała razem ze stryjem Cezarym. Potraktowała to jako dowcip, jako taki sobie żart, w każdym razie żart pod opieką człowieka tak poważnego, jakim jest stryj Cezary. Niemniej jednak była zapłonią, gdy wysiadała z pociągu. Leszek wszystkiemu potakiwał. Był tak ucieszony, że przypomniał sobie raptem, jak stryj Cezary, gdy on miał lat dwanaście, przywiózł mu konia na biegunach...

- Ale chyba nie chcesz przez to powiedzieć... - zaczął stryj.

- Nie, nie! - śmiał się Leszek i po dziecinnemu trzymał Anię za rękę jak zabawkę.

Z dworca pojechali do kasyna urzędniczego, dokąd ich Leszek zaprosił na śniadanie. A później odprowadzili Anię do hotelu, by wypoczęła po drodze. Dopiero wieczorem mieli się spotkać i jechać do puszczy, gdyż Leszek miał jeszcze kilka spraw służbowych do załatwienia w dyrekcji leśnej w miasteczku.

Gdy wyruszyli wreszcie, stryj opowiadał stare kawały, Leszek kręcił się na przednim siedzeniu podniecony wizytą, a Ania zachowywała się trochę sztucznie. Sama na siebie była za to zła, ale tym bardziej nie potrafiła odzyskać naturalnej swobody i zdawało się jej, iż popada przez to w coraz większą

149

sztuczność. Stryj nic nie zauważył, a Leszek brał to za zrozumiały objaw onieśmienia.

- Jaką będziemy mieli pogodę? - spytał stryj Cezary.

„Tak, od tego będzie zależało właściwie wszystko”, pomyślał Leszek. „Powodzenie całej eskapady, a ściślej mówiąc najbliższy los ich wszystkich”. Susza trwała od kilku tygodni i ostatniej niedzieli odprawiono nabożeństwa na intencje deszczu. Gdyby prośby te zostały wysłuchane, mogłyby w znacznym stopniu pokrzyżować nadzieje Leszka, z których tak się cieszył. Ale spojrzawszy na jasnożółty zachód, nie zmacony żadną chmurką, poweselał i zapewnił stryja, że zamówił na ich pobyt najjaśniejsze słońce. Jednak obecność Ani, właśnie dlatego że był nią tak dalece zaabsorbowany, wprawiała i jego w pewnego rodzaju zakłopotanie. Przypomnił sobie nagle, że nie przewidział szeregu różnych drobiazgów. Na przykład nie jest pewien, czy żona gajowego będzie ich czekać, jeżeli przyjadą późną nocą, a kto w takim razie pokaże Ani chociażby drogę do ustępu, bardzo prymitywnego, a położonego na razie o pięćdziesiąt kroków od domu w lesie. W sierpniu noce są ciemne... Był z nią na stopie jeszcze zbyt oficjalnej dla omawiania podobnych, wstydliwych rzeczy. W domu też mogło jej brakować wielu niezbędnych przedmiotów. Czy będzie jej dość wygodnie? Później się może ułożyć, ale bardzo pragnął uniknąć od razu nastroju skrepowania i niezręczności. Zaczął się więc wiercić, przynaglał woźnicę. Potem przeniósł wzrok na walizkę Ani, starając się wywnioskować, czy dosyć ma rzeczy i na jak długo mogą jej wystarczyć.

- No, czego się troskasz i patrzysz po bokach? - zapytał stryj. - Boisz się, żebyśmy nie zabłądzili?

- O nie, tego się nie boję!

Ania uśmiechała się ustami, ale w miarę zbliżania do puszczy stawała się bardziej milcząca; być może też myślała o jakichś tam swoich sprawach. Oczy ich spotkały się i oboje z wymuszeniem rozjaśnili na chwilę twarze. Gdy wjechali w las, nawet stryj Cezary wpadł w zadumę. Na drodze zanikały ostatnie odbłaski dnia. Wnętrze lasu było już czarne. Ania patrzyła nieruchomo na drzewa, muskając oczami mijane

150
pnie, jak to czynią reflektory samochodu, które ślizgają się po wierzchu, nie zatrzymując na żadnym, błyszczące, nieme i posłuszne skrętom drogi.

Wszystko ułożyło się jak najlepiej. Stary człowiek nie krępował w niczym młodych. Drugiego wieczoru, gdy Leszek z Anią poszli razem nad rzekę i wracali, trzymając się za ręce, panowało między nimi jeszcze to zwyczajne napięcie i ten trochę nieszczerzy stosunek, gdy oboje mówią o jednym, a myślą o czymś innym. Ale na pierwsze, nieśmiałe zaloty Leszka, Ania odpowiedziała:

- At, skoro już raz zdecydowałam się tu przyjechać...

Wtedy lekka mgła przesłoniła oczy Leszka. Gdy ją obejmował następnie, ona okazała się na to przygotowana.

Przecież tak czy owak, tu w tym lesie są tylko jedno dla drugiego. Czasem zdarza się, że marzenia ziszczają się w sposób prawie niewiarygodny! Noc, sierp księżycy, sami jedni, sowy krzyczą, ciepło, a pod nimi suchy, miękki wrzos. Łapczywe ręce Leszka latały jak w febrze. „Poczekaj, poczekaj”, szepnęła mu oddechem w twarz, nie mogąc dać rady po omacku z jakąś tasiemką czy jakimś guzikiem, o którym on nic nie chciał wiedzieć.

W ten sposób zaczęły się najszcześniejsze dni w ich życiu. Któregoś popołudnia siedzieli w cieniu, zasłonięci od domu drzewami.

- Będziemy razem? - spytała Ania.

- Mhm.

- Co znaczy u ciebie: „Mhum”?

- Może znaczyć wszystko.

- Wszystko „tak” czy wszystko „nie”?

- Wszystko „tak”.

- I tak dalej, też?

- I tak dalej. - Leszek objął rękami kolana i zuł trawkę.

Ona tuż obok, w tej samej pozycji, ale już w kręgu światła wystawiwszy twarz na słońce, aby się opalić, bosy i z podkasaną spódnicą.

- Zawsze już, zawsze?

- Zawsze, na zawsze.

151

-O, Boże!

-Co?

- Spójrz jaki robak straszny... wlaż na nogę!

- To nie robak.

-A co?

- Taka sobie lizka. Strać.

- Wiesz, co myślałam, jak wyjeżdżałeś na tę posadę?

-No?

- Że może: tak.

- Tak myślałaś?

- Nie wiem.

- A gdy dostałaś list?

- Że na pewno.

- Czy napiszemy?

- Do mam i tak dalej?

-Uhm.

- Zrobimy jak zechcesz, kochany.

- Ale to niemożliwe, żebyś się rozmyśliła?

- Robimy przecie wszystko razem. Więc jeżeli ty się nie rozmyślisz?

- Zamiast gadać głupstwa, siądź tu bliżej.

- Ludzie chodzą, robotnicy...

- To chodź, pójdziemy do rzeki się kąpać.

- Nie chce mi się wlażyć na górę po kostium.

- Po co kostium, przecież tam nikogo nie ma. Głucha puszcza.

- Aha! No, dobrze, będę się kąpać w majtkach.

- A później co z nimi zrobisz?
- Śmieszny jesteś. Wycisnę i będę niosła w ręku.
- Równie dobrze możesz się kapać bez majtek. Ja będę nago.
- Ty - to co innego. A ja chcę w majtkach.
- Chcesz koniecznie, to nie będę ci ich zdierał.
- Nigdy?... - oparła podbródek o kolana.
- Ale mieliśmy przecie wszystko robić razem!
- A dzieci rodzić?
- Boże, jak ty kręcisz!
- No, to już chodź!

152

W tej chwili ktoś chrząknął taktownie od ścieżki prowadzącej do domu. Leszek drgnął, Ania szybko obciągnęła sukienkę.

- Proszę pana - odezwał się gajowy, zatrzymując w pewnym oddaleniu. - Jakiś człowiek przyjechał z miasta i chce z panem rozmawiać.
- Co? Jaki człowiek?
- Powiedział, żeby powiedzieć, że Flor nazywa się, jakoby. Leszek zaszepił się i namyślał. Ania spojrzała mu w twarz, ale ominął ją wzrokiem i zapytał gajowego bez cienia służbowej powagi, spieszenie wymawiając słowa:
- Czy nikt nie powiedział, że ja jestem?
- Zdaje się, że nikt taki nie mówił.
- To proszę jemu powiedzieć, że... że nie ma mnie. Wyjechałem. No, służbowo... W teren czy coś takiego.
- Że do wieczora, czy jak objaśnić?
- Wszystko jedno. Nie, lepiej, że do jutra nie wrócę.
- Słucham.
- Zaraz! A gdzie mój stryj?
- Jakoby na werandzie, książkę sobie czyta od obiadu.
- A to dobrze. Niech sobie czyta.

Gajowy zawrócił. Leszek siedział jakiś czas z twarzą napiętą jakby chciał dosłyszeć rozmowę koło domu.

- Dlaczegoś się zmartwił? Kto to jest ten Flor - spytała Ania szeptem.

- Ach... Nic, taki jeden człowiek. Chodź. - Wstali. - Nie, nie tędy. Chodź tak, żeby nas nie widziano z domu. Krzakami. Wracali o zachodzie, gdy żywiczna duszność dnia ustąpiła już cowieczornej świeżości. Czuli się trochę osłabieni kąpielą i głodni. Może dlatego myśl o czekającym ich na werandzie nakrytym do kolacji stole wprawiała Anię w nastrój wielkiej wesołości. Obracając w ręku młynkiem, wyciśnięte z wody majtki, wykrzykiwała różne zdrobniałe przezwiska na mijane drzewa, spotykane ptaki lub inne rzeczy, które jej właśnie wpadły w oko. Las odpowiadał łagodnym echem. Leszek z pewnym zniecierpliwieniem spoglądał ku domowi.

-To bez sensu, co wykrzykujesz. Poczekaj, nie krzycz tak!

153

- Całe życie zwracano mi uwagę, jak byłam mała, żeby nie

krzyżeć, „bo to nie las...” Raz wreszcie jestem w lesie!

- Ja wiem. Mnie też tego samego uczono. Ale to była bardzo głupia uwaga. Bo właśnie w lesie wszyscy starają się zachowywać cicho: i zwierzęta, i ludzie.

Ania dopiero teraz spostrzegła, iż Leszek zbliża się do domu z niepokojem i nawet rozgląda wokół, jakby czegoś czy kogoś szukał oczyma.

Nie potrafili się ze sobą rozstać. Gdy stryj powiedział „dobranoc” i poszedł spać i pogaszono światła, Leszek szepnął:

- Kto do kogo?

- Może już dość?

- Cicho, nie mów tak głośno.

- Przecież szepczę.

- To nie szepcz tak głośno.

- Nie, do mnie - nie. Bo u mnie za ścianą stryj.

- A po coś go przywoziła...

Wpadali mimo woli w ton dzieciennego przekomarzania, nie dlatego żeby chcieli udawać, ale dlatego, że czuli się szczęśliwi dzieciennym szczęściem, a nawet większym jeszcze, gdyż nie krępowanym żadnymi z licznych zakazów, które ograniczają radość dzieciennego wieku. Dziś było im wszystko wolno i ta świadomość wprawiała ich w zachwyty.

Ania szła po ciemku boso do pokoju Leszka, prowadzona przez niego za jedną rękę, w drugiej wlokła za sobą poduszkę. Świeże deski domu nie skrzypiały. Zresztą coraz rzadziej przestrzegali pozorów, a od wczoraj mówili do siebie „ty” w obecności stryja. Ania, jak to się zdarza w pierwszych, młodzieńczych egzaltacjach miłosnych, zatracala też zupełnie poczucie wstydu wobec Leszka, w sposób instynktowny i tak naturalny, jaki zapewne istniał w raju przed grzechem pierwotnym.

O świcie Leszek leżał na wznak w zmiętej pościeli, podczas gdy Ania siedziała z jedną nogą opuszczoną, a drugą, u której obcinała paznokcie, rozkraczoną na krawędzi łóżka; obrócona była do niego przodem, z włosami opadającymi na twarz i twierdziła, że zwichnęła sobie paznokieć wskutek chodzenia boso.

- Ależ bezwstydnica - uśmiechnął się, napawając wzrok każdym jej ruchem.

- A ty nie patrz!... Słuchaj, co to było z tym jakimś Florem? Czegoś się tak denerwował wczoraj?

- „Tak” denerwował!... Wcale się nie denerwowałem.

- No, ale trochę. I śpiewać mnie zabroniłeś, gdy wracaliśmy do domu.

- Nie śpiewałaś, tylko krzyczałaś jak...

- Jak kto?! - wesoło odrzuciła opadające włosy i opuściła nogę.

- Jak, już nie wiem, kto...

- No, jak nie wiesz, to powiedz, o co cię pytam: co z tym Florem?

Leszek przestał patrzeć na nią i obrócił głowę na prawe ramię.

- Bo widzisz... Ja ci powiem. To sobie taki człowiek, bardzo nieokrzesany, a ja z nim jestem na stopie koleżeńskiej, przyjacielskiej, no. Więc mi się nie chciało... Po prostu, rozumiesz, szkoda mi każdej chwili, gdy jestem z tobą. A on by nie pasował do naszego towarzystwa. No, co ciebie na przykład mogą obchodzić moje z nim sprawy...

- A ty skąd go znasz?

- Leżeliśmy razem w szpitalu. Przecież ci kiedyś opowiadałem.

- Nic nie opowiadałeś.

- Jak to nic nie opowiadałem! Tylko, naturalnie, nie słuchałaś!...

- Ach już, już! Już pamiętam, pamiętam, no: nie gniewaj się, kochany. Wiem, wiem, to potem gdyś szarżował w ataku i został cięty szablą - i Ania przypadła doń piersiami, bokiem, tak jak siedziała, a wolną nogą wymachując w powietrzu.

- No, chodź tu - szepnął Leszek, wciągając ją całą z powrotem do łóżka.

Nie powiedział Ani dotychczas całej prawdy, nie dlatego żeby zamierzał przed nią ukryć cokolwiek czyją okłamać. Nie opowiadał jej też nigdy o żadnej szarży konnej; to ona wzięła ze

155

słyszania od innych lub najpewniej z relacji stryja Cezarego.

Przeciwnie, Leszek sądził, że był z Anią zespolony do tego stopnia, że mogą już sobie nawzajem powiedzieć absolutnie wszystko. Nawet się cieszył, że raz wreszcie ciężarem tej

tajemnicy nie będzie obarczony sam, a podzieli ją wspólnie.

Odkładał jednak to wyznanie, gdyż było prawdą, iż żałował

każdej minuty spędzanej teraz razem. Tym bardziej więc nie

chciał zaciemniać na razie tego szczęścia babraniem się

w rzeczach, które uważał za przykre i głupie, a nie stanowiące

przecie żadnej konieczności, aby je natychmiast poruszać.

- Słuchaj, ty wiesz co... - obudziła go Ania, potem gdy

znów zasnęli. Wyciągnęła gołą rękę i ziewała.

-No?

- Że chyba trzeba już będzie wstawać - przeciągnęła się

z zalem.

156

Spadł wreszcie ulewny deszcz z burzą. Do południa

wyjrzało słońce i z każdej igły, z każdego listeczka zwisały

krople. Z ziemi wstawał opar podobny do złotego pyłu. Grzyby

zaczęły rosnać i stryj Cezary codziennie o świcie wychodził

z koszykiem do lasu. Wkrótce grzybobranie stało się jego

namiętnością. Raz spóźnił się na obiad. Właśnie podczas tego

obiadu, gdy Leszek z Anią siedzieli przy stole sami, ona

wystąpiła z inicjatywą, aby starego pana powiadomić o ich

decyzji i prosić go o pomoc w przyspieszeniu sprawy. Bo na to,

żeby rozstawać się na czas dłuższy i wyczekiwać wszystkich

terminów przewidzianych prawami kościelnymi - nie zgadzali

się. Tymczasem wizyta Ani dobiega końca. Minęło już dwa

tygodnie.

- Chcesz tak? - przechyliła się przez stół do Leszka.
- Chcę, naturalnie.
- No to dziś. Pisz do swojej mamy, ja do mojej maminy, a ze stryjem pogadasz?
- Jak tylko wróci.

Stryj przyjął do wiadomości ich decyzję nader pogodnie. Ograniczył się do kilku uwag, powiedział parę dowcipów, ale zrezygnował z poważniejszej przemowy. Na prośbę Leszka zgodził się nawet interweniować w ich sprawie u proboszcza.

157

Parafia znajdowała się w miasteczku, więc już nazajutrz udał się na plebanie, aby się rozmówić w sprawie uzyskania ewentualnej dyspensy na ślub bez zapowiedzi. Leszek przywiązywał do tego szczegółu dużą wagę.

Stryj Cezary, jak tego się wszyscy zresztą spodziewali, uzyskał zgodę zasadniczą. Proboszcz jednak chciał poznać przedtem osobiście Leszka. Warunek ten wydał się zupełnie naturalny i trzeciego dnia Leszek pojechał do miasteczka, a żeby przedstawić się księdzu.

Proboszcz był taki, jacy bywają w małych miasteczkach, urobiony na tradycyjnych wzorach zewnętrznej dobroduszości, która z latami praktyki przeistaczała się w dobroduszość szczerą, bez względu na charakter indywidualny kapłana.

Przed wyjazdem stryj Cezary upomniał bratanka, aby w pętelkę munduru wsadził wstążkę orderową. Leszek usłuchał rady. Proboszcz usadził go na honorowym fotelu i pierwszy zagał rozmowę:

- No cóż począć z młodymi - rozłożył ręce. - Im się zawsze śpieszy. Co?

Leszek zarumienił się.

- Doszły mnie wieści, doszły - ciągnął dalej ksiądz. - Cóż robić. Jakże tu nie być pobłażliwym dla naszego bohatera, co? A jak tam było?

- To znaczy?...

- No, na wojence. To naszego, słyszałem, miasta bronił pan tak dzielnie, że aż ciachnęli po głowie, co? Doszły mnie słuchy, doszły, a jakże.

Leszek zdawał sobie sprawę, że w istocie chodzi w tej chwili o załatwienie czczej formalności, a jednak nie mógł pohamować w sobie raptownie w nim narastającej niechęci do tematu poruszonego przez proboszcza i zdobyć się chociażby na zdawkowy frazes; poruszył się jedynie niezgrabnie na fotelu. Proboszcz wziął jego zachowanie za objaw skromności i uśmiechnął się bardzo przyjaźnie.

- No, ale, jak to powiadają, do wesela się zagoiło, co? Nie ma śladu, co?

158

- Blizna pozostała - wykrztusił Leszek i nagle lewą ręką ujął za guzik, zakrywając wstążeczkę orderową.

Ksiądz uniósł brwi i wyciągnął nieco szyję, wykazując wyraźne zainteresowanie. Leszek zrozumiał i z uczuciem szczerzej

odrazy pochylił głowę naprzód, rozsunał włosy i pokazał bliznę.

- Uchuchuch - westchnął ksiądz. Następnie przeszedł do formalnej strony sprawy. Jest jedna trudność, która winna być przezwyciężona. Ta mianowicie, że sprawę w sposób, jaki tego sobie życzą młodzi, załatwić można tylko wtedy, jeżeli panna zamieszkuje tę właśnie parafię. - A narzeczona skąd? Tutejsza? - spytał, chociaż wiedział już od stryja, że tak nie jest.

- Niestety. A czy nie wystarczy, jeżeli ja wystaram się, aby ją zameldowali tu od jutra?

- Ach, robią to dla pana, na pewno zrobią. Zameldują, zameldują.

Leszek wstał i podziękował. - Z plebanii udał się bezpośrednio do znajomego komendanta policji. Komendant zgodził się załatwić tę formalność na poczekaniu. Bez okazania dokumentów spisał ze słów Leszka dane dotyczące Ani i zaprosił go na kieliszek wódki.

Później młody leśniczy musiał stawiać swoją kolejkę i zasiedzieli się do późna. Komendant też brał udział w wojnie, a zobaczywszy w pętlicy Leszka wstążeczkę orderową, dowiadywał się, ile otrzymuje miesięcznej pensji za order? Leszek wymienił cyfrę. Komendant melancholijnie pokiwał głową.

Posiadał wprawdzie odznaczenie też, ale niższej kategorii, do której nie przywiązana była pensja. A ma już dwoje dzieci...

Ha, niełatwa sprawa z tym wiązaniem końca z końcem.

- Wam, przy lesie, to zawsze jakiś zarobek uboczny może się nadarzyć.

- Jaki tam może być zarobek!

- E, cokolwiek. Renumeraacja jakaś, coś z boku kapnie...

Więcej swobody ruchów. Życie.

- Życie... - powtórzył z nagłą goryczą Leszek. - Pustka, głusz, las i las.

Policjant westchnął. - To dlatego się pan żeni?

159

- Pewnie, że dlatego. - A później dodał żartobliwym tonem:

- Ognisko domowe! Dom trzeba mieć. Swoją chatę. Bez chaty... nie można. To najważniejsza rzecz na świecie, mówił mi kiedyś pewien bardzo stary i bardzo biedny człowiek.

- To wcale nie jest takie głupie, co on panu mówił

- mruknął komendant. - Choć wie pan, że w życiu różnie się układa. Czasem bez chaty może być nie gorzej niż z dachem nad głową. Różnie, różnie...

- To chyba jeszcze głębsza filozofia! - zaśmiał się Leszek, a jednocześnie miał przyjemne czucie, że jakąś wspólną z Anią ważną prawdę zachowuje przy sobie i nie potrzebuje w tej chwili jej omawiać.

Wrócił późną nocą do domu. Na werandzie, otulona w kołdrę, siedziała Ania. Na widok Leszka zrzuciła z siebie okrycie i zbiegła po stopniach.

- Ach, kochany, kochany! Dlaczegoś tak strasznie, strasznie długo nie przyjeżdżał?!

Obudzili się jeszcze przed świtem prawie równocześnie. Leszka gnębiło pragnienie po wypitym alkoholu. Podniebienie miał zupełnie wyschnięte i wstał, by się napić kwasu. - Pokój znajdował się na piętrze; w szczytowej ścianie dachu było wielkie okno. Ponieważ dom stał na wzniesieniu, więc z okna rozpościerał się daleki widok na dolinę opadającą ku rzece. W ciągu dnia było stąd widać morze wierzchołków leśnych. W nocy, gdy spali przy otwartym oknie, wlatywały komary, ćmy i gęsty jak olej zapach puszczy do „ich” pokoju, gdyż nie nazywał się już pokojem „Leszka”, ale wspólnym. Natomiast podczas deszczu słychać było wyraźnie przez cienki sufit, jak krople dudniły na gontach dachu, a także przez otwarte okno, gdy spadały na liście, i wreszcie, jak ściekały do rynny, zrazu pojedyncze, później coraz gęstsze, aż łały się ciurkiem. Gdy deszcz ustawał, krople stawały się znów pojedyncze, coraz wolniejsze, coraz rzadsze, ale spadały długo jeszcze po wypogodzeniu. Od kilku nocy deszcze padały dosyć często. Do zwykłej wilgoci parującej z roślin dołączał wtedy bardziej wyraźny zapach deszczowej wody i mokrego drzewa; od tego 160

robiło się w pokoju chłodno, a oni otulali się ściślej z wierzchu, przyciskali do siebie jeszcze bardziej szczelnie.

Tej nocy jednak deszcz nie padał. Natomiast w chwili, gdy Leszek poszedł na dół w poszukiwaniu chlebowego kwasu i zostawił drzwi nie domknięte, do pokoju wpadł wiatr. Ani wydawało się zrazu, że spowodował go zwykły przeciąg, ale wkrótce usłyszała, że za oknem idzie wielki szum; pozornie raz się zbliża, a raz oddala, gwałtownie zmienia tony, niespodziewanie łagodnieje, znów się podrywa, aby przez czas dłuższy trwać w jednostajnym i tęsknym poszumie.

W rzeczywistości była to gra drzew, gdyż każde z nich szumi inaczej: osika odmiennie niż klon, świerk inaczej niż sosna, dąb lub brzoza. Wiatry też nie bywają jednakie. Ten, który dął w tej chwili, różnił się wyraźnie od dotychczasowych, choć był to dopiero koniec sierpnia.

- Cóż za jesienny wiatr... - Leszek wrócił i zamknął drzwi od korytarza. - Nie zimno ci przy otwartym oknie?

Na chwilę szum ucichł i było słychać tylko dalekie pokrzykiwania sów. Ale jednocześnie zaszło coś dziwnego: oto oboje odnieśli to same wrażenie, że to nie wiatr jesienny, a jakaś wielka zmiana życia leci po nocy nad ziemią i targa wierzchołkami drzew.

- Nie, nie zimno. Ale wracaj już prędzej do łóżka!

Tego ranka stryj Cezary nie poszedł jak zwykle po grzyby.

Siedział przy śniadaniu sztywny i cokolwiek uroczysty.

Marynarkę starego kroju miał zapiętą na wszystkie guziki, a krawat starannie zawiązany. Leszek, który nauczył się zgadywać nastroj stryja z różnych szczegółów jego zewnętrznego wyglądu, przyjrzał mu się spod oka z pewnym niepokojem.

Zaszły też inne zmiany. Stół jadalny ze względu na pierwszy poranny chłód przeniesiony został z werandy do pokoju.

Żona gajowego wpadła na pomysł, aby ustawić pośrodku

w ozdobnym dzbanuszkach bukiet czerwonych georginii, które wyhodowała w swoim ogródku. Z powodu silnego wiatru stryj Cezary po raz pierwszy źle spał w nocy. Gdy Ania zajęła miejsce po prawej stronie, naprzeciw Leszka, trwała przez jakiś czas cisza. Potem stryj zabrał głos:

161

A więc nabrał przekonania, że „to wszystko, to bardzo pięknie”, że sam jest po ich, młodych, stronie, czego złożył pośrednio dowody, ale doprawdy nie widzi dużo sensu w tym romantycznym, ale jeszcze bardzo dziecięcym, postanowieniu załatwienia sprawy na kolanie; dlaczego nie załatwić jej raczej po ludzku? - A i twoja, moje dziecko, mama - zwrócił się po raz pierwszy na „ty” do Ani - może być tym wszystkim bardzo zmartwiona.

- Mamina?! Ależ będzie zachwycona!

- No, dajmy na to... Żeby do takiego łap-cap był chociaż jakiś najmniejszy powód. Nie mówię już, co wypada w stosunku do rodziców. Ale przecież i tak, i tak trzeba będzie sprowadzić rzeczy, pomyśleć o urządzeniu się... A dokumenty? Ostatecznie, to nie są zarty. Tu jest bardzo przyjemnie w lesie i świeże powietrze, ale tu nie ma pieców. Jakże chcecie tu mieszkać? Jesień idzie, deszcze; przyjdzie pluchoć, zimno. Będziecie musieli się przenieść do miasteczka obok, a w każdym razie na zimę.

- Piece mają być... - mruknął Leszek.

- W jednym pokoju jest już przecie piec! - wykrzyknęła Ania z głębokim przekonaniem.

- Co za życie w jednym pokoju! - rzucił niecierpliwie stryj Cezary. - Gdy może przez tydzień albo dwa będzie trwała taka pogoda, że nosa nie wysunąć. Bez elektryczności, no, jednym słowem, bez żadnych wygód.

- Jeżeli chodzi o mój gust... - zaczęła nieśmiało Ania, ale Leszek jej przerwał:

- Ja w miasteczku mieszkać nie chcę.

- Masz sobie! Dawnośmy nie słyszeli tej piosenki! Myślałem, że ci to już przeszło, tymczasem znowu wyłazisz z tą histerią. Mój drogi, pozwól sobie powiedzieć, że za młody jeszcze jesteś, żeby robić z siebie jakiegoś maniaka opanowanego kompleksami. Po prostu słuchać tego nie mogę!

Przezimować w miasteczku w każdym razie wypadnie. Znaleźć mieszkanie, urządzać się... - Stryj wychylił jednym haustem herbatę, która już ostygła, nie wyjmując w zdenerwowaniu ze szklanki łyżeczki, a tylko przyciskając ją do policzka.

162

Leszek okazywał w dalszym ciągu upór prawie maniacki, ale argumenty stryja były przekonujące i tak oczywiste, że Ania z widocznym zdziwieniem spoglądała teraz na narzeczonego.

Poczem, nieśmiało wprawdzie, zaczęła go prosić, by ustąpił. I Leszek musiał ustąpić, bo co mógł innego zrobić.

Stało wreszcie na tym, że już nazajutrz stryj Cezary i Ania wyjeżdżają z powrotem co najmniej na tydzień. W przeciągu tego czasu Leszek zajmie się wyszukaniem

mieszkania, chociażby prowizorycznego, w miasteczku, a ponieważ za nic nie chce w nim mieszkać na stałe, tedy natychmiast po ponownym przyjeździe Ani i uroczystości ślubnej rozpocznie starania o przeniesienie służbowe w inne jakieś strony, o czym już wielokrotnie zresztą była mowa dawniej.

Ania westchnęła:

-Jaka szkoda będzie tej puszczy... Dlaczego, kochany, nie można by jednak tu pozostać? Patrz, ja się zgadzam z tobą, że to miasteczko jest okropne, chociaż ono wcale takie okropne nie jest, ale przecież z wiosną wróciłibyśmy do lasu...

Stryj Cezary wtrącił:

- Powiadają, że zbrodniarza ciągnie zawsze do miejsca popełnionego przezeń złego czynu. Widocznie z czynem bohaterskim jest odwrotnie, bo ciebie to miejsce właśnie odpycha... - I był bardzo zadowolony z dowcipnej formułki.

- Widoczne, widocznie - odparł Leszek, wytarł usta serwetą, wstał i wyszedł z pokoju.

Nazajutrz nie mógł ich odprowadzić na kolej, bo akurat wypadła mu pilna robota. Był dzień chmurny, ale suchy. Żegnał się z Anią, jakby wyjeżdżała za ocean.

- Nie martw się - szeptała, całując go. - Pomyśl lepiej, że już za tydzień...

Leszek obcałował całą jej twarz, oczy i szyję.

- Mój ty kochany, najdroższy... korniczku - wyszeptala Ania, której się nagle zachciało płakać. Ale Leszek roześmiał się i trzymając ją za ramiona przed sobą, spytał:

- Kto najdroższy?... Dlaczego korniczek?!

- Korniczek? Mały kornik taki, bo ja wiem... A co to jest właściwie kornik?

- Skądżeś to wzięła?

163

- Nie wiem. Słyszałam tu gdzieś u was. To ładnie brzmi.

- To taki żuczek, co drąży drzewa. Mały, maleńki.

- No widzisz, najukochańszy, jak dobrze trafiłam!

- Jedźmy już, jedźmy! Bo się spóźnimy na pociąg! - wołał stryj Cezary.

164

W samo południe Leszek wracał z działki świerkowej, przeznaczonej do cięcia na papierówkę. Koło domu w cieniu drzewa stała zwykła chłopska furmanka. Podpinka na podsiedziółku była zluźniona, drobny konik, opuściwszy łeb, chrupał smakowicie w rzuconym przed nim naręczu koniczyny, świeżo widocznie koszonej. Chomąt z duhą spadał mu nisko na szyję, a koń potrząsał nim od czasu do czasu, opędzając się muchom. Bokiem na wózku siedział chłop w rozpiętym półkożuszku, przerzuciwszy nogi na zewnątrz, i leniwie kreślił biczem na ziemi figury, czasem podcinając którąś z drzazek leżących wokół. Leszek minąłby go na pewno obojętnie, gdyby przelotnie nie rzucił okiem na twarz siedzącego.

Wydała mu się znajoma, ale nie potrafiłby nigdy przypomnieć, skąd. Człowiek też spojrział na Leszka, ale nie było w tym spojrzeniu znaku, by go poznał.

- Dzień dobry - powiedział jedynie, ledwo uchylając czapki.
- Dzień dobry. Co to, do mnie może?
- Nie... Ja tylko podwiozłem tu jednego człowieka. On to, zdaje się, że do pana.

Leszek wszedł do kancelarii i zastał tam czekającego skromnie na stołku Flora.

165

Na widok wchodzącego gość wstał i uśmiechnął się z zakłopotaniem. Zakłopotanie odbiło się też na twarzy Leszka.

- O!... - poczerwieniał z lekka, wyciągając rękę. - Cieszę się!
 - A ja z interesem do... pana leśniczego - Flor wymówił te słowa z życzliwą ostentacją, obracając jednocześnie czapkę w rękę jak typowy petent.
 - Świetnie, świetnie. Pogadamy.
- Kancelista spode łba zapatrzył się na interesanta, ale Leszek zasłonił sobą Flora, wyprowadzając go z biura. Zasedli przy pustym stole w pokoju. Tam zapytał zniecierpliwiony:
- Skąd to furmankę taką wynająłeś?
 - Dlaczego? - zdziwił się Flor. - Furmanka zwyczajna. To przy okazji nadarzyła się. Z sąsiedniej wsi.
 - Ach, tak.
 - Dobrze tu mieszkasz - rozejrzał się. - Dom duży.

Słyszałem, żenić się masz zamiar?

- Może, może!...

- Niczegowata panienska.

- A ty gdzie ją widziałeś? - spytał Leszek i znowu poczerwieniał.

- Widziaaałem... - Siedział na samym brzeżku trzciniowego fotela, który przedtem służył stale stryjowi; swoim zwyczajem rozstawił nogi, łokcie oparł na kolanach i splótł palce. - Byłem tu. Może mówili? Już raz przyjeżdżałem. Niedawno. Ale nie zastałem ciebie, czy też zajęty byłeś. - Podniósł głowę i błędził wzrokiem po ścianach, marszcząc przy tym czoło, jakby dla podkreślenia, że mówi poważnie i nie ma żadnej ironii w tych słowach.

Leszek uświadomił sobie, że Flor mógł widzieć Anię tylko w jego towarzystwie, a więc wie o tym, że go nie chciał przyjąć wtedy. Ażeby zatuszować pogłębiające się w nim zmieszanie, wstał i powiedział prędko:

- Przy okazji wypijemy może po kieliszku!

Flor kiwnął nieznacznie głową.

- Ale chyba naprawdę po jednym.

- Czemu tak? "

166

- Czasu nie ma. Człowiek czeka z wozem. Teraz w lesie bąki strasznie konia opadają. Ja tu tylko z... małą prośbą jedną.

- Chętnie, chętnie - Leszek poweselał trochę na myśl, że wizyta nie przeciągnie się długo, i może dlatego właśnie okazał

pozory, że mu na jej przedłużeniu zależy: - Zdażysz!

Pogadamy... - „Już drugi raz powtarzam ten zwrot” pomyślał i zaciął się. Po chwili zaczął mówić, ale nie to, co chciał: - Więc twierdzisz, że ładnie u mnie, w lesie? A sam mnie kiedyś... Kto I wie, może przez ciebie, słuchając wtedy, i zostałem teraz leśnikiem. A cóż ty? Nie tęsknisz już więcej... jak kiedyś bywało?

Flor wsparł rękę na stole, a podbródek na rękę. Odparł półgębkiem:

- Dziś nie to co kiedyś...

- Dlaczego: nie to? Nie postarzałeś przecie!

- Nie o postarzenie się rozchodzi. Trudno wypowiedzieć.

I Życie... Nie, źle mówię, życie. Nie życie, a codzienność zżarła.

Od środka. Rozumiesz? Ja wiem, to trudno... - Powiódł wzrokiem, jakby szukając czegoś, co by mu pomogło do wysłowienia.

- Przedtem była wojna i wojna. Czekasz zmiany. Choć sam nie wiesz jakiej. Ale ona ciągle w tobie jest, ta nadzieja, chcesz czy nie chcesz. Żyjesz może źle, czasem bardzo źle, a dlatego myślisz: „Tak wiecznie nie będzie”. Fala ciebie weźmie raptem i wyniesie. Oczy wypatrujesz. Ot, wtedy i ciągnie gdzieś daleko, gdziekolwiek.

- Może i masz rację - wtrącił Leszek, słuchając go nieuważnie.

- Ech, jak wtedy: idziesz, a tu las szumi tobie nad wojenną czapką, a pod czapką różne myśli szumią. A dziś co? Z góry wiesz, co będzie za zakrętem. Nie warto nawet iść, lepiej w domu siedzieć. Stop maszyna. Życie wlewa się tobie w koryto i płynie jak w rynsztoku, ot, chociażby jak po naszej, po tamtej Szpitalnej ulicy. Pozostaje tylko chwycić się za jakiś brukowy kamień, żeby ciebie nie zniosło, według miejskiego planu, do jakiego śmierdzącego kanału. Urządzasz się, pracujesz

- zapracowujesz. Nie ma czasu w tęsknoty się bawić. Trzeba patrzeć, z czego chleb jesz.

167

- Tak, tak, - przytaknął Leszek.

- Tobie dobrze, kto zdażył nauki chwycić, tego-siego... A kto nie zdażył, temu co zostało? Szarość jak szersć na zającu. Nawet wtedy, gdy słońce świeci, to jemu deszcz pada. Najwięcej to nie bieda, a nudność zżera człowieka, ot co. Ech!... - machnął z niecierpliwością ręką. - Nie to ja mówię, co trzeba. O deszczu wspomniałem, a jego właśnie nie było i susza mnie zgubiła! Rzecz taka: jak już mówiłem, ogrodnikiem się zrobiłem. Dobrze nawet poszło. Tego więc lata wszystko, co miałem, wsadziłem w dzierżawę działki. Aż tu susza dała z piekła rodem. W puszczy tego nie odczuwać, ja wiem... A u mnie wszystko przepadło. Wyszło. Ja siu-tu rzucałem się za wodą, za polewaniem jakimś... aż tu węża gumowego skradli.

I w czas-że skradli! Bo w tej właśnie nocy pożar wybuchł. Niewielki, ale na mnie starczyło. Oranżeria spaliła się, szyby popękały, i szopa, i zabudowania, jakie tam były razem z psią budą, i w końcu domek. No, jednym słowem!

- O! I nie było zaasekurowane?

- Nie, nie było. W miejskiej kasie trochę, ale to kropla w rzece.
- To straszne...
- Bywają rzeczy straszniejsze. Więc ja, ot, do ciebie po prośbie przyszedłem.
- Ależ... Ja... Nie mam przecież dużo pieniędzy. Pensja...
- Pensję na razie zostawmy. Ja chcę czego innego prosić. Leszek spojrział nań pytająco.
- Drzewa. Budulca i także opałowego. Jesień idzie. Trzeba zaraz odbudować, trzeba opalać na zimę oranżerię. Inaczej z torbami. - Słowa te wypowiedział tonem tak kategorycznym, że w Leszku wywołał instynktowny sprzeciw, zanim jeszcze spróbował rozważyć sprawę.
- Ależ ja nie mam własnego! Ja urzędnikiem tylko jestem.
 - Wiem, że urzędnikiem. To właśnie dlatego.
 - Ileż tego trzeba?

Flor w odpowiedzi wyjął z kieszeni kawałek papieru i zaczął wyliczać. Leszek odbił się od stołu rękami i zakiwał na krześle.

168

- Przecież to masa pieniędzy! Na kredyt się budulca nie dostanie. Trzeba się zwrócić do tartaków państwowych, to w ich zarządzie gotowy budulec...
- Żeby miał za co kupić, tobym tu nie przychodził.
- Ale ja też nie mam za co kupić.
- Ja nie proszę o kupowanie, a o drzewo. Wiosną będę mógł część zwrócić.
- Część... - Leszek nie rozumiał tej formy kategorycznego żądania. „Część”, a drugą część? Zaczęła narastać w nim irytacja. - Słuchaj, ty mnie mówisz o „torbach”, a samego mnie chcesz z torbami puścić.
- Wcale ja tego nie chcę.
- Więc co mam zrobić, zdefraudować?! - drżącą ręką nalał do kieliszków, ale Flor nawet nie spojrział w ich stronę.
- Tylko pomóc - powiedział.
- Ładna pomoc, za którą wsadzą do kryminału!
- Za różne rzeczy wsadzają do kryminału.

Leszek zaczął się znów kiwać na krześle. Nastąpiło milczenie.

Przerwał je Flor:

- Ja też chcę żyć. I też żonę utrzymać.

Leszek się zastanowił.

- Posłuchaj Flor - zaczął głosem już opanowanym. - Ty wiesz, że ja bym dla ciebie przez przyjaźń bardzo chętnie dużo zrobił...
- To zrób.
- ...ale nie coś, co wykracza poza moje możliwości...
- To wcale nie wykracza. Zawsze można jakoś wykombinować, po cichu wykręcić, zablutować, odpowiednio zapisać, przepisać... Jak bym ja tego nie wiedział, że na twoim stanowisku łatwo da się taką rzecz przeprowadzić...
- Łatwo, masz rację. Ale wiesz, skoro już tak mówisz, czym to pachnie? Całą karierę na jedno ryzyko, na jedną kartę?

Tak? Ciebie dotknęło niepowodzenie, a chcesz mnie wtrącić w nieszczęście! Mnie się zdaje, że to trochę... - głos mu zadrżał - trochę za dużo ode mnie wymagasz.
- Nie. To nie jest za dużo - odparł Flor zimno.

169

Leszek wstał, odtrącił krzesło nogą, wsadził ręce w kieszenie spodni i przeszedł się po pokoju. Flor siedział jak przedtem sztywno i patrzył bez wyrazu w koniec stołu.

- Nie wiem. Doprawdy nie wiem! - zaczął znów Leszek.
- Dlaczego uważasz, że to nie jest za dużo? Ostatecznie nie jestem ci znowuż tak bardzo wiele dłużen... - Głos mu się załamał. - Raczej przeciwnie, wręcz przeciwnie. Toś ty mnie, zdaje się, sześć lat temu nabrał po prostu, wyprowadził w pole... To jest do lasu, chciałem powiedzieć. Porzucił chorego jeszcze, nie dotrzymał słowa, nie zjawił się i... i...
- I co dalej? - spytał głucho Flor, patrząc wciąż w jeden punkt na stole.
- I... sprawił wszystkie nieszczęścia...
- Nieszczęścia? Jakie? - Zwrócił ku niemu twarz i małe oczy patrzyły z wyrazem lodowatym. - Słyszałem, że dostałeś order. Teraz dobra posada. Ładna żona. Żeby tylko takie nieszczęścia spadały!... Karrriera, mówiłeś, zagrożona będzie. Karrriera.... To jeszcze nie wszystko w życiu.
- Jak dla kogo - odparł na chybił trafił Leszek.
- A choćby i dla ciebie... Pytałeś na początku, skąd ja furmankę wynająłem, co? Znajoma może? To ze wsi Łosie.
- Zrobił pauzę.

Leszek poczuł, że krew mu ucieka z twarzy. Zatrzymał się nieruchomo pośrodku pokoju.

- A wiesz ty, kto jest ten furman, co tam siedzi na wozie?
- Osa z brzękiem wleciała do pokoju i siadła na kieliszku słodkiej wiśniówki. - To mój teść - dokończył.

Zapadła cisza i tylko słychać było, jak osa brzęczy, nie mogąc się usadowić wygodnie na brzeżku cienkiego szkła.

Leszek rozchylił usta, nie pojmując w pierwszej chwili znaczenia tych słów, a tylko instynktem zgadując, że są groźne.

- Ojciec Luby. Pamiętasz, opowiadałem? To ja z nią się ożeniłem w końcu. Ot, jak wyszło. A ręka... Ręka u niej od postrzału kaleka została. Ot, jak.

Leszek stał błądy, a w odbłasku od liści padającym z okna, wydawało się, że twarz jego stała się zielonkawa. Flor spojrział na niego spode łba i mruknął pogardliwie:

170

- No, właśnie. Otóż to... - Potem odwrócił spojrzenie i znów utkwiał je w jeden punkt.

Wtedy dopiero Leszek zrobił kilka kroków, podszedł do okna, wyciągnął palce do szyby, ale nie bębnił nimi swoim zwyczajem, a tylko trzymał przy szkłe. Pierwsze, co mu przyszło, to było przekląć w myślach stryja! - „Ach, gdyby nie on z tą posadą... Z tą przeklętą posadą... Dlaczego, dlaczego się zgodził!?” - łomotało mu w głowie.

- A ty mówisz jeszcze, że za duuużo żądam! - usłyszał za

swoimi plecami głos Flora.

- Ale skąd... - zaczął Leszek i urwał. „Skąd ty wiesz?” Czy: „Co to w ogóle ma za związek?! Nie rozumiem, o czym mówisz! Zupełnie! Co ja mam wspólnego?!...” Te i tym podobne słowa cisnęły mu się w instynkcie samoobronnym, ale jednocześnie rozumiał, że byłyby cczą komedią. Przecież tamten wiedział. Wiedział na pewno, że to on. Bo któż inny mógłby być. Przecież poprzez zamknięte drzwi powoływał się wtedy na Flora. Dowodów nie ma? Ale znajdują się miażdżące poszlaki. Ci starzy w Pieskach, jeżeli jeszcze żyją, Józio i jego rodzice w Muchanowie... A gdyby nawet się obronił... przy okazji musiałyby wyjść na jaw wszystkie okoliczności, w jakich został ranny!... Sześć lat kłamstwa jak szablą uciął! Więc to, wracając z puszczy, podwiózł go, znaczy, ojciec Luby; ona wyżyła... Tak, tak, teraz pamięta, że wtedy sam powiedział: „Może Bóg da...” Powiedział tak, i Bóg dał. Na nic, na nic wykręty. A za tydzień przyjeżdża. Ania... - Nagle stało się z nim coś dziwnego: Wrócił do stołu, siadł na krześle, nawet nogę zarzucił na nogę i nerwowo sięgnął po papierosa.

- Luba, mówisz? - zapytał. - Ta, o której opowiadałeś, że cycki ma, jak nasza Hela?! Ha ha ha!... - i zaczął się śmiać. Flor spojrział na niego ponuro, strasznie.

- Ta sama. Tak, trochę większe niż u twojej - wycedził.

- Ha ha ha!... - śmiał się Leszek nerwowo, nie słysząc jego słów, śmiał się histerycznie, beznadziejnie i raptem urwał:

- Więc to ma być szantaż? - ledwo zapalonego papierosa rzucił w kąt i sięgnął po drugiego.

- Ja tam na takich słowach nie rozumiem się. Ja... - twarz Flora poszarzała, a później raptownie nalała się krwią.
171

Trzasnęła pięścią w stół! - Ja żyć chcę! Rozumiesz?! Ja też żyć chcę! Dość, dość tego! Ja po ulicach nie będę więcej chodził i wypraszał palta u Pana Boga! Ja... - chwycił za pudełko z tytoniem i chciał sobie skrócić cygaretkę, ale palce mu drżały. Leszek machinalnie przysunął mu swoje gotowe papierosy. Flor, nie patrząc, wziął jednego i zagryzł zębami. - Karrriera... - wycedził.

Zapadło milczenie po tym wybuchu. Leszek też się opanował. Potarł nawet zapalną i podał tamtemu ognia.

- Dla takiej sprawy nie ma przedawnienia po sześciu latach. A dowody znajdują się...

Siedzieli jakiś czas w milczeniu, nie patrząc na siebie. Osa odleciała teraz do okna i tłukła się o szybę. Flor powiódł za nią wzrokiem, potem wstał, jakby chciał otworzyć okno i wypuścić ją, ale niespodziewanie podszedł do Leszka i położył mu rękę na ramieniu:

- Ja tobie coś powiem, Leszek. Ty życia jeszcze nie rozumiesz. Ty wtedy poszedłeś z mojej namowy, to prawda, ale nie z tego, żeby ciebie coś wewnątrz parło. Tak sobie: dmuchnął ktoś z boku i koniec. A życie to, wiesz co? O!

- wyciągnął grube palce i zmiażdżył je w pięść. Mówił zupełnie spokojnie, prawie łagodnie. - Ty do mnie masz pretensję, że wtedy

nie przyszedłem, że słowa nie dotrzymałem. A dla jakiej przyczyny nie przyszedłem, nie pomyślałeś nawet może. Życie - to tobie nie „słowo honoru” dotrzymywać! Życie nie zna honoru, wiesz? A ty z wielkim teraz honorem nosisz order i jeszcze pensję za niego bierzesz, a? Życie, bratku... Choć i ciebie szablą po głowie stuknęli... - nachylił się prawie po przyjacielsku.

- Ale pewnie myślisz teraz: ech, i podlec że ten Flor, podlec! Tak? Tak myślisz? Powiedz.

- Myślę.

- No, i myśl sobie - wyprostował się i dwiema rękami podciągnął ramię od spodni na brzuchu. - A drzewa musisz dać. Leszek odczekał aż umilkł turkot odjeżdżającej furmanki, wstał, zobaczył kartkę wypisaną przez Flora, zmiął ją w pierwszej chwili, ale później wyprostował i wsadził do bocznej kieszeni. Na stole stały niedopite kieliszki. Wziął swój i wypił

172

I jednym haustem, kieliszek Flora wylał przez otwarte drzwi werandy, następnie zbiegł po schodkach, obciągnął kurtkę munduru, wyprostował łopatki i poszedł naokoło domu niby w jakiejś sprawie, w istocie zaś nie wiedząc, dokąd się skierować, ale z wyraźnym poczuciem, że świeże powietrze robi mu dobrze.

Z nieokreślonej strony wyłoniła się postać gajowego.

Zatrzymał się w półwojskowej postawie, zestawiając buty.

- Ja przepraszam pana leśniczego.

- A co?

- To może, naturalnie, nie moja rzecz... Ale... Ja przepraszam, tylko że jak raz Ławrynowicz, gajowy z Piesków, był przyjechał i widział... To mówi, powiedz, objaśnij znaczy, bo może pan leśniczy nawet i nie wie, z kim... - Obejrzał się i zniżył głos do szeptu. - To, proszę pana leśniczego, pierwszy jakoby bandyta!

- Kto?!

- No ten człowiek, co wyszedł od pana.

- Flor... - i urwał.

- Ja tam nie wiem, proszę pana, jak jego zowią. Ale Ławrynowicz, to jakoby zna. Podczas wojny, to jakoby tu, w puszczy, dużo ludzi nagubił.

- Nic o tym nie słyszałem. W partyzantce był, to wiem.

- No tak i będzie, że w partyzantce, w bandzie znaczy.

- Kogóż on takiego zabił?

- Wiadomo, jak to w lesie. Blżej nie słyhać było, kogo. Ale mówią, że wielu. Podobno nawet w swoją kochankę poprzez drzwi strzelił, jak nie chciała wpuścić do chaty. Choć i ożenił się z nią jakoby później. Proszę wystrzegać się. Niech Bóg uchowa, taki zbój.

Leszek końcem swego wyczyszczonego do glancu buta porył w zamyśleniu w miejscu pod nogą, gdzie ziemia spulchniona była przez mrówki i odparł przeciągle:

- Ja wieem... Ale ja z nim służyłem razem i w szpitalu leżałem podczas wojny.

- Aha, czasów wojny - przytaknął ze zrozumieniem gajowy.

- Ja osobiście, to nic nie wiem. Ławrynowicz tylko jakoby
- dodał na usprawiedliwienie.

173

- Słusznie. Ale to głupstwo. Jest taka rzecz... Zaraz, co ja
chciałem?... Aha, jutro z rana jadę do miasta.

- Słucham - odparł służbiście gajowy.

- I jeszcze... o coś chciałem zapytać... Ktoś mnie mówił,
zdaje się, że tam, w Pieskach, wiecie...

-Tak jest.

- Dwóch starców takich mieszkało kiedyś. Jakub i
Mateusz, zdaje się. Żyją oni jeszcze czy też pomarli?

- Jakoby tak.

- Co znaczy: jakoby?

- To jest pomarli już, na pewno. Bardzo starzy byli.

- Aha... No, a nie znacie ze wsi Muchanowo...? Zaraz
przypomnę sobie nazwisko...

- Nie, z Muchanowa nie znam nikogo. Słyszałem, owszem,
jest taka wieś, ale to daleko i poza puszcza już.

- No, dobrze. Nic, nic więcej.

Leszek załatwił tego dnia jeszcze kilka spraw bieżących, a
wieczorem u siebie w pokoju wyjął z kieszeni kartkę
pozostawioną przez Flora, wziął ołówek i zaczął dokładnie obliczać.

174

Cyfry, które zsumował, wykazały, że szantaż ze strony
Flora nie opiewał na sumę zbyt wygórowaną. Wynikało z nich
jasno, że nie chodzi tu o wymuszenie w celach zysku, ale o
najwidoczniej po gospodarsku obliczone potrzeby. Nie, w przeliczeniu
na gotówkę nie były to kwoty zawrotne. W każdym
jednak razie przekraczały w dwójnasób miesięczną pensję
urzędniczą, jaką otrzymywał Leszek. Duży zatem uszczerbek
materialny, ale jeszcze nie katastrofa.

Jeżeli chodzi o drzewo opałowe, mógłby przy odstąpieniu
znacznej części swego własnego deputatu i przy istotnie
minimalnym ryzyku drobnego nadużycia wykroić potrzebną
ilość bez żadnej dla siebie straty. Inaczej przedstawiała się
sprawa z materiałem budowlanym. Tego nie dałoby się zrobić
łatwo. Zakładając, że mógłby otrzymać je nawet po niższej
cenie, w każdym razie musiałby zapłacić. Wprawdzie mógł
zaciągnąć pożyczkę w wysokości zaliczki na dwumiesięczną
pensję, spłacaną następnie ratami. Mógł też prosić o pożyczkę
w kasie komunalnej. Mógł również wziąć materiał na swój
rachunek i spłacać go ratami. Położył ołówek i przeszedł się
kilkakrotnie po pokoju. Nabral otuchy i jednocześnie odczuł
pewnego rodzaju zawstydenie, że dopuścił niepotrzebnie do
dramatycznej sceny z Florem.

175

„Nic strasznego się nie stało”, myślał. Przede wszystkim
złoży zaraz podanie o przeniesienie... „Główna rzecz wydostać
się stąd. A to, to głupstwo...” - Krążył coraz zwawiej od okna do
drzwi i z powrotem. W pewnej chwili przyszło mu jednak na
myśl, że zaciąganie pożyczki lub kupowanie materiału

budowlanego na kredyt z jednoczesnym zgłoszeniem o przeniesienie nie bardzo do siebie pasują. Jedna z tych czynności wyklucza poniekąd drugą. A teraz: Ania... Urządzenie się nawet prowizoryczne i na krótko też wymaga wydatków. Sam ślub, ach, tysiąc i jeden drobiazgów, to wszystko kosztuje... Właściwie, na dobry ład, powinien tylko dla pokrycia tych potrzeb postarać się o zaciągnięcie pożyczki...

Cała sprawa zaczęła mu wyglądać znowu gorzej niż przed chwilą. Kolacji nie jadł. Czuł się zmęczony tym próżnym chodzeniem po pokoju w tę i w tę. Ona przyjedzie szczęśliwa, rozradowana... A on miałby ją spotkać kłopotami i biedą? Czy zaraz zacząć od ponurych wyznań przeszłości, aby wytłumaczyć przyczyny, które tę biedę spowodowały? Z miną grabarza spotkać już na peronie dworca?!

- Psiakrew! - zaklął głośno. Zaczął się więc z kolei zastanawiać, czy nie mógłby jeszcze raz pożyczyć od stryja. Nie, to niemożliwe: winien mu już tyle! Gdyby jeszcze wymyślić jakiś nadzwyczajny a prawdopodobny pretekst. Ale tak samo, jak przed kilku miesiącami, takiego pretekstu wymyślić nie mógł. Głęboko zniechęcony do własnej bezradności wobec, w gruncie rzeczy, drobnej komplikacji materialnej, położył się na łóżku nie rozbierając. Gdy zamknął oczy, przyszła mu znowu na myśl Ania, jej pobyt, noce spędzone razem w tym pokoju, jej odjazd, pożegnanie, jej ostatnie słowa, zabawne przezwisko „korniczek”, jakie mu dała, całując po raz ostatni... I nagle zerwał się i siadł, olśniony nowym pomysłem. Samica brązowych lub czarnych żuczków, objętych naukową nazwą *Ipidae*, przebija korę drzewną, drąży korytarze i po obu ich stronach składa jajeczka. Z jajeczek tych powstają beznogie larwy i ze swej strony zaczynają drążyć drzewo. Jest dużo gatunków tych owadów i każdy ma swój, sobie tylko właściwy, sposób drażenia, co prowadzi do powstania

176

rozmaitych deseni w drzewie. Gdy wczesną wiosną śniegi zalegają jeszcze lasy, już zaczynają swój trudny żywot *Hylesinus piniperda*, które niszczą zarówno najpotężniejsze pnie, jak młode pędy, wskutek czego wierzchołki znanych z wyprostowanej dumy świerków, przybrać mogą wygląd karykaturalny. Najbardziej głośny z rodziny korników przezwany został: drukarzem, dla misternych znaków, jakie pozostawia na korze. Inny, *Trypondenron lineatum*, do tego stopnia wgryza się w miąższ drzewny, że czyni go niezdatnym dla celów przemysłowych. *Hylobius abietis* potrafi zniszczyć tysiące hektarów młodych sosen i świerków, ogryzając ich korę. Larwa *Pissodes notatus* napada tylko sosny, a *Otiorrhynchus nigerobjada* korzenie świerków... Tak to one sobie żyją te korniki w drzewach, jak ludzie w swoich skupiskach, i każdy drąży dla siebie, każdy dba tylko o siebie...

O tym wszystkim Leszek wiedział z nauk pobranych w Instytucie Leśnym. Walka z tym szkodnikiem jest zmusna. Zastosowanie masowych środków nowoczesnych nie zawsze się opłaca. Kornik opada głównie drzewa słabowite lub osłabione

późniejszymi okolicznościami wzrostu. Takie właśnie okoliczności stworzyła wojna, dewastacja, pożary, ogólne zaniedbanie gospodarki leśnej. Gdy rozpowszechniła się plaga kornika, zastosowano obronę prymitywną, ale jedyną, na jaką w powojennym rozgardiaszu i z braku środków, było stać: masowe wycinanie zarażonych drzew i usuwanie ich z lasu. Kupcy leśni okazali duże zrozumienie dla tej procedury, gdyż drzewa oddawano im prawie za darmo, często tylko w zamian za środki transportu. Od decyzji poszczególnych leśniczych zależało wytypowanie zarażonych partii lasu oraz wyznaczenie ilości drzew przeznaczonych do wycięcia, aby nie zagrażały całości drzewostanu. Zdarzały się naturalnie omyłki i bywały wypadki, że łącznie z chorym drzewem wycinano też pewien procent zdrowych, pełnowartościowych sztuk i sprzedawano po - najniższej cenie... Ponieważ w grę wchodziły duże ilości, zarobki kupca leśnego w wypadkach, gdy leśniczy przymykał oko... na tego rodzaju „omyłki”, wynosiły nieraz pokaźne sumy.

177

O tych sprawach Leszek wiedział dobrze, choć tylko ze słyszenia. Nie był jeszcze otrząskany z praktyką, ale zdawał sobie dokładnie sprawę z wysokości sum, jakie mogły wchodzić w rachubę.

Kupiec leśny, jedyny z jakim się dotychczas zetknął, Zuseł Szapiro, był człowiekiem w starszym wieku. Zimą chadzał w juchtowych butach, futrze na tchórzach i bobrowym kołnierzu; latem zaś w starym ubraniu, nie różniącym go od przeciętnego sklepikarza, natomiast z grubym łańcuchem od złotego zegarka w kamizelce i nosił zawsze przy sobie dwie papierośnice: jedną srebrną, niemodnego kształtu, z której częstował papierosami brakarzy, starszych majstrów, czasem drwali, poza tym wszystkich niższych klasowo lub równych sobie ludzi; drugą, równie niemodną, szczerozłotą, z monogramem wysadzonym rubinami, z której częstował osoby, na których mu zależało lub mogło w przyszłości zależeć. Leszka częstował ze złotej papierośnicy i zapytał, czym może służyć panu leśniczemu.

Leszek oświadczył, że chciałby kupić u niego drzewo budulcowe i opałowe, według wykazu, który mu przedstawia. Kupiec szybko rzucił okiem na małą kartkę, błyskawicznie podsumował w myślach drobną, jak na handlowe stosunki, sumę i ukrywając zdziwienie, przechylił głowę z przymilnym wyrazem twarzy, w oczekiwaniu dalszych wyjaśnień. Leszek wyjaśnił więc, że chodzi tu o jego sprawę prywatną i dostarczenie drzewa na miejscu. Ze względu jednak na swoje stanowisko służbowe nie chce, jakkolwiek mógłby to oczywiście łatwo zrobić, przeprowadzać tej transakcji we własnym zakresie, dla uniknięcia wszelkich, możliwych jakichś plotek... no, podejrzeń, że robi jakieś interesa na boku, no... jednym słowem, nie życzy sobie.

- Rozumiem, rozumiem - powtórzył dwukrotnie Szapiro i z idealną obojętnością odsunął kartkę, dając do poznania, że

w takim stopniu jest zawsze na usługi leśniczego, że nie ma w ogóle o czym mówić.

Ale Leszek nie był całkowicie pewien co do właściwej interpretacji tego gestu i dlatego zapytał:

178

- Da się zrobić?

Szapiro położył na biurku swoje ręce, obrośnięte gęstym, ale bardzo jasnym, rudawym zarostem na wierzchu palców i wzruszył ramionami.

- Kiedy tylko pan leśniczy chce. Zaraz? Dziś? Fejwel!

- zawołał rozkazująco, obracając głowę w głąb biura.

- No, tam zaraz dziś... W tym miesiącu w każdym razie.

- Nie ma o czym mówić.

Młody Żyd, widocznie Fejwel, zjawiał się istotnie na progu drzwi zaopatrzonych w okienko, ale nie otrzymawszy żadnego polecenia, wycofał się znowu.

- Ile to będzie kosztować? - spytał Leszek.

Obrośnięte palce Szapiry uczyniły lekceważący ruch z góry w dół:

- Zgodzimy się.

- Dobrze, ale ja bym chciał wiedzieć.

- Och, nie ma o czym mówić! Taki drobiazgowy handel!

Jak tam u pana leśniczego? Pracy pan leśniczy ma teraz dużo?

- Jest trochę... Poza tym chciałbym uzgodnić terminy płatności, bo... - Leszek przełknął ślinę, aby ułatwić kupcowi przerwanie tego nie dokończonego zdania.

- Panie leśniczy, panie leśniczy! Czy my będziemy z panem rozmawiać o tych kilka polan! - Szapiro znów przekrzywił głowę i nadał swej twarzy wyraz, w którym zdumienie łączyło się misternie z najszczerzą przyjaźnią, jaką człowiek może odczuwać do człowieka, z bezgraniczną uległością, a jednocześnie wielką pogardą dla spraw materialnych tego świata.

- Czy pan wie, gdzie nam rachować się wypadnie? - Wytrzymał I pauzę i przechylając się poprzez biurko, tak że zaczepił złotą dewizką o wystający klucz szuflady, wskazał palcem w zadymiony sufit: - O tam, o! Po śmierci nam rachunek wystawia i trzeba będzie wyliczać się. Ale tu, na ziemi, byle tylko Pan Bóg dał zdrowie, to najważniejsze, i szczęśliwie doczekać lepszych czasów! - Wyciągnął znowu złotą papierośnicę: - A jak tam u pana leśniczego z kornikiem?

- No, nie nazbyt dobrze - odpowiedział powściągliwie Leszek, przygotowany na to pytanie. - Sporo jest jeszcze. Zwłaszcza „drukarz”.

179

Na twarzy Szapiry odmalowało się cierpienie:

- Tk, tk... To wielka strata dla państwa. Takie paskudztwo!

To jak szarańcza, pan wie? Plaga! Plaga egipska - kiwał głową ze szczerym ubolewaniem.

Leszek opuścił biuro Szapiry po upływie pół godziny.

Umówili się, że kupiec w najbliższych dniach odwiedzi leśnictwo i razem rozpatrzą poszczególne partie drzewostanu przeznaczone do wycięcia, a objęte najtańszą kategorią,

przewidzianą dla drzew zarażonych kornikiem. - Szapiro zęgnął Leszka uniżonym ukłonem. O zapłacie rachunku za towar dostarczony dla Flora nie było już więcej mowy.

Leszek wymijał rzadkich przechodniów, bardzo zadowolony z siebie i rozpoczynającego się dnia. Myślał przy tym o kupcu drzewnym: „Tacy, jak on, w swej bezgranicznej uniżoności względem każdej osoby, od której spodziewają się korzyści, ukrywają na pewno pod tym ogromne poczucie własnej wyższości. Trzeba być jednak bardzo głupim, żeby się stać do tego stopnia zarozumiałym! Bo to jest zarozumiałstwo. A przecież taki facet nic nie wie i nic nie umie poza interesem... Nudne życie takie”. - On sam był wesół. Szedł rażno pod wskazany mu uprzednio adres, gdzie spodziewał się wynająć małe mieszkanie, złożone z dwóch pokoi i kuchni.

Tego dnia wszystko wydawało mu się łatwe i przyjemne. Czuł się jak po ozdrowieniu z ciężkiego przypadku chorobowego.

Uśmiech nie schodził prawie z jego twarzy. Wielu ludzi, wiele razy w swoim życiu przeżywa podobny nastrój, który im naszeptuje od wewnątrz: „Jeszcze wszystko będzie dobrze!”

- Kot przebiegł mu drogę, co przesądni uważają za zły znak, a Leszek uśmiechnął się i do kota, i do przesądu. Chłopczyk pędził chodnikiem, dumny ze swej nowiutkiej hulaj-nogi, i Leszek uśmiechnął się do tej dumy. Baby klóciły się w bramie nie wiedząc o co i Leszek znów się uśmiechnął z pobłażliwości dla przedmiotu ich kłótni. Wbiegł po schodach starej kamieniczki i zadzwonił na pierwszym piętrze. Otworzyła mu siwa kobieta i uśmiechnęła się do siebie. Ona dlatego, że zobaczyła młodzieńca tryskającego pogodą, on do swoich myśli, że ta właśnie staruszka będzie na pewno podobać się Ani.

W siedem dni później pociąg wtoczył się na stację i z sykiem zatrzymał koła. Leszek nie potrzebował długo przebiegać oczyma od okna do okna, albowiem od razu dostrzegł Anię, która wychylała się aż po piersi i machała obydwoma rękami. Gdy się za chwilę całowali na powitanie, wszyscy na peronie poczuli do nich sympatię. Maszynista patrzył z łokciami na osmolonej krawędzi parowozu, het, aż z przodu pociągu; policjant ze swego centralnego miejsca pod zegarem; pasażerowie przelotnie znad walizek; ostukiwacz kół od dołu, spod czapki, na nogi Ani; bufetowa przez okno poczekalni z łapczywym zainteresowaniem, a młoda ciemna blondynka, która jedna z ostatnich wysiadła z wagonu trzeciej klasy, aż przystanąła ze zdumienia. I choć uśmiechnęła się również, bo trudno się było od tego powstrzymać, poszła później tak zamyślona, że kontroler w przejściu zmuszony był za nią zawołać:

- E! Panienska, a gdzie bilet?!

- Ach - ocknęła się. Postawiła na ziemi pakunek, otworzyła ręczną torebkę i szukając w niej z roztargnieniem, jeszcze raz spojrzała na tamtą parę. Ale oni szli już ku przejściu, niosąc rzeczy. Ciemna blondynka, nie oddawszy jeszcze biletu, cofnęła się o krok, dając im drogę. Jednym, fachowym rzutem oczu z góry w dół, błyskawicznie zlustrowała Anię: kolor jej

włosów, twarz, piersi, brzuch, uda, wymiętą w drodze spódniczkę, nogi aż do zakurzonych pantofli i wiedziała już o niej wszystko, co potrzeba; następnie wbiła wzrok w twarz Leszka, ale on, idąc za Anią, z rękami obciążonymi walizkami, pochłonięty był całkowicie jej widokiem i powtarzał coś, co musiało ich oboje szalenie obchodzić:

- ...Nie, nie, kredens mamy tylko w kuchni, ale zobaczysz sama, że...

Gdy minęli, bileter sprawdził dopiero, z większą uwagą niż u innych, bilet pasażerki, która zapomniała go oddać, jakby spodziewał się jakowejś niedokładności, ale że okazał się właściwym, więc tylko obojętnie kiwnął głową.

Mieli już za sobą ceremonie ślubne i inne kłopoty pierwszych tygodni wspólnego pożycia, gdy Leszek postanowił wreszcie, z ciężkim sercem, wyznać Ani to najważniejsze z jego przeszłości, o czym dotychczas nie wiedziała. Palił nerwowo jednego papierosa za drugim. Ania, stojąc przed oknem z ręcznym lusterkiem, różowiła sobie wargi, gdyż namawiała właśnie Leszka, aby pójść do kawiarni i mówiła:

- Dlaczego, kochany, jesteś taki nierówny? Raz wesoły jak korniczek... - wygięła usta, malując je kredką.

- Akurat korniki bywają wesołe!

- ...a raz popadasz w jakąś depresję. I to bez żadnej przyczyny.

Leszek zapalił nowego papierosa.

- Powiem ci. Kiedyś siedziałem na kanapie, ot jak teraz, bardzo dawno i poczułem jakby ktoś wąż mego życia przeciął nożyczkami... A wiesz, co się dzieje z nitką raptownie przeciętą: cała się nagle skręca w nierówne spirale. Może by nie było ze mnie nic lepszego, ja tego nie twierdzę, ale powtarzam, że mi się tak zdaje, że wojna przecięła wąż i ja wyszedłem z niej trochę skręcony... Z tej kanapy wówczas, poszedłem wprost do koszar... Ale właściwie nie o tym chciałem mówić...

- Nie narzekaj, nie narzekaj. Gdyby się wszystko tak nie stało, jak było, nie byłibyśmy dziś razem! O.

- Ty żartujesz, a ja chciałem...

- Wcale nie żartuję! To jest jeden łańcuch. Ty mówisz o przecięciu, a ja, odwrotnie, powiem, że gdybyś przeszłość skrócił o jedno tylko ogniwo, już by koniec był inny. A koniec jest szczęśliwy, bo my jesteśmy razem. Proste? Jasne?

- Więc sądzisz, że skoro stan obecny jest wynikiem łańcucha przyczynowego, cała przeszłość, złe i dobre, każdy szczegół, wszystko, wszystko absolutnie składa się na ostateczny wynik? Czy tylko niektóre przyczyny, a inne były jedynie obciążeniem?

- To za mądre.

- Ale to bardzo ważne. Sama powiedziałaś przed chwilą, że...

- No, myślę, że chyba tak.

- Więc jeżeli człowiek jest szczęśliwy, powiedzmy z jakąś kobietą, to on i ta kobieta zawdzięczają swoje szczęście obecne też tym wszystkim kobietom, które ten człowiek posiadał przedtem?

- A tyś miał ich dużo? - Ania schowała kredkę.

- Niedużo.

- No, to nie mamy się czym martwić.

Leszek roześmiał się szczerze. - Ja też nie martwię się z tego powodu, tylko chciałem ci powiedzieć...

Ania przerwała mu:

- Ja wiem jedno. Nie ma sensu wzdychać, że życie jest „ta kie” albo „owakie”. Bo życie - to jesteśmy my sami. Dlatego nie możemy na nie spojrzeć z boku. A „jakie” ono jest, mógłby ocenić tylko ktoś, kto by na nie patrzył ze strony, z zewnątrz, powiedzmy z innej planety...

- Bardzo to głębokie, co mówisz, ale coś płaczesz.

- Nic nie płaczę, tylko powtarzam, co kiedyś słyszałam, i co mnie bardzo przekonało.

- Nie wolałabyś mieć innego życia niż masz?

- Wcale!

Leszek wyciągnął rękę do popielniczki i długo, z namasz czeniem gasił papierosa.

- No, więc cóż robić; chodźmy już do tej nieszczęsnej kawiarni...

183

W miasteczku było ich tylko dwie, a w niedzielne wieczory można tam było spotkać dosłownie wszystkich, kogo się chciało lub kogo właśnie nie chciało. Leszek wolał więc nigdzie nie chodzić. Ania namawiała go do pójścia po raz pierwszy.

- Jeżeli tak bardzo już nie chcesz... - dodała pojednawczo, ale jednocześnie zabrała się do pudrowania twarzy.

Leszek istotnie nie chciał bardzo. Ale w tej chwili, gdy znów zrezygnował ze swej spowiedzi, która mu przychodziła z takim trudem, cóż robić w małym pokoju, gdy zapada jesienny zmrok na ulicach i nie ma właśnie nic do roboty?! A było to w okresie, gdy następował normalny przyływ nocy. Zupełnie jak przyływ morza: każda następna fala jest nieco dłuższa, zagarnia o centymetr więcej plaży, odchodzi, ale po to, by następna zalała znowu dalej, i krawędź ziemi wciąż maleje. Tak płyną i rosną w jesieni noce, które z rankiem cofają się po to, by z wieczora zagarnąć więcej minut i więcej minut, a dni październikowe się kurczą, a w listopadzie będą jeszcze mniejsze i mniejsze, aż do czasu gdy się rozpocznie odpływ. Długo czekać!

Poszli więc do kawiarni w niedzielę wieczór i było nawet bardzo przyjemnie. Nie tylko Ania, ale i Leszek zadowolony był z tej małej rozrywki, jakkolwiek stanowiła ona wyłom w jego pierwotnym postanowieniu: przevegetować w zupełnej izolacji tych kilka miesięcy, aż do upragnionego przeniesienia na inne stanowisko. Gdyby to nie nastąpiło dość szybko, wczesną wiosną przenieść się znów do lasu a już do następnej jesieni (niech będzie co chce!), ale w żadnym wypadku nie wracać do

miasteczka.

Szczęśliwie udało mu się bez większych komplikacji dostarczyć Florowi, czego chciał, i to stanowiło wielkie odprężenie po wstrząsie, którego był doznał podczas jego wizyty. Tym bardziej pragnął teraz uniknąć innych spotkań w miasteczku. Od rana pracował zazwyczaj w urzędzie, z którego nie wychodził jak tylko na obiad do domu; albo też od razu wyjeżdżał do lasu, a że droga była daleka, więc wracał późno i nikt prawie nie widywał go na ulicach.

Tak było z końcem lata i tak w początku jesieni.

I W październiku stało się wiadome, że Ania zaszła w ciążę. Pierwszym odruchem Leszka było poczucie niejasnej ulgi. Teraz bowiem postanowił odłożyć ciężącą mu konieczność wyznania aż do rozwiązania. Pochłonięty swoimi sprawami, nie dość dokładnie uświadamiał sobie, że każdy dzień Ani jest również wypełniony jej sprawami, a te wiążą ją coraz bardziej z otaczającym miasteczkiem. Sklepy, rynek, trzy kina, owe dwie kawiarnie, kilka urzędów... Nie było tego dużo. Dwie cerkwie, kościół, szpital miejski i rzeźnia miejska, zakład ogrodniczy, biblioteka miejska... Może chyba dwa domy publiczne mogły ująć jej uwagi, ale poza tym wszystko co ważniejsze знаła już na pamięć. W każdej chwili mogła się zetknąć z różnymi ludźmi w trybie normalnych, miasteczkowych stosunków, nie mówiąc już o jakimś przypadku.

A taki przypadek niedługo kazał na siebie czekać.

Pewnego wieczoru Leszek powróciwszy z lasu dziwił się, że na umówiony dzwonek otworzyła mu drzwi nie Ania, ale stara gospodyni. Zobaczył, że ma oczy wystraszone i, tknięty złym przeczuciem, minął ją w korytarzu i wpadł do pokoju. Zastał Anię w łóżku, bardzo bladą, ale siedzącą w oparciu o stos poduszek i rozpromienioną. Miało to znaczyć, że najgorsze już minęło i znowu jest dobrze.

- Pani sama ciągnęła szafę... - bezradnie rozkładając ręce, wyjaśniła gospodyni, stając w progu pokoju.

Leszek, który ukląkł przy łóżku, chwytając żonę za dłoń leżącą na kołdrze, mimo woli odwrócił twarz i skonstatował, że szafa stała istotnie w innym miejscu.

- Co ci się stało?!... - wyszeptał ze strachem, wpatrując się w Anię. Z relacji obu kobiet dowiedział się rzeczy następujących: podczas przesuwania szafy Ani zrobiło się słabo i zemdląła („po raz pierwszy w życiu”, powiedziała unosząc palec), a gospodyni („na szczęście byłam w kuchni”) pobięła zaraz po doktora Dawidowskiego.

- Kogo? - spytał Leszek, odwracając twarz tym razem w kierunku drzwi, gdzie stała gospodyni.

- Dawidowski, to liczy się najlepszy doktor w mieście - objaśniła - no i niedaleko mieszka.

- Ach, taaak?... - przeciągnął, jakby się dziwił.

185

- Ty go znasz? - wtrąciła Ania.

- No, i co powiedział?!

Gospodyni chciała mówić dalej, ale Ania była pierwsza:

- Przyszedł z żoną, ty wiesz!
- Dlaczego z żoną?! - Leszek wstał z kolan i siadł na brzeżku łóżka.

Tym razem gospodyni ubiegła Anię i rzecz całą wyłożyła dokładnie: doktor Dawidowski („choć mówią, że to dziwak”) jest bardzo dobrym lekarzem do wszystkiego. Ale kilka lat temu ożenił się, a jego żona jest akuszerką i w sprawach kobiecych jeszcze lepsza specjalistka od męża. Ale nie ma patentu doktorskiego. Więc doktor Dawidowski w różnych takich wypadkach przychodzi z nią razem, a później, to już jej zostawia leczenie, bo na...

- Ale co powiedzieli?!

Okazało się, że stwierdzili jakieś komplikacje kobiece, rzekomo nieznaczne, i Ania ma dziś przeleżeć, a jutro może wstać i pójść do pani Dawidowskiej na konsultację. Podobno przez pewien czas będzie to wymagało systematycznych zabiegów, jakichś masaży i...

- Ach, Boże - westchnął Leszek ni to z ulgą, ni to z troską w głosie.

- Ale ja się czuję doskonale. Ty się nie martw.

- Nie martwię się, nie. - Przeszedł się po pokoju i stanął przed szafą, która była przyczyną zła.

- Zrobić herbaty? - spytała gospodyni.

Ania dała jej szereg poleceń.

- Po coś właściwie przestawiała tę nieszczęsną szafę?

- zapytał.

- Czyż tak pokój nie wygląda szerzej? - Ania wychyliła się z łóżka, czyniąc odpowiedni gest ręką.

Leszek odszedł w drugi koniec i przechylił z lekka głowę dla uzyskania lepszej perspektywy. Pokój był skromnie umeblowany, ale zawsze utrzymany bardzo czysto. Malowane deski podłogi Ania froterowała; pośrodku leżał samodziślowy dywanik. Na ukos od drzwi wejściowych, koło okna pod ścianą, stała staromodna sofka; łącznie ze staromodnym stolikiem i takimiż krzesłami ta część pokoju stanowiła ich reprezentacyjny 186

kącik, który zastępował rodzaj salonu. Nad sofką przybity był barwny kilim, a na nim, na krzyż z pochwą, umieszczona błyszcząca szabla Leszka, którą nabył swojego czasu dla parady, a która nigdy na wojnie z nim nie była. Ale duża szafa do ubrań stała poprzednio w ten sposób, że zasłaniała co nieco ten widok od drzwi. Teraz Ania przesunęła ją właśnie w inny koniec pokoju. Leszek, przygryzając paznokcie w zamyśleniu, potwierdził:

- Owszem, tak jest lepiej. Ale w ogóle ciasno tu. Ech, gdybyż to można było już raz stąd wyjechać!

- A mnie wcale o to tak bardzo nie chodzi. Ty wiesz, że ja nawet polubiłam to miasteczko. No, czego od niego chcesz? Zwyczajne sobie, małe, pogodne miasteczko. Tylko że my cały dzień jesteśmy rozłączeni, bo ty musisz ciągle jeździć do tego swojego lasu.

Leszek przysunął stół do jej łóżka, aby mogli razem pić

herbatę.

- Las to jeszcze jedyna ucieczka - powiedział.

- Ucieczka od twojej ukochanej żony? - spytała z żartobliwą, przekorną pewnością siebie, która nie wymaga repliki.

187

Odpowiedzi na podanie o przeniesienie wciąż nie było.

Tymczasem las, który stał do niedawna w różnobarwnych liściach, przeplatanych ciemną zielenią igieł, który pachniał nade wszystko grzybami, przeistoczył się w nieskończoną jednostajność gołych gałęzi, a pachniał przeważnie deszczem. Pod świerkami trwał wieczny zmierzch. Ostatnie nadzieje wykrzyczane do nieba przez odlatujące żurawie, przebrzmiały już dawno; samo niebo odgrodziło się płynnymi chmurami. Były to chmury dnia powszedniego, niegroźne i niewysokie, po prostu szary tłum ciągnący na rozkaz; bezwolne, niekształtne, nieprędkie, pozbawione indywidualności, jak każda wielka masa. Od takiego widoku schły i żółkły nie koszone trawy na błotach.

Mimo jednak tej pozornej rezygnacji, w lesie panował wyraźny niepokój. Wyciągnęły już ptaki przelotne, ale i te, które pozostały, zmieniały wciąż miejsca pobytu, zrywały się raptem z wierzchołków, leciały dokądś, pokrzykując; szukał też i węszył zwierz na ziemi. Nawet człowieka, który jest ociążały z urodzenia, ciągnęło często bez celu, a gdy mu drogę przecięło trzęsawisko, stawał, ale słał dalej wzrok swój i myśli w takie krainy, których nie zna i nie pozna zapewne nigdy. Można by powiedzieć, iż podobne porywy zdarzają się również w innych

188

porach roku, i niewątpliwie powiedzieć słusznie. Ale jesienią różnią się od tamtych najbardziej tym, że wypowiedzieć się właśnie nie dadzą.

O godzinie czwartej po południu zbliżał się zmierzch.

Leszek zdecydował: „Ażeby nie zabłądzić po ciemku, spojrzę tylko i zaraz wracam”. Wstąpił na pagórek zrzytyborsuczymi norami, powiódł wzrokiem po Białym Błocie, które leżało teraz brudno-żółte, błędząc oczyma, odwrócił się i nagle syknął:

- Ach, sukinsyn!... - Piękne, masztowe sosny, których kiedyś pożałował, były ścięte. Pozwolił Szapirze wyciąć kilka drzew w tej części lasu, oczywiście patrząc przez palce na ich rzekome zarażenie kornikiem. - Ale nie te, nie te!...

Zaczął padać deszcz. W szarudze, która nastąpiła, a później w ciemności, Leszek z trudem zaledwie odszukiwał drogę. Ogołocony las do tego stopnia zmienił swój wygląd, iż czasem niepodobna było się zorientować wśród najbardziej znanych miejsc. Powrócił do domu bardzo późno, przemoknięty i zabłocony. Wieczór był zimny. Przemarzał.

- Kładź się! Dam ci czegoś gorącego napić się w łóżku.

Ania zawsze z utęsknieniem oczekiwała męża, a później podawała kolację, podczas której, rozpytawszy pobieżnie o jego pracę, zaczynała mu opowiadać własne wrażenia

z przeżytego dnia. Teraz zadowolona nawet była, że będzie leżał, a więc w większym skupieniu wysłucha jej opowiadań.

Deszcz, pędzony północnym wiatrem, uderzył silniej w szybę. Ania, która się niezbyt zmartwiła losem ściętych sosen, a przeszła nad nimi do swoich relacji, odwróciła się do okna:

- Mój ty biedny! I ty musiałeś w taką pogodę...

- Mniejsza z nią - przerwał. - Coś zaczęła opowiadać o Dawidowskiej?

- Aha... Więc właśnie. Ona twierdzi, że jestem chyba najlepiej zbudowaną kobietą, jaką dotychczas widziała. Słyszysz?!

- To znaczy, prawi ci komplementy.

- Komplementy! Nie sądzisz, że to jest prawda?

- Sądzę. Ale co mówi o twoim zdrowiu?

- Poczekaj!... Ty wiesz, jaka ona jest?

189

taka bardzo nawet

No, nie prezencję, a

- Przecież nigdy jej nie widziałem, a...

- Poczekaj!... Otóż ona jest sobie

pospolita, ale jednocześnie ma w sobie...

wiesz, powiedziałabym raczej, takie coś...

- Młoda?

- Czyja wiem... - zamyśliła się.

- Ładna?

- O, nie jest brzydka!

Ania, która chodziła od pewnego czasu na zabiegi regularnie

co drugi dzień, zawsze znalazła coś do powiedzenia o

Dawidowskiej. W tonie tego opowiadania i w towarzyszących

mu gestach odgadnąć było można ten szczególny sposób

wysławiania, w którym człowiek, wstydząc się nieco

raptownego entuzjazmu, jaki zrodził się w nim dla innego człowieka,

usiłuje go hamować, w obawie przesady lub ośmieszenia.

- Jest przede wszystkim postawna i taka... jakby to

powiedzieć... - zrobiła opływowy ruch rękami. - Chciałabym,

żebyś ją poznał, wiesz.

- Po cóż mi akuszerka?!

- Poczekaj, ty żartujesz, ale naprawdę ona jest bardzo

miła.

Leszkowi nagle niewymownie zrobiło się żal Ani. Tej jej

nieporadnej samotności, na jaką ją skazał, i tej doprawdy biednej

rozrywki, jaką w ciągu długich dni znajduje jedynie w

obcowaniu z żoną miasteczkowego lekarza, która jest zaledwie

czymś więcej niż zwykłą akuszerką. Wyciągnął rękę, złapał

żonę za pasek od spódnicy i przyciągnął do siebie.

- Chodź, kochana... Wiesz co? Tak dziś przemarzłem, że

jutro, pod pretekstem przeziębienia, nie pojedę do pracy, a

pójdę z tobą razem oglądać to cudo-lekarkę. Dobrze?

Ania oparła się o niego bokiem, niewygodnie i pod

wpływem jego czulego objęcia, nagle posmutniała i rozrzewniona

zarazem, pochyliła głowę. Odgarnął jej włosy i

spozstrzegł przygasłe spojrzenie, skierowane gdzieś w kąt pokoju.

- Źle się czujesz? - spytał troskliwie.

- Jakoś nie bardzo dobrze. Ale to przejdzie. Ten deszcz...

Obluzowany lufcik postukiwał w ramie okiennej, szarpany wiatrem.

190

- Zobaczysz, jutro pójdziemy razem... Rozpytamy dokładnie, co i jak zrobić, żebyś prędzej powróciła do sił. Jesteś przecie w tym stanie, że to nic dziwnego... A może otrzymam wkrótce już odpowiedź na moje podanie!

- Myślisz?

- I tak, i nie. Ale nadejść w końcu musi.

Niespodziewane okoliczności pokrzyżowały wszakże ten plan.

191

„Kra-kraaa-kraaa! Kra!” - wrony leciały dokądś na żer.

Obudził go ten znajomy krzyk. Chmury szły szybko, wymijając jedna drugą, jakby się śpieszyły do celu. Lufcik postukiwał tak samo jak wczoraj.

- Gawrony - powiedziała Ania, zawiązując szlafrok i wyglądając oknem. - Straszne błoto na ulicy.

Na ogół było szaro. W kuchni szumiał nastawiony już przez gospodynię samowar.

- To nie gawrony - odpowiedział Leszek, zapalając papierosa i puszczając dym w sufit. - Gawrony już odleciały.

Myślały, myślały aż wreszcie odleciały; ostatecznie! Tłumaczyłem ci kiedyś różnicę, nie? Te, co lecą, to po prostu wrony.

Żona leśniczego winna znać się na gatunkach ptaków.

- Ale kraczą tak samo.

- Podobnie. Nie mają jednak białych dziobów.

Ania ziewnęła.

- Bardzo smutne jest to krakanie.

Ledwo zasiedli do śniadania, gdy u drzwi wejściowych dał się słyszeć dzwonek. Leszek poszedł otworzyć i wrócił podniecony: otrzymał zawiadomienie, aby nie zwlekając stawiał się w biurze dyrekcji leśnej.

192

Spojrzeni po sobie przejęci tą samą myślą. Wypowiedziała pierwsza Ania;

- Może uwzględnili twoje podanie?

- Może... - ale już się poddał nastrojowi optymizmu.

- Prędzej buty! Gdzie moje buty?! - Biegał w pantoflach nocnych. - Och, nie czyszczone od wczoraj! Siekierą chyba wypadnie obłupywać błoto!

Każde z nich porwało jeden z długich butów i zaczęli je czyścić zapamiętale. Na stole stygła w szklankach nie dopita herbata.

Nadleśniczy przyjął Leszka zimno i nie podając ręki, powiedział tylko:

- Chwileczkę. Proszę niech pan siada. Zawiadomię dyrektora. - Wyszedł, zagryzając papierosa w kącikach ust.

Leszek nieprzyjemnie tknięty tym przyjęciem, usiadł mimo woli jak petent, zestawiając nogi i ręce złożył na kolanach. O tym, że nadleśniczy go nie lubi, zresztą bez widocznego powodu, wiedział już dawno. Nigdy jednak nie spotkał się dotychczas z tak chłodnym z jego strony zachowaniem. Zanim jednak zdążył zebrać myśli, już zawezwano go do gabinetu głównego szefa. Wstał i poszedł krokiem sprężystym, którego się nauczył w wojsku. W progu zestawiał obcasy też prawie po wojskowemu i z lekka pochylił głowę w ukłonie.

Starszy pan o wydłużonej czaszce, pokrytej siwiejącym włosem strzyżonym na jeża, o inteligentnych, jasnych oczach człowieka zrównoważonego duchowo, milcząc wskazał fotel naprzeciw biurka. - „To na pewno nie sprawa podania, to coś złego...” pomyślał Leszek siadając i usłyszał dobrze mu znany, spokojny głos:

- Proszę pana, co to za szaleństwa w pańskim leśnictwie wyprawia pan... zaraz... - poszukał w papierkach na biurku - pan Zuseł Szapiro? - Z naciskiem wymówił to nazwisko, jednocześnie oparł głowę na lewym ręku, wpatrując się w Leszka, a w prawą ujął ołówek i stukał nim cicho po bibule. Nie czekał odpowiedzi: - Tu mam przed sobą bardzo nieprzyjemne papiery i doniesienia. - Teraz położył ołówek i zabębnił palcami. - To jest bardzo przykra sprawa. Dla nas, no i

193
przede wszystkim dla pana. Słyszałem, że pod nóż poszły nawet masztowe sosny za cenę drewna schorzałego kornikiem.
- Pauza.

Leszek wytrzymał ją z zimną krwią, a potem w poprzedniej postawie z nogami zsuniętymi i rękami na kolanach, czując, że niestety błędnie, wyrecytował służbową formułę, że w trybie walki z kornikiem pozwolił kupcowi leśnemu wycinać, oczywiście pod ścisłym nadzorem, drzewa wyłącznie chore. Sam tego dopilnowywał. Ale skoro pan dyrektor twierdzi, że...

Więc natychmiast sprawdzi i przeprowadzi śledztwo...

Szef patrzył na niego przenikliwie, ale w wyrazie jego jasnych oczu nie było wrogości ani podstępów. Przerwał:

- Tak. Nno, dobrze. W każdym razie zaszły bardzo poważne nadużycia. Powiedzmy, niedopatrzona ze strony pana.

W zasadzie konsekwencje musiałyby być surowe. Biorąc jednak pod uwagę pana młody wiek, niedoświadczenie praktyczne, no i... - wymówił to ze szczególnym naciskiem - pana chwalebna przeszłość, odznaczenia bojowe i tak dalej, postaramy się przejść nad całą aferą do porządku dziennego. Ja się postaram w każdym razie. I mam nadzieję, że mi się to uda.

Leśniczy, wciąż nie zmieniając pozycji, siedział milcząc.

Uważał, iż wobec tak przyjaznego postawienia sprawy dalsze bronienie się wykrętami mogłoby jedynie jej zaszkodzić.

Dyrektor nie należał do gatunku najbardziej rozpowszechnionych szefów, którzy lubują się w zastraszaniu i miażdżeniu swych podwładnych, zanim okażą łaskę, aby ją tym bardziej uczynić cenną. Dyrektor był człowiekiem życzliwym i najwidoczniej takim, którego się określa mianem: „ludzki”.

Odsunął leżące przed nim papiery.

- A więc krótko: ani pan... Zuseł Szapiro, ani żaden inny kupiec leśny nie będzie miał od dziś, od dziś, rozumie pan, wstępu do pańskiego leśnictwa, zresztą do innych leśnictw też, bez wiedzy i aprobaty wydziału handlowego. Sprawy te będą załatwiane na innym szczeblu. - Znowu zmierzył wzrokiem Leszka, który pośpieszył posłusznie skinąć głową. - Dwa: walkę z kornikiem, drogą usuwania zarażonych drzewostanów, prowadzić będziemy we własnym zakresie. Czy panu wiadomo, że kornik już zanika? - Spojrzał i nie czekając

194

odpowiedzi: - Dobrze. Teraz trzy: wypróbujemy system stawiania tzw. pułapek, to jest sztucznego osłabiania pojedynczych drzew, celem przyciągania do nich kornika, a później niszczenia go. Odpowiednie przepisy instrukcyjne otrzyma pan wkrótce. To byłoby na razie wszystko...

Leszek nie wstał jednak, gdyż szef potarł teraz ręką czoło, dając do zrozumienia, że chce sobie jeszcze coś przypomnieć.

- Co się zaś tyczy pańskiego podania - podjął głosem mniej urzędowym i tym razem nie patrząc na Leszka, a tylko kręcąc w palcach ołówki - to, niestety, ta afera... to jest, ta cała nieprzyjemna sprawa siłą rzeczy wpływa nieprzychylnie na pańskie personalia. Nie chciałbym zwalniać pana z nieprzychylną opinią. Mam nadzieję, że w krótkim, może najkrótszym, czasie, będę mógł już inne świadectwo panu wystawić. Ale nigdy nie robię nic wbrew swoim osobistym przekonaniom i teraz tego nie zrobię. Powtarzam, iż mam nadzieję, że był to ze strony pana tylko brak doświadczenia... Proszę pracować - iwyciągnął rękę na pożegnanie przez biurko.

Leszek wstał szybko i w pozie bardziej jeszcze służbistej niż poprzednio uściśnął podaną prawicę. Gdy wychodząc brał już za klamkę drzwi, dyrektor odezwał się jeszcze:

- A jak tam żona? Dobrze się ma?

- Dobrze... - odpowiedział Leszek machinalnie i zaciął się.

- Właściwie... nie bardzo dobrze... bo...

- To doskonale - rzucił szef, nie słuchając jego odpowiedzi i sięgając już po telefon.

W kilka minut później do gabinetu wszedł nadleśniczy, ten sam, który Leszka przyjął tak nieprzyjaźnie a któremu on bezpośrednio podlegał służbowo. Wyczekał aż dyrektor skończy wydawać jakieś zlecenie przez telefon, po czym zapytał, czy może się poinformować, na czym stanęła sprawa młodego leśniczego.

- No, cóż z nim robić?... - odparł dobrodusznie starszy pan, machnąwszy lekceważąco ręką.

- Tak jest, panie dyrektorze, ale właściwie to sprawa pachnie kryminałem.

Dyrektor zmarszczył się. Nie lubił przykrych dla ucha słów.

195

- Ja mam tutaj - ciągnął dalej tamten - szczegółowy wykaz...

- Drogi panie kolego - przerwał mu dyrektor - a czy w stosunku do innych panów posiadamy również takie wykazy, jak pan mówi, szczegółowe? Pan wie tak samo dobrze, jak ja, że wielu innych też nie jest bez grzechu... Tylko tamci są bardziej sprytni, a ten tu - żółtodziób.

Poprawił się w fotelu, opierając na poręczach.

- Zgadzam się z panem dyrektorem. Niestety. Ale czy mamy dlatego tolerować nawet jawne...

- Tolerować; nie! W żadnym wypadku. Dlatego też sprawa została przecięta u samego pępka. Koniec z tym. Ale z drugiej strony chłopak dopiero kilka miesięcy pracuje, toby mu zwichnęło całą karierę. Poza tym... trzeba wziąć też pod uwagę, że ostatecznie walczył, i to właśnie o ten skrawek ziemi, na którym my tu z panem, panie kolego, siedzimy dziś w wygodnych fotelach. Dostał nawet szablą po głowie.

Odznaczony wysokim orderem za bohaterstwo. Nie, nie. Mam nadzieję, że będzie pan miał na niego oko i - poprawi się pod pańskim kierownictwem.

Wstał.

- Oby, oby - zgodził się niechętnie nadleśniczy.

- Oczywiście decyzja zależy od pana dyrektora.

- Tak, tak - potwierdził szef z roztargnieniem i rozmowa w sprawie Leszka została skończona.

Tymczasem on sam, gdy opuścił biura zarządu dyrekcji leśnej i znalazł się na chodniku, przystanął i podniósł głowę jakby szukając dla niej ochłody. Po niebie szły chmury wciąż z tego samego, północnego kierunku. Poszedł im naprzeciw, wystawiając twarz na wiatr. Zsunął nawet trochę czapkę do tyłu, aby nie zasłaniała czoła. Na pierwszym zakręcie znowu przystanął i powtórnie wybrał kierunek pod wiatr. W ten sposób złożyło się, że prowadził go nie powzięty zamysł do konkretnego celu, a wyłącznie przypadkowe warunki atmosferyczne. Wąski, drewniany chodniczek się urwał, więc wstąpił na jezdnię i kroczył po obłożonych kamieniami. Najwidoczniej mechanizm tego marszu sprawiał mu niejaką przyjemność, zupełnie tak jakby zasiedziały nogi w zbyt długim

196
bezruchu. Po obu stronach stały małe, przeważnie gontem kryte, domki, odgraniczone od ulicy ślepym parkanem, zza którego wysterczały bezlistne, pogmatwane gałęzie wisien, czasem pojedyncza topola; gdzieś tam między prętami wisiał, zapomniany przez wiatr, szerniały liść. Pies szczeakał, wysunawszy koniec mordy spod wrót wjazdowych. Gdzieś skrzypiały wierzeje i słycać było brzęk wiadra. Dalej drewniany chodniczek zaczynał się od nowa, ułożony w dwie podłużne deski wzdłuż domów. Dźwięknął dzwoneczek, trącony drzwiami sklepiu kolonialnego. Płot się skończył. W oknie zapadłej w ziemię bezbarwnej rudery szewc stuknął młotkiem. Leszek minął kilku przechodniów, którym się nie przyglądał, a w górze słycał wycie drutów telegraficznych na wietrze. Po raz pierwszy od sześciu lat szedł tymi bocznymi zaułkami, już prawie na peryferiach miasteczka. Uliczka nagle

spadała stromo w dół, wprost na mostek, przerzucony przez rów odpływowy. Wiosną lub bardzo mokrej jesieni nabierał on cech płynącego ruczaju i korzystając z tej okoliczności gospodynie sąsiadujących z rowem posesji hodowały kaczki. Kroki Leszka zadudniły po mostku, głuszone nieco przez błoto, które leżało na deskach. Zatrzymał się na chwilę przy barierze, błędząc wzrokiem po zimnej wodzie. W tej chwili wąskim chodnikiem ktoś szedł. Leszek odruchowo zrobił plecami pół obrotu, gdyż nie lubił, by mu zaglądano w twarz, a spostrzegłszy na wodzie kaczkę, udawał, że się jej przygląda. Po krokach poznał, że to była kobieta; gdy się z nim zrównała, nie oglądając się, chciał ruszyć dalej, ale kroki się zatrzymały tuż przy nim. Zanim zdążył wykonać jakiś ruch, poczuł, że ktoś ujął go bardzo delikatnie za palce lewej ręki, którą trzymał opuszczoną. - Od razu już wiedział, kto to jest! Zwarł palce, odwrócił się szybko, zatrzymał jej rękę w swojej i przyglądał się Anastazji z tak szczerym uśmiechem, że i jej twarz pojaśniała, a na policzki wystąpiły rumieńce. Stali tak nieruchomo przez kilka sekund.

- Dziwne - powiedział - jak można się zmienić, nie zmieniając ani trochę!

- Ccco takiego?! - parsknęła śmiechem.

197

Była to ta sama Anastazja, z nieco szeroko rozstawionymi oczami o długich rzęsach, o tym samym zaczepno-kapryśnym wyrazie twarzy, a przecież jednocześnie wyrównanym dojrzałą kobiecością. Naturalnie, że nie wyrosła od tego czasu, bo już była i wtedy dorosłą, ale zdawała się wyższa, zapewne wskutek tego, że trzymała się prosto i pozbyła kanciasto-dziecinnych ruchów ramion. Prawie że nie przytyła, ale cała figura nabrała jakiejś harmonijnej strojności, choć ubrana była skromnie.

- Phi! Piękna z ciebie dziewczyna! - wykrzyknął z beztróskim podziwem.

Anastazja ucieszyła się z komplementu i coś tam prawiała mu nawzajem na temat jego wyglądu i jego eleganckiego munduru urzędniczego, ale w przeciągu tych kilku sekund nie słyszał jej słów. Zasluchany był raczej w odkrycie, które dokonywało się w nim samym. Bo teraz, gdy ją wreszcie spotkał, olśniła go świadomość, że jej to właśnie najbardziej się bał i najbardziej chciał uniknąć! Nie zdawał sobie sprawy, dlaczego i nie zastanawiał się. Nie mówił o niej, nie rozpytywał nikogo nigdy, starał się nie myśleć nawet o niej. Wyrzucił ją tak gruntownie ze swojej pamięci, iż teraz dopiero zrozumiał, że wysiłek tego zapomnienia odczuwał nieomal fizycznie i w ciągu całego czasu nosił w sercu jak zapadły tam kamień. Nie! Nie Flora, nie Heleny, nie doktora Dawidowskiego, nie innych, lecz przede wszystkim obawiał się: stanąć przed obliczem Anastazji! Bez sprecyzowanej ku temu przyczyny, to prawda, ale tak było. A teraz stoi, trzymając za rękę i szczerze się cieszy. Cieszy się podwójnie, bo z jej widoku się cieszy i z tego się cieszy, że oto przysła trapiąca go nieświadomie zmora, a na jej miejscu wyrosła postać młodej i ładnej kobiety, która się do niego

uśmiecha. I zamiast zatroskać się jeszcze bardziej tym spotkaniem, którego za wszelką cenę pragnął dotychczas uniknąć, zapomniał o przykrościach, jakie go spotkały przed chwilą w dyrekcji leśnej!...

Z Florem było mu trudno przejść na „ty”, z Anastazją rozmawiał, jakby się rozstali wczoraj.

- Ile ty właściwie masz lat?

- Właśnie! Nie mam nic lepszego do opowiadania!

- No to opowiadaj lepsze rzeczy.

198

- Ładną masz żonkę.

- A ty gdzie ją widziałeś? - i dodał z rezygnacją, jakby mówił sam do siebie: - Ach, wszyscy już ją widzieli.

- No, widziałam przede wszystkim jak całowaliście się na stacji. Pociąg stoi, ludzie się zebrali, a oni objęli się jak w kinie!

- Co ty powiesz! - roześmiał się wesoło.

Poszli ulicą, wspinając się powoli pod górę.

- Dokąd idziesz?

- A ty?

- Chodź, zajdź do mnie - powiedziała.

- A daleko mieszkasz? - spytał z pewnym wahaniem.

- Tu zaraz. Na lewo. W dużym domu. Mam pokój zupełnie osobny.

Leszek spojrzął na zegarek. Było jeszcze wcześniej.

199

Anastazja chwyciła z kanapy biustonosz i wrzuciła go do szafy.

- Siadaj tu. Może czymś poczęstować?

Leszek rozejrzał się po pokoju. Był biednie umeblowany.

Nieduże okno wychodziło na ulicę, a że mieściło się na trzecim piętrze, więc rozpościerał się z niego widok na dachy przeciwległych domów.

- Za mąż nie wyszłaś?

- Ja? - wyprostowując się, machinalnie przeciągnęła dłońmi po brzuchu w dół, jakby dla podkreślenia jego spadzistości. - Nie. To ktoś inny pośpieszył się przede mną...

Leszek, sądząc, iż jest to aluzja do jego małżeństwa, udał, że nie zrozumiał, i rzucił żartobliwie:

- Kto taki?

- No: Hela.

- Jak to? Hela?! Helena?!... - oparł się w zdumieniu o poręcz, przechylił ku przodowi i zamarł w tej pozycji.

- Hela, no. To nie wiedziałeś? - równie zdumiona odpowiedziała Anastazja. - Przecież twoja żona lata do niej codziennie!

Leszek siadł i oparł łokcie o stół.

- Co ty gadasz?...

200

- No, jakże mogłeś nie wiedzieć! Przecież to teraz pani Dawidowska. Pani doktorowa. Przecież...

- Ja z nikim się nie widuję... Nikogo tu nie znam...

- wpatrzył się nieruchomo w biały fartuch, który wisiał na

gwoździu wbitym w bok szafy. - Ale jak to mogło się stać?...

- Oderwał wzrok od fartucha i przeniósł na Anastazję. - Przecież ona lesbijka! - wykrzyknął.

Anastazja zaróżowiła się z lekka, złożyła wargi do ironicznego grymasu i kiwnąwszy głową, zakrzętała się w pokoju.

- Już dzieci to oni nie będą mieli ze sobą. O to możesz być spokojny.

- Ale żeby właśnie z doktorem... - Leszek nie mógł wciąż wyjść z podziwu.

- To, widzisz, stało się dla interesu.

- Dla jakiego interesu? - i nie czekając odpowiedzi, zapytał: No, a jakże twoje z nią stosunki... Przyjaźń? - poprawił się.

- At, ani siak, ani tak. Co ma być - odparła wymijająco i spoważniała. Można było odgadnąć z jej głosu, iż nie traktuje tego tematu za właściwy dla powierzchownej plotki. W tym też sensie dodała:

- Ale ty nie krzycz tak zaraz: lesbijka! Przecież wiesz, to mogłoby jej zaszkodzić... Nikt znowuż tak bardzo o tym nie wie. Rozumiesz.

- Ja nie krzyczę - odparł pokornie Leszek, mimo woli zniżając głos.

Ona przysiadła, w fałdach spódnicy na podłodze, przed małą szafeczką, z której wydostawała szklanki, przecierając je czystą ścierką.

- Oho, Hela teraz wielka dama. Na przyjęciach bywa, a jakże. W teatrze, gdy przyjeżdża na występy, to w drugim rzędzie siedzi.

- Ale jak to się wszystko stało? Opowiedz od początku.

Anastazja opowiedziała od początku. Zaczęła nawet od tego, jak jego, Leszka, przyniesiono ciężko rannego do szpitala i zaraz wyjaśniła, że jej wówczas nie było...

- A gdzie ty była? - przerwał.

201

- Po kwiatki chodziłam - wydeła wargi, robiąc nacisk na słowo: „kwiatki”.

- No, no! Opowiadaj dalej!

A więc jego wywieziono, wciąż nieprzytomnego, a niedługo potem skończyły się już te wszystkie wojny i zaczął się jaki taki porządek robić. Hela była przecież zdolną felczerką i miała dużo praktyki pod kierownictwem doktora Dawidowa, który z kolei nazywał się znowu Dawidowskim.

-No i?...

Zawsze razem pracowali i żyli się w tej pracy. Gdy szpital postanowiono rozszerzyć i przywrócić oddział kobiecy, a głównie położniczy, doktor namówił Helenę, aby skończyła kursy położniczo-akuszerskie. Bo on nie był w tej dziedzinie specjalistą, a chciał mieć wszystko w ręku. Zrobił więc spółkę z Heleną. Swoim autorytetem lekarskim pokrywał jej robotę, no a w chirurgicznych wypadkach sam naturalnie operował. Ona okazała się w końcu świetną specjalistką, tylko nie posiada dyplomu lekarskiego. Umie jednak na pewno więcej od

niejednego ginekologa... Tymczasem nie wiadomo skąd ktoś tam puścił jakąś plotkę na jej temat... Wiesz?

Leszek kiwnął potakująco głową.

- No więc, żeby przeciąć od razu takie plotki na przyszłość, doktor z nią się ożenił. Razem zarabiają duże pieniądze. On jest w dalszym ciągu ordynatorem szpitala, a ona kieruje wydziałem położniczym i chorób kobiecych. Poza tym mają dużą praktykę prywatną. A ty nic nie wiedziałeś?

- Nic. Zupełnie. No dobrze, ale jakże on...

- Ach - Anastazja machnęła lekceważąco ręką. - Nie znasz Dawidowskiego! Przecież to człowiek i nie-człowiek. — Wzruszyła ramionami. - Nikt nie wie, co to za człowiek. Dziwny był i został taki sam. Jemu tam nie w głowie takie rzeczy...

- dorzuciła z figlarnym uśmiechem: - Jak tobie!...

Leszkowi stanęły nagle w oczach wielkie, fantazyjnie pokręcone, grube trzewiki doktora Dawidowskiego. Nosy tych trzewików nigdy nie dotykały ziemi, były zawsze zadarte do góry jak przód barki.

- A ty co robisz? - zapytał.

- A ja zostałam w tym samym szpitalu, tylko teraz na stanowisku zarządzającej gospodarstwem - znowu wydeła wargi, symulując pychę.

- Śmieszne - powiedział, wpadając w zadumę.

- Śmieszne, mówisz? - oparła się o stół i przechyliła, zaglądając mu wesoło w twarz tak blisko, jakby chciała go pocałować, ale w ostatniej chwili cofnęła głowę.

-A... powiedz mi... Flor? - spytał ostrożnie.

- Prawda! Zapomniałam ci powiedzieć. W tym samym czasie, co ciebie, przywieziono z puszczy do szpitala jego tam jakąś kochankę; Luba. Ktoś ją ranił w rękę...

Leszek drgnął i szybko ukradkiem spojrzął na nią spod oka, ale Anastazja ciągnęła dalej w tonie zwykłego opowiadania:

- Długo bardzo się leczyła. A jak wydobrzała to, choć jej ręka została jakaś krzywa, on się z nią ożenił.

- Po co on się z nią żenił? Tak sobie, ze starej miłości? Przecież, pamiętam, za moich czasów oczu nie mógł oderwać od Heli.

- No bo on też taki drugi, jak doktor!... Fantasta! Nie znasz? Cóż Hela, ona ma wstręt do mężczyzn - powiedziała poważnie, kładąc przed Leszkiem pudełko zapalek, bo zauważyła, że z papierosem w ustach obszukuje kieszenie.

- Jemu nic z Heli. Pewnego razu raptem powiedział: „To moja wina, że Luba tu leży”. Wziął i ożenił się z nią.

- Dlaczego jego wina? - spytał cicho Leszek i, trąc o pudełko, złamał zapalną.

- Co? Dlaczego?... Ja wiem! - wzruszyła ramionami.

- Zapytaj jego. No, znałeś przecie: fantastę taki.

- I co było dalej?

- A dalej to, że jak ja zaczęłam robić ogródek, on się zapalił nagle, pożyczył później pieniądze od Heli i założył sobie zakład ogrodniczy. Spalił się zresztą niedawno i już zdążył

odbudować prawie. Ma chyba pieniądze, bo dobrze mu szło.

Może znowu od Heli pożyczył. Jego też nie spotkałeś?

- Spotkałem.

- A Lube jego widziałeś?

- Nie.

203

Rozmawiali dalej jak starzy, dobrzy przyjaciele i Leszek rozpytywał o jej rodziców.

- Papę zabił w tartaku kloc. A mama umarła na zapalenie płuc. Masz więc: sierota jestem! - zaśmiała się sztucznie.

Ale Leszek poważnie okazał jej współczucie.

- Papy nie żałuję - powiedziała. - A mamy - tak. Żałuję

- nawet bardzo. A twój ojciec nie żyje, zdaje się, mówiłeś kiedyś.

- O, tak. Od dawna już.

- A mama?

- Żyje.

- No, to szczęśliwy jesteś.

- Taaak... - przeciągnął Leszek.

- No, ale teraz opowiedz z kolei ty wszystko: Jak to było z tobą? Przede wszystkim, dlaczegoś...

On wstał raptownie i spojrzał na zegarek:

- Ojej! Późno już. Muszę iść.

- Masz sobie! A ja miałam herbaty zrobić - wskazała ręką na przygotowane szklanki.

- Następnym razem... - Podał rękę na pożegnanie, wziął czapkę. - Więc... - podjął, ociągając się - mówisz, że Helena... ma teraz dużą praktykę?... - wstydlive zakłopotanie, które odbiło się na jego twarzy, zdradziło kierunek jego utajonych myśli. Anastazja odgadła je:

- Ach, ty o tym... O, bądź spokojny. To jest bardzo uczciwa kobieta. Ona nie robi świństwa. Nigdy! W stosunku do chorej nigdy w świecie!

Gdy schodził już, Anastazja przechyliła się przez poręcz klatki schodowej i zawołała w dół:

- Leszek!

-Co?!

- Czy się zobaczymy jeszcze?!

- Naturalnie! - odrzyknął, nie ustalając żadnego terminu.

Dopiero na ulicy zdał sobie sprawę, że Anastazja ani jednym słowem nie wytknęła mu, że w ciągu tak długiego pobytu w miasteczku nie starał się jej zobaczyć, a najoczywiściej unikał spotkania. - „Piękna dziewczyna!” - pomyślał.

W domu Ania, która oczekiwała dobrej nowiny, otworzyła przed nim drzwi na oścież i zamasyście, jak to sobie ułożyła

204

zawczasu, dla okazania, że: oto wpuszcza tryumfatora! Żart się nie udał. Leszek miał twarz posepną. Siadł na sofce pod rozwieszoną na kilimie szablą, rzucił czapkę na stół i rozpiął kurtkę, bo mu było gorąco.

- Widzę, że źle - Ania zabrała ze stołu czapkę i powiesiła ją na wieszaku.

-Źle.

- A ja przygotowałam paradny obiad. Więc zostajemy?
Leszek w krótkich słowach opowiedział jej o przykrości, jaka go spotkała w dyrekcji leśnej, i o tym, że wpłynąć to może na odroczenie sprawy jego przeniesienia. Pewnie, że jest dużo mojej winy - westchnął szczerze.

- I co ci zarzucają?

- Niedopatrzenie.

- Wielka mi rzecz! Każdemu się przecie może zdarzyć.

- Oczywiście, ale...

Ania spojrzała na niego zdziwiona.

- Chodzi o to - podjął - że to jest sprawa wielce drażliwa.

Na takich „niedopatrzeniach” niektórzy robią grube pieniądze, wiesz.

- W jaki sposób?

Wyjaśnił jej, jak to się robi.

- No, ale ty przecież nie zrobiłeś żadnych pieniędzy

- powiedziała.

Leszek zaśmiał się z goryczą:

- Chyba wierzysz, że przed tobą ich bym nie ukrywał... Nie, ja nie zrobiłem i... i... robić w ten sposób nie mam ochoty. Tak, żadnej ochoty - przytwierdził raz jeszcze, jakby chciał siebie w tym przekonaniu umocnić. - Zresztą, gwizdzę na to wszystko. Najważniejsza była tylko sprawa wyjazdu...

Ania, chociaż także zasmucona, przerwała mu umyślnie wesołym tonem:

- A mnie tam wcale tak bardzo na tym wyjeździe nie zależy! Chodź lepiej, zabieramy się do obiadu. O trzeciej muszę iść do Dawidowskiej. - I odwróciła się, nie zauważywszy, że twarz Leszka nagle pociemniała.

205

Siedział, nie ruszając się z miejsca, z wzrokiem utkwionym w podłogę i dopiero po upływie kilku minut, gdy zawołała, aby szedł już do stołu, odezwał się głucho:

- Słuchaj... Ja nie chcę, żebyś więcej chodziła do Dawidowskiej.

Ania stawiała w tej chwili wagę z zupą. Mechanicznie poprawiła jeszcze ceratową podstawkę, a później podeszła do niego i stanęła obok. Nie patrzył na nią. Przez chwilę trwało milczenie. Jej oczy rozszerzone były szczerym zdumieniem.

- Dlaczego?!...

- Nie chcę - mruknął z uporem.

- Ty nie chcesz... Ty nie chcesz, żeby... żebym ja się leczyła?- wyszeptala drżącym głosem.

Wtedy dopiero Leszek podniósł na nią wzrok i od razu strasznie pożałował swoich słów. Ania przybladła i wielkie zmartwienie malowało się na jej twarzy. Zerwał się z miejsca i chciał natychmiast naprawić wyrządzoną jej przykrość. Zmusił się do uśmiechu i zaczął pocieszać ją na różne sposoby słownikiem, jaki między sobą ułożyli w najtkliwszych chwilach. Starał się ją rozśmieszyć i rzecz całą, obrócić w żart. Twierdził, że ułożył sobie tylko taki dowcip, a ona się zaraz zagniewała.

- No, już, no, już - potrząsał nią leciutko za ramiona.
- To nie o to chodzi, nie o to chodzi - odpowiedziała cicho Ania. - Tyś mnie tylko bardzo, bardzo przestraszył.
- Ależ przecie żartowałem!

Ania się udobruchała, ale mu nie uwierzyła.

Podczas obiadu była mowa o tym, że on jej nie zabiera teraz nigdy do lasu, nawet wtedy, gdy jest ładna pogoda, a przecież świeże powietrze mogłoby jej dobrze robić. Obiecał to uczynić w najbliższym czasie. Później zaczął hałaśliwie żartować, że wszystko, co go spotkało dzisiejszego dnia, to jest jej wina, bo go nazywała „korniczkiem”, a tymczasem właśnie kornik spowodził całe nieszczęście! A ona: że przecież wciąż draży jej nerwy, więc nazwa była słuszna. W końcu obiecał, że wróci dziś wieczorem możliwie najwcześniej, i po obiedzie poszedł zaraz do pracy.

206

Wieczorem Ania poczuła się gorzej niż kiedykolwiek przedtem i położyła do łóżka. Nie spała jednak, różne myśli chodziły jej po głowie. Przeważnie smutne. Nie dlatego żeby się czuła bardziej nieszczęśliwa, a po prostu dlatego, że myśli człowieka chorego nigdy nie bywają wesołe. Znowu zaczął padać deszcz, znowu wiatr się wzmógł, znowu lufcik szarpał się w ramie okiennej. Takie drobiazgi pogłębiają zazwyczaj melancholię, przydając wewnętrznemu smutkowi dużo zewnętrznego patosu. A jednak ponad wszystkie myśli, które błędziły w jej głowie, dominowała ciekawość. Prosta, ludzka ciekawość: co też on miał na celu z tym niby „żartem” i co go do tego mogło skłonić?

Gdy tylko Leszek wrócił, poprosiła go: - Siądź tu - i wskazała na łóżko. - Powiedz mi szczerze, ale tak zupełnie naprawdę... Dlaczegoś powiedział, że bym nie chodziła do Dawidowskiej ?

On chciał zbyć pytanie znowu jakimś żartobliwym wykrętem, ale nie dopuściła do tego:

- No, już widzisz, że nie uwierzyłam i nie wierzę w dalszym ciągu! Więc, to na nic. Powiedz poważnie, bardzo, bardzo proszę.

Wtedy wyznał, że doszły go różne plotki na temat doktorowej Dawidowskiej... To znaczy, nie tyle różne, ile raczej jednostronne... I zaczął jej tłumaczyć, o jakiego rodzaju zboczenie seksualne pomawiają tę kobietę.

Ania poprawiła sobie poduszki, tak by mogła siedzieć wygodniej oparta. Wskutek emocji, jakiej doznała pod wpływem tej relacji, wystąpiły jej na twarz rumieńce i zupełnie zapomniała o swojej słabości. - Najpierw usiłowała go zawstydzić, że obraca się „Bóg wie w jakim towarzystwie, które nie ma nic lepszego do roboty, jak plotkować na tematy pornograficzne"... Ponieważ jednak o takich sprawach nie miała konkretniejszych wiadomości i zaledwie coś kiedyś o nich słyszała, więc wyrażając oburzenie, przecie starała się wyciągnąć z męża różne szczegóły, które stanowiły dla niej wielką sensację.

- No, pomyśl, czego tylko ludzie nie wymyślą! - uderzała ręką po kołdrze. - Nie! No, coś podobnego! - wykrzykiwała

207
z błyszczącymi oczyma. - Zawsze twierdziłam, że mężczyźni są większymi plotkarzami od kobiet. I jak można tak kogoś obgadywać!

Leszek nie wiedział, czy ma się oburzać z nią razem.

- Ale ty chyba w to nie wierzysz?! - nalegała.

- Wiesz, że w pierwszej chwili... Ale teraz, to już nie.

- Ach, jak mogłeś w ogóle!

„Ja miałem jej kiedyś wyznać wszystko, a zdaje się, brnę w coraz większe kłamstwa!" przyszło mu do głowy. Ale widząc jej ożywienie, był w gruncie zadowolony, że cała sprawa przybrała w końcu charakter drobnej rozrywki, których Ania była tak bardzo pozbawiona, a teraz najwidoczniej się bawiła, bo w każdym razie opowiadanie Leszka było dla niej dużym urozmaicheniem wieczoru.

208

Północny wiatr dał tak długo, aż wreszcie zepchnął nieprzebraną na pozór masę chmur ku południowi i odsłonił niebo. Wyrzało blade, ale przezroczyście. Sensacją tego ranka stały się bardzo długie promienie słońca i odpowiednie, prawie do śmieszności wydłużone cienie, jakich nie widziano od wielu już tygodni. Masyw cerkwi na rynku kładł czarne odbicie aż do wylotu ulicy imienia generała korpusu, który przed sześciu laty zdobywał to miasteczko; cień ów obejmował ponadto szereg kamieniczek po zaułek Puszczański, łącznie z żydowską piekarnią na rogu. Za to tym jaśniejsze wydawały się oświetlone części rynku. Wieża kościelna od najwyższego punktu w błękitnym niebie szła ukosem ponad dachami, sięgając zdeformowanym cieniem krzyża aż het, po synagogę. Z kominów wywijał się w przestrzeń wesoły, ranny dymek. Błoto na bruku skrzepło jeszcze przed świtem, a teraz szkiło się w grudkach; przed furmankami, którym wypadło jechać od strony puszczy na zachód, skakał po ulicy cień końskiego łba w obwódce duhy.

W grze tych żółto-czarnych światłocieni pod wysoko rozpiętym niebem otwierały się ciężkie żaluzje sklepów, które nocą chroniły je przed złodziejami. Psy w bramach raźniej

209

wydrapywały pchły, by biec później ulicą ze skupionym wyrazem w ważnych jakichś swoich sprawach.

W nastroju tego ranka tkwiła niewątpliwie cząstka tego upragnionego przez wszystkich: „doczekania lepszych czasów" i dlatego twarze ludzi były na ogół weselsze. Czuło się, że ziemia przecie nie stoi w miejscu, że wolno, ale się kręci: „spadną śniegi niezadługo, a tam - znowu wiosna!"!

Przyjemnie jest czasem tak sobie pomyśleć.

Od ósmej rano wszystko już było w pełnym ruchu. O ósmej trzydzieści Leszek otrzymał list. Gdy go rozpieczętował, znalazł w nim rachunek firmy Zuseł Szapiro „Handel Leśny i Skład

Drzewa", na sumę dwukrotnie przekraczającą jego miesięczną pensję, za dostawę budulca i drzewa opałowego do Zakładu Ogrodniczego „Flora"

Pierwsze wrażenie, jakiego doznał było: „Nawet nie wiedziałem, że on nazwał swą firmę: „Flora". Jak trafnie przeinaczył własne imię, dopasowując je do rodzaju przedsiębiorstwa"...

Ania, nucąc przestarzały szlagier, wychodziła właśnie do sklepów dla poczynienia domowych zakupów i prosiła, by jej dodał trochę pieniędzy, bo obawia się, że ma za mało.

Dotychczas nigdy jeszcze nie zwrócił jej uwagi, że wydaje zbyt dużo. Wczoraj akurat otrzymał pensję za order. Wyjął portfel i dał, ile chciała.

- Co to za list otrzymałeś? - zapytała go.

- To żaden list. Tylko rachunek urzędowy w sprawach drzewnych.

- Dlaczego nie do biura? - zdziwiła się.

- Nie wiem, pomylili się - odparł obojętnie, wsadzając kartkę do tej samej przedziałki portfela, z której wyjął przed chwilą pieniądze,

- Nie wychodzimy razem? Taki śliczny poranek.

- Nie jeszcze... Za chwileczkę.

Gdy został sam, miał wyraźną świadomość, że nie odczuwa tego nowego ciosu nawet w przybliżeniu tak ostro, jak go odczuł za pierwszym razem, gdy Flor zażądał tego wydatku. Raczej z zimną krwią skupił całą uwagę na praktyczne załatwienie sprawy, chociaż jego sytuacja finansowa była w tej 210

chwili o wiele gorsza niż w sierpniu. Zrobił moc wydatków, kupił wiele rzeczy Ani i nawet pozaciągał drobne długi, które miał nadzieję spłacić w następnych miesiącach. Poza wszystkim jednak musi przewidywać poważne koszty, jakie pociągnie za sobą choroba żony. Dawidowska nie przedstawiła jeszcze rachunku, zapewne odkładając go aż do zakończenia kuracji. Wówczas, w sierpniu, mógł się zwrócić jeszcze o zaliczkę na pensję do dyrekcji leśnej. Po ostatniej rozmowie z szefem droga ta była na razie zamknięta. A mimo wszystko czuł się bardziej spokojny i pewny siebie. Widocznie sprawiło to spotkanie z Anastazją i pozbycie się nękającego go podświadomie lęku... - Spojrzał na zegarek i postanowił jeszcze przed udaniem się do biura zająć do miejskiej kasy komunalnej.

Gdy schodził po schodkach, zatrzymał się raptem, jak człowiek, który zapomniał czegoś w domu, i wrócił, przeskakując po dwa stopnie naraz. Wyjął z szuflady wstążeczkę orderową, wygładził palcami i przypiął na właściwym miejscu, aby była widoczna.

Dyrektor kasy przyjął go życzliwie, oświadczył, że żadnych trudności z otrzymaniem pożyczki na tę sumę nie przewiduje, wydał mu odpowiednie blankiety do wypełnienia, zaznaczył jednak, iż wewnętrzny statut wymaga drobnych formalności. To znaczy zabezpieczenia na wekslu. Na przykład urzędowe

poświadczenie instytucji, w której pracuje.

- Czy bez takiego poświadczenia nie da się zrobić?

- O, nie jest ono wcale konieczne. Może być też żyro handlowe, albo nawet prywatne, kogoś z osób znanych i odpowiedzialnych finansowo na miejscu.

Leszek podziękował z roztargnieniem, gdyż było już późno i musiał śpieszyć do pracy.

Gdy tego dnia zobaczył nieskończone wstęgi lasów na horyzoncie, w powietrzu tak przezroczystym, iż miało się złudzenie, że prawie każde drzewo przywrócone zostało swej indywidualności, doznał wrażenia dziwnego żalu. Świat, na który patrzył, istotnie podzielony był na dwie zasadnicze barwy:

żółtych i czarnych światła. Żółte było słońce, zeschnię trawy,

211

rżyska na polach i opadłe liście; w żółty brąz wpadało błoto zmarznęte na grudę po drogach, kożuchy ludzi. Natomiast czarne były ich barankowe czapki i długie buty, czarnym zdawało się wnętrze lasu i wszystkie cienie, gdziekolwiek padały na szeroką ziemię. A jednocześnie było przestrzennie, jasno, świeżo. Było pięknie. Tymczasem on patrzył na pejzaż, jakby nie należał do jego życia, oczami człowieka skłopotanego, mózgiem wysuszonym troską. Czy nie tak mówił mu wtedy Flor, gdy tłumaczył, że nie ma głowy dla ładnych widoków, że zżarła go od wewnątrz codzienność?!...

Raptem zacisnął pięść: „Ach, ja głupiec! Ja dałem się temu włóczędze zaszantażować?! Ja, który byłem przecież świadkiem naocznym, jak on zabił w szpitalu Marka! W jaki sposób mogłem o tym fakcie zapomnieć? Poczekaj, poczekaj...” - Począł w myślach rozgrzebywać zdarzenia przeszłości, od których dotychczas uciekał pamięcią. Był naprawdę zdumiony, że mu przedtem nie przyszły do głowy: „Po pierwsze, ja tylko kogoś raniłem, a on zamordował. To jest chyba różnica! Po drugie, Marek był żołnierzem podczas wojny w szpitalu, bezbronny... Nie, broń miał. No, ale wszystko jedno!... Oczywiście przestępstwo Flora jest o wiele cięższe od mego... To ja powinienem mieć go w ręku, a nie on mnie! W jaki więc sposób dałem się nabrać? Dlaczego stało się odwrotnie?!” - W podnieceniu wyczyniał rękami nie skoordynowane gesty, przypadkowo w bocznej kieszeni natrafił na zwitek blankietów, wręczonych mu przez dyrektora kasy komunalnej i miał je teraz w palcach. Zdawało mu się już, że widzi przed sobą konkretną możliwość odwrócenia sytuacji i zmuszenia Flora do zapłacenia fatalnego rachunku... Już się zapalił do ułożenia planu działania, gdy z głębi trzewi czy zresztą nie wiadomo skąd, zaczęła się rodzić wątpliwość.

O co jej chodziło - tej wątpliwości? Nie mógł z początku pojąć: o moralne pobudki, obiektywne okoliczności? - Przecież to nie jest ważne! Tak, to nie było istotnie ważne. Nie ma czynu ludzkiego bez obiektywnych okoliczności łagodzących. Za każdą rzecz na świecie można uniewinnić lub skazać. To z kolei zależy od okoliczności, w jakich proces się odbywa. On, Leszek, nie będzie powołany do tego, by obowiązuje prawa

rządzące światem przestawiać na nieziszczalne tory idealnego obiektywizmu! Nie teraz w każdym razie, gdy potrzebuje trochę pieniędzy, a Ania jest chora...

Świadomość, która Leszka męczyła w tej chwili, a która rodziła się z tego samego pierwiastka, co wyrzuty sumienia, nie będąc jednocześnie wyrzutami sumienia w moralnym ich znaczeniu, wynikała z podrażnienia własnej ambicji. Flor działał pod naciskiem odruchu samoobrony, a on, Leszek, wcale nie był zmuszony do strzelania przez zamknięte drzwi chaty... A jeszcze, dla ułatwienia sobie strzału, cofnął się o trzy kroki na ganeczku... „Ach!” i rozerwał trzymane w ręku blankiety kasy komunalnej. Czyn Flora wynikał z jego męskiej postawy osobistej, a Leszka z rozhisteryzowanej słabości, ślamazarstwa graniczącego z kretyństwem... - I jeszcze raz przedarł trzymane blankiety, i jeszcze raz, i darł je na strzępy, na drobne strzępy, póki mu nic nie pozostało w rękach... - „Dobrze, dobrze, niech będę kretynem!...” - poniżał sam siebie w myślach - „ale mogę powiedzieć to samo, co on: że mianowicie też chcę żyć! Jeszcze zobaczymy, jeszcze zobaczymy, kto kogo!...” - był tak wzburzony, że omal rozmawiał ze sobą głośno.

Otrzeźwiły go dopiero refleksje natury praktycznej. Plan działania, jeszcze nie skonkretyzowany, już zaczął się rozkruszać: „Pograżysz sam siebie” naszeptował rozsądek. - Więc nie dopuścić do ostateczności, do żadnej rozprawy, a tylko go nastraszyć. Ale czym? Jakimi świadkami? Miał niejasne poczucie, że ci ludzie, którzy mogli wchodzić w rachubę, nie będą po jego stronie. Czyżby Anastazja też nie?... Naścia, tak, ona jedna stać się może jego sojusznikiem i posłużyć za narzędzie do nastraszania Flora. Może, ale to nie jest pewne. W każdym razie musi z nią o tym pogadać, może chociażby na razie wysondować jej nastrój. Poczul ulgę, że choć tym jednym postanowieniem zakończył dzień bezpłodnych szamotań.

W domu Ania zapytała go przede wszystkim:

- Dlaczegoś tak się uroczyście wystafirował?

- Ja?! Uroczyście? O co ci chodzi?

Nie zauważyła w pierwszej chwili jego ponurego nastroju i odpowiedziała z humorem:

213

- Widzę wielką wstęgę orderu na twojej piersi!

Leszek spojrział koso na guziki munduru i zerwał wstążeczkę orderową, którą był włożył, gdy szedł do kasy komunalnej.

Najpiękniejszy dzień późnej jesieni miał się ku końcowi.

214

Zuseł Szapiro nigdy by w innych okolicznościach nie postąpił tak, jak zrobił. Jego zmysł kupiecki z góry wykluczał odruchowe reakcje. Nie był też nigdy drobnym liczykrupą, który dla groszowych należności, poświęca kalkulacje wyższego rzędu. Szapiro, nawet gdyby stracił poważniejszą sumę, potrafiłby tę stratę zapisać na rachunek przyszłości, w której

ją sobie odbije z procentem. Tymczasem w cichej, nie umówionej nawet transakcji z Leszkiem, nie tylko nie stracił, ale nawet zdążył zarobić. Nie, do wystawienia tego głupiego rachunku za dostarczone Florowi drewno pobudziło go wyłącznie głębokie przekonanie, że z Leszkiem nigdy nie będzie już robił interesów, a zatem nie będzie mu on więcej potrzebny. Już to samo, że Leszek nie zażądał ani poważnego udziału w zyskach, ani nawet grubej łapówki, świadczyło, iż nie jest człowiekiem interesu, bo nie umie liczyć, a przez to nie zdaje sobie sprawy z doniosłości całej afery. Gdy prosił tylko o śmieszłą jakąś kwotę w materiale drzewnym (który nb. mógł sam załatwić „na lewo”), Szapiro sądził, iż jest to tylko zaliczka na przyszłe porozumienie. Gdy natomiast sprawa raptownie została przecięta, zanim zdążyła się rozwinąć, doszedł do przekonania, że Leszek musiał o tym z góry wiedzieć, a więc był to z jego strony tylko szczeniacki kawał obliczony na groszowy 215

zysk. A Szapiro nie znosił groszowych zysków, tym bardziej szczeniackich kawałów.

Poważny leśniczy, który by wziął od Szapiry poważną łapówkę, a później nie ze swej winy, ale wskutek siły wyższej nie był w stanie dotrzymać umowy, mógł śmiało liczyć, że będzie tak samo, jak przedtem, częstowany papierosem nie ze srebrnej, ale złotej papierośnicy. Bo z poważnym człowiekiem, gdy się nie uda jeden interes, to może się zawsze udać drugi i trzeci. Że Leszek nie był poważnym człowiekiem, Szapiro miał już przeczucie od razu, tym więcej był zły na samego siebie, że dał się wciągnąć. Bo co to za dostarczenie drzewa jakiemuś zrujnowanemu, prawosławnemu pogorzalcowi? I jeszcze takim, o którym niektórzy mówili, że był dawniej bandytą! Nie, takich różnych spraw, których Szapiro nie rozumiał, bardzo jednocześnie nie lubił. Bo gdyby jeszcze potrzebował pieniędzy dlatego, że w karty przegrał w kasynie, albo potrzebował kupić naszyjnik dla dziewczynki; przehulał, rozłajdaczył... Nu, to były rzeczy zrozumiałe. Tymczasem w zachowaniu tego młokosa wyczuwało się jakiś wewnętrzny brak równowagi...

- Szapiro nawet zrobił taki ruch dłońmi nad stołem, jakby strącał z palców coś nieprzyjemnego: „To jest bardzo dobre powiedzenie, że lepiej z mądrym stracić niż z głupim zarobić!” Taki to może człowieka doprowadzić po prostu przez własną naiwność. A na wypadek, gdyby Leszek istotnie wpadł i dał się nakryć, on, Szapiro, chce być kryty. Żeby później nie wypaplał, że otrzymał od Szapiry łapówkę. Wystawić rachunek, niech płaci z Bogiem i niech go więcej nie widzi.

- Fejwel! - zawołał, wydostając z bocznej szuflady poufną książkę rachunkową. - Przepisz konto firmy „Flora” do księgi buchalteryjnej i wystaw rachunek dla pana leśniczego...

Działo się to dnia poprzedzającego ów dziwnie słoneczny poranek jesienny.

Gdy po upływie dwóch tygodni rachunek nie został jeszcze uregulowany, Szapiro przywołał z drugiego pokoju swoją siostrzenicę, która ukończyła średnią szkołę i pracowała u

niego w charakterze maszynistki. Kazał jej napisać grzeczne, ale stanowcze upomnienie, grożąc, że w razie nieuiszczenia

216
długu będzie zmuszony zwrócić się do władz przełożonych w dyrekcji leśnej.

To, o czym Szapiro nie wiedział (co zresztą nie wpłynęłoby na zmianę jego decyzji), było, że Leszek nie tylko nie posiadał przy sobie żądanej kwoty pieniędzy i nie tylko nie mógł się zwrócić o zaliczkę, jak również nie miał znajomych żyrantów wymaganych przez kasę komunalną, ale nie reagował też z innej przyczyny. Po prostu nie miał głowy, aby się krzątać wokół spłacenia długu, gdyż stan zdrowia Ani pogorszył się gwałtownie. Był tym strasznie przygnębiony i jak zawsze w takich wypadkach tracił zimną krew.

W ciągu dnia, pod jego nieobecność, przychodziła Dawidowska i ponoć nalegała na przeniesienie do szpitala. Ania ze swej strony prosiła męża, ażeby się rozmówił ostatecznie z doktorową.

- Dobrze - odpowiedział. - Naturalnie. Zrobię to. Kiedy można ją zastać w domu?

- Teraz będzie chyba w szpitalu. Sądzę, że lepiej pod wieczór.

Ania była tak dalece przekonana, iż jej zdrowie nie należy do niej tylko osobiście, a stanowi ich własność wspólną, że gdy stan jego pogorszył się, nie robiła z tego tajemnicy ani nie starała się sprawy bagatelizować. Uważała jednak, że Leszek zbyt poddaje się depresji. Zaczęła go więc swoim zwyczajem pocieszać.

Właśnie gdy o tym rozmawiali, nadeszło owo upomnienie z firmy Szapiry. Leszek, podobnie jak za pierwszym razem, schował je nieznacznie, zaciął usta, postać chwilę przed oknem z rękami w kieszeni, a potem ubrał się i postanowił przedtem zanim pójdzie do Dawidowskiej zajść - do Anastazji.

217

Zapadał zmrok. Drewniane schody w domu, w którym mieszkała Anastazja, nie były oświetlone. Leszek pomylił drzwi, niepotrzebnie narobił hałasu, płosząc czyjeś kury. Dominował tu odór kiszzonej kapusty, kurzego pomiotu, smażonego tłuszczu i swoisty zapach zleżałego pyłu, właściwy dla wyższych pięter starych, drewnianych budowli. - „Brakuje jeszcze, żebym zastał u niej jakiegoś gacha, który mnie zrzuci z tych śmierdzących schodów”... - myślał ponuro.

Anastazja widocznie nie spodziewała się jego wizyty, ale nikogo u niej nie było. W roztargnieniu zaczęła od tego, że poprawiła sobie włosy przed małym lusterkiem, które wisiało na ścianie, zanim poprosiła, by usiadł. Później strzepnęła sukienkę rękami, przestawiła bez widocznego powodu flakon ze sztucznymi makami ze stołu na komodę i wreszcie uśmiechnęła się zagadkowo. Gdyby Leszek nie był całkowicie pochłonięty swoimi zgryzotami, dostrzegłby może w tym uśmiechu coś więcej: radość, zalotność, dyskretną ironię...

Można go więc było interpretować jako uśmiech - tak zwany
- obiecujący. Ale Leszek nie studiował wyrazu twarzy dziewczyny.
Sam był trochę zmieszany i nie wiedział, od czego
zacząć rozmowę.

- Schody u was niewygodne - powiedział.

218

- To tylko dziś tak się zdarzyło. Lampka się tam przepaliła i
ciemno. Ale mieli zaraz naprawić.

Leszek wyjął papierosa, postukał nim o paznokieć kciuka,
później pokręcił jeszcze w palcach i zapalał powoli. Anastazja
postawiła przed nim glinianą popielniczkę, w kształcie zająca,
trzymającego talerzyk.

- Jak tam na dworze? - spytała.

- Chmury.

- To wiem. Ale czy deszcz pada?

- Nie. Deszcz nie pada.

- Co u ciebie słychać?

- Nic dobrego - odparł Leszek i usiadł.

- To może się czegoś napijemy pod zmartwienie?

- Wódki.

Anastazja obróciła się na pięcie, przysiadła, zupełnie jak
poprzednim razem, przed małą, niziutką szafką i wydostała
stamtąd karafkę słodkiej nalewki.

- Ależ ja żartowałem! Nawet nie przypuszczałem, że u ciebie
jest wódka! - ucieszył się Leszek.

- Dlaczego nie ma być. Jest i wódka, jest wszystko. Dla
takiego rzadkiego gościa... - Nalała, uniosła kieliszek. - No,
nasze... małżeńskie!

Leszek uśmiechnął się z przymusem. Wypili duszkiem.
Odstawił kieliszek.

- Toast jednostronny - zmrużył oczy - bo tylko ja jestem
w stanie małżeńskim.

- Ja też nie panna. - Wyszła do przyległej kuchenki, aby
przynieść jakieś zakąski i stamtąd, niewidoczna, zawołała
przez otwarte drzwi: - Ty chyba o tym wiesz najlepiej!

Leszek, zamiast odpowiedzi, nalał znowu do kieliszków.

Gdy wróciła z talerzami, była zaróżowiona na twarzy. Teraz
podobala się Leszkowi bardziej niż kiedykolwiek przedtem. Miał
też wrażenie, że byłaby skłonna odnowić dawne z nim
stosunki. To mu dodało otuchy. Wypił, tym razem nie śpiesząc, i
powoli, kołując, sprowadził rozmowę na Flora.

Anastazja zrazu z ożywieniem podtrzymała temat. Później,
gdy przeszedł na sprawy osobiste, wspomniał o chorobie żony i
219

niespodziewanych trudnościach, w jakich się znalazł,
posmutniała. Sądził, że mu współczuje.

Raz przerwała:

- Daj mi papierosa.

- Palisz? Nie wiedziałem - i podał pudełko.

- Czasami. Rzadko. Przy wódce.

Leszek mówił teraz śmieiej. Zaryzykował wyznanie, że Flor
nabrał go, a wskutek tego on ma grube przykrości. Ale

w ostatniej chwili wstrzymał się przed wyznaniem całkowitej prawdy. Nie wspomniał nic o szantażu, a tylko użył ogólnikowego zwrotu: „nabrał”... Mogło to oznaczać po prostu, że zaciągnął pożyczkę i nie chce oddać pieniędzy. Anastazja znowu z większym zainteresowaniem zaczęła przysłuchiwać się tej sprawie, która obudziła jej przelotną ciekawość. Gdy jednak w dalszym ciągu, nie dopowiadając zdań do końca i kołując, przeszedł do konieczności, jaką widzi przed sobą... mianowicie zmuszenia Flora... Ona pochyliła głowę i wypuściła z ust naraz wszystek dym, jak to czynią ludzie nie przyzwyczajeni do tytoniu, którzy się nie zaciągają, a palą jedynie dla rozrywki. Podciągnęła nogi i oparłszy obcaso o dolne przesło krzesła, siedziała z rękami na kolanach, a z myślami Bóg wie gdzie...

Po chwili podniosła na niego wzrok pełen zadumy, ale jednocześnie zatliło w nim coś, jak iskierka irytacji. Zdawał się wyrażać zarazem żal i rozczarowanie: „Toś po to tylko do mnie przyszedł?...” Leszek spojrzał w jej źrenice i urwał w pół zdania.

Nastąpiło milczenie.

Anastazja przeniosła wzrok gdzieś w głąb pokoju i powiedziała ospale:

- Tak, masz dużo zmartwień. - Po chwili jednak wyprostowała się, opuściła nogi, poprawiła się na krześle i dorzuciła rażno: - No, nalewaj!

Wypili znowu. Rozmowa nie kleiła się. Czas mijał. Leszek, ukradkiem zerknąwszy na zegarek, stwierdził, że właściwie dawno już powinien być u Dawidowskiej. Ale wódka zrobiła swoje i pod jej wpływem poczuł się znowu bardziej pewny siebie. Skierował więc rozmowę na przeszłość, na szpital; wtrącił

220

nawet aluzję do ich dawnego, wzajemnego stosunku, przypomniał nieszczęśliwego Marka zabitego w ciemnym korytarzu...

Anastazja rzadko dorzuciła jakiś komentarz. Minęła w ten sposób godzina, gdy raptem Leszek, rozgrzany alkoholem, uderzył dłonią po stole i oświadczył, że znalazł się w tak fatalnej sytuacji, iż zdecydowany jest za wszelką cenę odzyskać swoje pieniądze od Flora, nawet za cenę nastraszenia go przypomnieniem tego morderstwa!...

Reakcja Anastazji była gwałtowna:

- Et! Głupstwa gadasz! - Wstała pod pretekstem wysypania popiołu z popielniczki.

- Dlaczego głupstwa?!

- Bo co on winien? Co on mógł wtedy innego zrobić?

- A ja co winien jestem, że... - i urwał w czas.

Uderzyło go to, że w głosie Anastazji przebijało teraz niczym już nie maskowane rozdrażnienie:

- I jakie ty masz prawo?!

- Prawo do czego?

- Ach, w ogóle!... I czym ty jego myślisz nastraszyć? Jakie masz dowody? Kto ci będzie świadczył!

- A chociażby ty!

- Zwariowałeś!

To był koniec. Punkt. Leszek powinien był wstać w tej chwili, śpieszyć do lekarki, a stamtąd do swej chorej Ani, która na niego czekała. Ale nie uczynił tego. Z uporem dopingowanym przez działanie alkoholu i krzywiąc usta w fałszywym uśmiechu, wycedził przez zęby:

- To wolisz brać jego stronę niż moją?

- A cóż ty jesteś dla mnie!

Wtedy nie panując już prawie nad sobą, rzucił z brutalnym cynizmem:

- Pewnie! Może nie więcej niż ten sam Flor...

Anastazja przybladła.

- Pijany jesteś, czy co! Już nie mówię, że nie ma za co winić, ale przecież za zamazanie wtedy tej całej sprawy odpowiedzialność spada na Hele przede wszystkim, a zresztą i na mnie! Nie pamiętasz, jak to było, czy co!

221

- No to znajdzie się... Józiuk.

- Jaki znowu Józiuk?

- No, ten ze wsi Muchanowo.

- Ach ten... Właśnie, szukaj! Utopił się, łapiąc ryby w rok po wyjściu ze szpitala.

- Utopił się?... - Leszek przypomniał sobie, jak to ojciec chłopca z takim trudem rozstawał się ze złotymi monetami, skapiąc na operację syna. Flor wtedy interweniował... Głos Anastazji wyrwał go z raptownego zamroczenia:

- Może jeszcze Lodzio?! Co? Który skończył w szpitalu wariatów! W sam raz koleżka dla ciebie!

Co miały znaczyć te słowa? Wielką pogardę, ciśniętą w oczy? Prawda, że on też obraził Anastazję, może mniej słowami, niż jawnym zlekceważeniem jej odpowiedzialności, o której przed chwilą wspomniała, a on nie zwrócił nawet na to uwagi, upierając się przy swym fantastycznym planie. Ale to poczucie krzywdy, które jej wyrządził, łącznie z poczuciem utracenia jedyne go, jak sądził, pozostałego sojusznika, spotęgowało tylko jego rozdrażnienie. Ostatnie słowa Anastazji były jakby go ktoś biczem chlasnął! Narastała w nim wielka złość i świadomie chciał być brutalnym. Zaczął tedy mówić urywanym głosem, zachłystując się słowami. Zdanie, które sformułował w końcu, było prostackie, a wynikało z niego, że mu w tej chwili chodzi tylko o pieniądze i gdyby nie to, nawet by się nie fatygował tu przychodzić!...

Wstał i stukał palcami po stole.

Anastazja też stała. Palilo ją nie tylko poczucie doznanej krzywdy i obelgi, ale więcej może: wielkie rozczarowanie i wielka żalność. Jakie uczucie żywiła jeszcze dla Leszka?... W tym momencie oczy jej wyrażały szczerą nienawiść. A wypity alkohol podniecał ją do słów nie przemyślanych:

- Pieniądze?! Helka ma pieniądze! Poślij do niej swoją piękną zoneczkę, niech się z nią prześpi, a dostanie na pewno! Leszek zamachnął się od razu i uderzył Anastazję w twarz.

Zachwiała się, zbladła, ale utrzymała na nogach.
Odstąpiła krok w tył, jeszcze krok... Zdawało się przez
mgnienie oka, że waha się w wyborze jakiejś straszliwej reakcji;
222

grymas nienawiści wykrzywił teraz całą jej twarz... Ciśnie
butelką, zajączkim na popielniczce?... Już znalazła:

- Bijesz?! Mnie, bo jestem kobietą! Bo się nie boisz, ty... A
na wojnie, gdy na ciebie naskoczyli, stałeś jak skostniały ze
strachu!!

Tak, to był straszliwy cios! Leszek nie zdążył pożałować
swego pierwszego odruchu, bo sam aż się zachwiał i wszystka
krew odpłynęła mu z twarzy. Zrobił krok ku niej.

- Tyś widziała?! Taaak?! - cedził przez zęby świszczącym
szepem. - A może twoja matka, która zamknęła mi bramę,
żebym nie mógł uciec! - Zbliżył się jeszcze o krok. - Widziałś!
Widziałś?! Że tak mówisz?!... - i miał już chamskie
przekleństwo na ustach, ale Anastazja nie dała mu dokończyć:

- Widzieli!! Widzieli!! - krzyczała ochryple. - Nie ja i nie
matka, ale byli ludzie, co widzieli, z okien widzieli! Stałeś - o
tak: - przyjęła pozę naśladującą kompletną bezradność. - Jak
bałwan sparaliżowany! Ze strachu ani nogą, ani ręką nie
mogłeś ruszyć! Tchórz, tchórz!! Tylko nie wiedzą, że to ty! Ale
rozpowiem teraz wszystkim!! Całe miasteczko będzie
wiedziało!!

Leszek zamachnął się z większą niż poprzednio siłą i
uderzył ją po raz drugi w twarz.

Przemknęła jakaś sekunda okropnej ciszy. Wtedy

Anastazja bez słowa osunęła się, przysiadła na brzeжку kanapy,
oparła głowę o stół, zakryła ją rękami i zaczęła cicho płakać.

Był to dziwny płacz, podobny trochę do płaczu małej,
skrzywdzonej dziewczynki, ale bardziej jeszcze do skomlenia zbitego
psiaka. Żaden szloch nie poruszył jej ramion. Siedziała
nieruchomo i skomlała tylko. Leszek sięgnął po czapkę i swój
futrzany, krótki kubraczek. Chciał je nałożyć dopiero na
schodach, byle prędzej stąd wyjść... Nie pamiętał nawet, czy
postąpił już ku drzwiom, czy stał jeszcze w miejscu... Nie
wyszedł, trzymał swoje rzeczy w ręku, odwrócony tyłem do
płaczącej. Stał chwilę, jeszcze jedną chwilę... Jeszcze słuchał
cichego skomlenia Naści... Jego Naści, kiedyś... Sieroty teraz,
jak powiedziała żartem, i choć śmiesznie było sierotą nazywać
dorosłą kobietę, wydało mu się to pojęcie w tej chwili ważne
ponad wszystko... Upuścił czapkę i kubraczek na podłogę,
223

obrócił się, podszedł do niej, usiadł na kanapie obok, objął
ramieniem, objął jak mógł najbardziej objąć, przytknął twarz do
jej rąk, zalanych łzami na stole, i równie głęboko i gorzko
zapłakał.

Po niebie tymczasem, nad miasteczkiem, z jego wszystkimi
miasteczkowymi sprawami, ciągnęły zwyczajne, jesienne
chmury. A oni siedzieli, łącząc ze sobą łzy, i oddechy
przepojone alkoholem, i swoje nieszczęścia.

Długo tak siedzieli i płakali. Później, nie zmieniając pozy,

on pierwszy zaczął szeptać. Opowiadał jej historię, której sam w tej chwili słuchał ze swego szeptu z nią razem. Jak wyszedł ze szpitala owego wieczoru na wiatr... A jeszcze przedtem, jak schował jej kartkę do kieszeni i chciał zostać... Ach, jak wtedy chciał zostać w ostatniej chwili. Ale sam nie wiedział, dlaczego poszedł. Takich rzeczy nigdy się nie wie, rozumiesz? Może wstydził się Flora; może tak sobie tylko...; a może czuł się, jak wypędzony z domu, i chciał iść dokądś... wiesz? - Przełknął ślinę, nie wycierając oczu i nie odrywając twarzy od jej rąk na stole. Poszedł więc tam i tam, zrobił tak i tak. O Mateuszu opowiadał, o Jakubie. O nocy opowiadał, o przejściu przez rzekę. Opowiadał o wsi Łosie, o Lubie, o swoim strzale. O puszczy, o zamrożonym na szczęście błocie... O innych szczęśliwych trafach opowiadał: że furmankę spotkał, gdy mu się podeszew właśnie oderwała. O swojej rozpacz, o tęsknocie, o powrocie. Bo to było przecie tak, że wracał do niej, do Naści, bo nie miał nic i nikogo na świecie... - I rozrzewniając się nad samym sobą, płakał znowu, a Anastazja wyjęła z rękawa chusteczkę i utarła mu nos jak dziecku. A on doszedł do tego strasznego punktu, w którym stał przed jej domem. Nawet o Bobiku nie zapomniał. „Co z nim teraz?” - „Zdechł” wyszeptała Naścia. - „No widzisz” wyszeptał, jakby chciał, żeby z tego wyciągnęła jakiś wniosek. Ale wniosek był inny, że wtedy on istotnie skamieniał i stał jak wryty, ale jeszcze przedtem, zanim naskoczyli ci jeźdźcy. Bo skamieniał nagle z rozpacz, że jej, Naści, nie ma w domu, że wróciła do Heli i w ten sposób zapewne z nim zerwała. Że runęła cała jego nadzieja, która była tylko w niej i w niej tylko... Oto dlaczego nie mógł ruszyć ani ręką, ani niczym... - I sam słuchał swego szeptu z

224

zainteresowaniem, i zdawało mu się samemu, że jest to przecie wytłumaczenie wszystkich wątpliwości, bo tak chyba naprawdę musiało być. Poczul wielką ulgę, ale nie wiedział, czy z tego właśnie uświadomienia, czy dlatego, że się wypłakał, czy też dlatego, że w tym momencie Anastazja wydobyla swą rękę spod jego twarzy i objęła go za szyję, i przytuliła jeszcze mocniej do siebie, jakby chciała skleić ze sobą łzami. Osunęli się później na kanapę i nie rozłączając uścisku leżeli długi czas nieruchomo, ale uśmiechając do siebie. Ona bliżej ściany.

- Zaczekaj... - wyszeptała wreszcie.

Przełazła przez niego, poszła do kuchenki i zamknęła za sobą drzwi. Leszek leżał starając się nie łapać rozbiegłych myśli. Wyszła po chwili, sprawdziła drzwi prowadzące na schody, przekreśliła dwukrotnie klucz, rękawem otarła w uśmiechu łzy, zaschłe na policzkach i wróciła na kanapę, strąciwszy uprzednio z nóg czarne czółenka.

Od trzech kwadransów mżył już za oknem drobny deszczyk. Strugi jego ściekały po zewnętrznej stronie szyby, nie wydając szmeru. Czarna, ponad firanką, górna połowa okna, odbijała w szkłe żarówkę i zdawała się oddzielać ich gruntownym murem od reszty miasteczka. W ciągu tego czasu

zamienili ze sobą wiele ważnych dla nich półsłówki, ale ani jednego próżnego słowa. Przez trzy kwadransy byli naprawdę szczęśliwi.

Dopiero raptowny ruch, jaki uczyniła Anastazja, unosząc głowę i nasłuchując, przywrócił świadomość istnienia rzeczy zewnętrznych.

- Czego tak nasłuchujesz? - szepnął.

- Sss...

Słuchali oboje.

- Nic przecie nie... - zaczął znowu Leszek.

- Cicho! - uniosła się w górę, opierając łokciem na jego piersi, i już w następnej chwili wyrwała się gwałtownie spod niego, zeskoczyła na podłogę. - Wstawaj! Popraw się. Szybko!

- Wsunęła nogi w pantofle, jednocześnie wprawnym ruchem palców przebiegając po włosach.

225

Teraz i Leszek usłyszał lekkie kroki na schodach.

- Kto to?! - szepnął.

- Prędkiej, prędkiej! - pocałowała go przelotnie. - Pozapinaj się! To Hela ... - Podbiegła na palcach do drzwi i przyciskając je ostrożnie kolanem, żeby nie było słycać zgrzytu, odkręciła klucz z powrotem.

- Hela?... - Leszek z wyrazem przykrego zdumienia spojrział na Anastazję, ale nie było już czasu na wyjaśnienia. Kroki zbliżały się wyraźnie, chociaż jakby stąpały po omacku. Widocznie lampka na schodach wciąż się jeszcze nie paliła.

- Nic się nie bój! — szepnęła Anastazja zachęcająco. — Ona była dla ciebie bardzo dobra, kiedy leżałeś nieprzytomny, wtedy...

226

Helena zastukała i jednocześnie, nie czekając odpowiedzi, otworzyła drzwi, mrużąc oczy od światła.

Zmieniła się bardzo od tego czasu, gdy ją Leszek, sześć lat temu, widział po raz ostatni. Była to teraz 35-letnia dama, ubrana, jak na miejscowe warunki, elegancko. Fizycznie pozostała tą samą, co dawniej, postawną, dużą blondynką, zaledwie trochę może zgrubiały jej policzki i przytyła na szyi. Natomiast ruchy jej cechowała swoista pewność siebie i swoboda, której nabierają kobiety w średnim wieku, gdy przeszły dużo w życiu, aby osiągnąć wreszcie uprzywilejowane stanowisko w otaczającym je świecie. Na pierwszy rzut oka trudno było sobie wyobrazić, że pod tą zewnętrzną postacią kryje się dawna, energiczna wprawdzie, ale zwykła pielęgniarka, z którą wszyscy w szpitalu byli na „ty”, o której względy brutalnie zabiegał jakiś tam Marek albo kochał się w niej dzisiejszy ogrodnik Flor! - „Onaż to płakała ongiś na schodach, gdy Leszek uwiódł jej Naście?!”

Teraz, trochę zaskoczona w pierwszej chwili, opanowała się natychmiast. Z pobłażliwym uśmiechem obrzuciła stół, kieliszki, nie dojedzone zakąski i zatrzymała wzrok na Leszku. Anastazja stała na uboczu poczerwieniała, ale oczy jej były

raczej wesołe i wyrażały nade wszystko ciekawość.

227

- No, nareszcie - powiedziała Helena, zdejmując rękawiczkę. - Widzę pana w dobrym zdrowiu. Wiele razy chciałam już powiedzieć pana żonie, aby... Miłą ma pan żonę.

Leszek skonfundowany, pocałował wyciągniętą na przywitanie rękę i kiwnął w milczeniu głową, dziękując za uprzejme słowa.

- Widzę, że przerwałam... - zwróciła się do Anastazji, wskazując stół z pewnym zażenowaniem. - Deszcz zaczął padać. A zobaczyłam w twoim oknie światło - dodała w formie wyjaśnienia.

- Może się napijesz też kieliszek wódki? My tu właśnie...

- Anastazja nie wiedziała, jak zakończyć zdanie.

- Może jeden na rozgrzewkę. Dobrze? - Helena zrzuciła płaszcz, przewieszając go przez poręcz krzesła i siadła na kanapie. Oparła się na dłoni. Leszkowi przyszło na myśl, że dłoń ta powinna chyba odczuwać gorąco bijące jeszcze z tej kanapy.

- Nie raczył pan nawet do mnie zajść... - powiedziała.

- Nie wiedziałem, że to pani! Dowiedziałem się dopiero...

A mojej żonie nic pani nie powiedziała, więc...

- Nie chciałam. To znaczy myślałam, że może pan nie chce.

No, proszę pokazać! Niechże wreszcie zobaczę na własne oczy, jak to dzieło się zagoiło.

Leszek zbliżył się posłusznie, rozsunął włosy i pochylił głowę. Po raz pierwszy w życiu uczynił to bez cienia przymusu. Miał uczucie, jakby oddawał nareszcie rzecz we właściwe ręce.

A jej ręce trzymały jego głowę fachowo, obracając nieco pod światło. Delikatnie namacała palcami ślad wygojonej blizny.

- Ślicznie, ślicznie... Zaraz, jeszcze chwilkę... Tak, bardzo ładnie, prawie bez śladu. - Sama zgarnęła włosy z powrotem i przyglądała dłonią, a później: pogładziła je raz jeszcze... A gdy Leszek zawahał się widocznie, czy ma już podnieść głowę, uniosła mu ją, leciutko trzymając za skronie i zajrzała z bliska w twarz, z uśmiechem prawie macierzyńskim.

Anastazja patrzyła na nich oczami błyszczącymi radością.

I raptem palnęła:

- Heła! Pożycz Leszkowi pieniądze.

Słowa te, wypowiedziane tak niespodziewanie, w ciszy, która po nich nastąpiła, sprawiły efekt strzału. Leszek,

228

zdumiony, wyprostował się gwałtownie, Helena spuściła wzrok na stojący przed nią talerz.

Tymczasem Anastazja oparła się piersiami na złożonych na stole łokciach i w ten sposób pochyłona ku Helenie, mówiła szybko:

- Ty wiesz, co się stało? Flor od niego wymusił... -

Przerwała sama sobie i z odcieniem wyrzutu: - Tyś mnie wtedy nic nie powiedziała o tym, że z Lubą...

- Tsss... - cicho syknęła Helena.

- No, widzisz, a teraz...

Leszek chciał gwałtownie coś wtrącić czy też

zaprotestować, ale słowa ugrzęzły mu w gardle.

- A na co ci to było potrzebne? - odparła Helena

- Nie na co... Tylko teraz on...

- Cicho, cicho. Nie ma potrzeby wszystkiego dopowiadać do końca. Bo w ten sposób dogadać się można Bóg wie do czego. I po co rozgadywać cudze tajemnice.

- Ja nie rozgaduję, tylko jak sobie pomyślę...

- I myśleć nie trzeba do końca. Gdyż tylko do śmierci się domyślisz, jeżeli będziesz myślała do końca. Bo do czegożby innego, Naścia. Już ja sama zgaduję, o co chodzi. Dajcie mi papierosa.

Leszek, podając pudełko z papierosami, chciał znowu coś wtrącić, ale ona dała mu znak milczenia. Sięgnęła po zapalki do torebki i zapalając spytała:

- Ile tego?

Anastazja wymieniła cyfrę niedokładną. Leszek ją poprawił niechętnie.

Deszcz wzmógł się. Teraz słyhać było wyraźnie, jak ściekał po szybie.

- Ach, dzieci moje - westchnęła Helena. - I wy mówicie, że pieniądze - to nie najważniejsza rzecz na świecie! Tyle namiętności, tyle goryczy, tyle miłości, rozpaczy, tyle najrozmaitszych powikłań, nawet krwi... Tyle zachowanych tajemnic, tyle lat... - strąciła popiół i dokończyła tonem ironicznym - a koniec końców okazuje się, że wszystko da się zamknąć w drobnym rachunku! I czy nie wstyd nam, co?!

- zaśmiała się nagle wesoło, podkreślając w ten sposób, że nie

mówiła poważnie. - Tych naszych wszystkich łez przelanych! Naścia, czyś ty dziś czasem znowu nie płakała? Co?

-Ja...

Leszek poczerwieniał i wykrztusił:

- Ależ ja wcale nie proszę...

- Nie trzeba, nie trzeba - Helena uczyniła przeczący gest.

- Naścieńka, ty też nie mów. Myślisz, że ja tobie wszystko mówię? Nieprawda, nie wszystko. Sama teraz widzisz, że nie. Ty jesteś jeszcze za mała na to dziewczynka, żeby tobie o wszystkim mówić. - Teraz roześmiały się obydwie, a Leszek też się uśmiechnął. Anastazja unosząc się znad stołu podsunęła Helenie kieliszek. Ta wypiła, wstrząsnęła się i wciąż z tym samym, jasnym wyrazem twarzy podniosła obydwie dłonie do góry:

- Sza, dzieci! Dostyc o tym. Niech pan siada tu - wskazała Leszkowi krzesło obok. - Pomówmy o rzeczy ważniejszej. O pańskiej żonie.

Anastazja też usiadła i przysłuchiwała się uważnie, nie spuszczać z Heleny wzroku. Teraz miała ich oboje ze sobą razem. Ta trzecia, o której mówili, nie odgrywała roli większej, niż ważny w tej chwili przedmiot rozmowy.

Helena wyjaśniła, że wypadek Ani podczas przesuwania szafy nie wywarł żadnego wpływu na przyczynę i przebieg choroby. Raczej okazał się szczęśliwym trafem i okazją do jej

zbadań, które dopiero wykazało istotną dolegliwość. Niestety, sprawa nie przedstawia się dobrze. Dotychczasowe zabiegi nie zdołały przywrócić stanu normalnego. Chodzi o poważne zrosty itd. Zresztą Leszek się na tym nie zna. Dziecka, niestety, uratować się nie da. Operacja jest konieczna natychmiast. Życiu matki nie powinno zagrażać niebezpieczeństwo, o ile nie zajdą nieprzewidziane komplikacje. Ale im prędzej, tym lepiej. Tym lepiej.

- Kiedy więc? - spytał cicho Leszek.

- Najlepiej jutro.

- Do szpitala?

- Pan zna drogę... - uśmiechnęła się bez złości

Helena, ale zaraz powróciła do rzeczowego tonu: - Mamy teraz specjalny oddział ginekologiczny. Niech się pan nic a nic nie

230

obawia. Proszę ją przywieźć jutro po południu. A o innych rzeczach nie myśleć ... - Spojrzała na mały zegarek na ręku.

Leszek odruchowo spojrzał na swój. Gdy podniósł wzrok, zdawało mu się, że Anastazja daje mu znak oczami, żeby już szedł. Wstał, podziękował... Była chwila, gdy wahał się w wyborze formy pożegnania. Ale później nachylił się, pocałował najpierw Helenę, później Anastazję i wyszedł, pozostawiając obydwie kobiety same.

Na klatce schodowej wkrecono już nową żarówkę i mógł zbiec szybko.

Ania bardzo się zdenerwowała jego długą nieobecnością.

Odczuwała wielki żal do niego, że opuszcza ją na tyle godzin, gdy jest chora. Miała gorączkę. Zanim jednak zdążyła zapytać, gdzie tak długo przepadał, Leszek uprzedził ją szybko:

- Byłem u doktorowej Dawidowskiej.

- Byłeś?! - ożywiła się. - No, i co?

- Zaraz, jutro, musisz do szpitala.

-Ojej...

- Ale nie bój się. Zapewniła mnie, że to absolutnie nie groźnego.

- Nie kłamiesz?

- Daję ci słowo honoru! - Nachylił się nad nią.

- Ależ od ciebie czuć wódkę...

- Ach, wypilem może ze dwa kieliszki.

- Gdzie?

- Poczęstowała mnie Dawidowska. Nie wiedziałem nawet, że ją znałem! Wyobraź sobie, że ona przecież pracowała w tym właśnie szpitalu, w którym ja leżałem, gdy...

- Co ty mówisz?! Tak?! Wtedy, gdy ciebie ranili! No widzisz, a opowiadałaś takie głupstwa... że ona...

- Nie opowiadałem, tylko powtarzałem, co słyszałem od innych. Zrobię ci herbaty. - Wyszedł do kuchni i pozostał tam aż się zagotowała woda.

Gdy wrócił, Ania leżała twarzą do ściany. Myślał, że zasnęła. Stąpił więc najciszej, jak mógł, ale ona odezwała się nieoczekiwanie głosem nabrzmiałym dziwnym rozżaleniem:

- Widzisz, a mnie ona nigdy nie poczęstowała niczym...

W dobrej czy złej sprawie, ale walka garstki przeciwko przeważającym potęgom ma w sobie zawsze coś heroicznego. To się ludziom podoba. Egoizm ludzki, równy egoizmom wszystkich żyjących stworzeń na świecie, przecież umie cenić postawę idealną. To, co jest drobne, słabowite na pozór, a jednak potrafi opierać się otaczającym żywiołom, budzi nie tylko mimowolny respekt; taka rzecz fascynuje, można się w niej rozmiłować. Natura ludzka, uległa w nierównej walce z życiem, czepia się czasem ostatnim strzępem ambicji czegoś takiego, co podświadomości przypomina może własny biedny los i skupia na tym przedmiocie resztki zawiedzionych nadziei, tęsknot niewyżytych, otacza go nawet miłością i troskliwą opieką. Taką, nie skryształizowaną w uczuciu, namiętą tkliwością otaczał Flor swoją oranżerię.

Przeniesiona do klimatu miasteczka, ta biedna cieplarnia istotnie podobna była do łupiny, walczącej z otaczającym ją odmętem zimna i deszczów. Istniała na przekór rannym przymrozkom i śniegom, na przekór wichrom, pluchocie, podatkom, rachunkom, złym klientom. Flor bronił się sam, ale na czele garstki roślin. Czytał kiedyś pewną książkę, i dlatego raz, w przystępie dobrego humoru, powiedział do Luby:

- Nasza oranżeria, to jak oazis na pustyni...

232

Ale Luba, której jedno ramię zostało na wpół kalekie, co w znacznym stopniu wpływało na jej psychiczne usposobienie, nie miała zrozumienia dla tego rodzaju przenośni. Flor pozostawał tedy sam na sam ze swoją cieplarnią. Gdy się przeciskał wąskim przejściem pomiędzy półkami zieleni i kwiatów w tropikalnym cieple, które wytwarzał w glinianych rurach, na przekór jesiennym chłodom, odczuwał to tak, że niby walczy przeciw złym duchom. Bywało, że mrużąc oczy, przenosił wzrok z czerwonych pelargonii na szklany dach, po którym ciekły strugi, i uśmiechał się zwycięsko. Bywało, kręcił się po oranżerii cały dzień pozornie bez potrzeby: to pomaca ziemię palcami, poprawi doniczkę; siądzie, zapali papierosa i wymyśli coś takiego, żeby było jeszcze pełniej, jeszcze zieleniej. Do jakiego stopnia opanowany był tą manią, odczuł dopiero, gdy przyszła katastrofa i pożar zniszczył całe dzieło. Można by powiedzieć, że nigdy przedtem, nawet na wojnie, nie doznał takiej paniki. Zobaczył przed sobą po prostu - pustynię pozbawioną oazy. Czy miał uczucie, że już nie jest zdolny do rozpoczęcia czegoś na nowo, czy też tak dalece nie miał ochoty na nic innego, ale instynktownie, jak tonący, postanowił chwycić się dosłownie wszelkich środków, by odratować stratę, i to zaraz, natychmiast, zanim będzie za późno! Swojego czasu pożyczył od Heleny pieniądze na założenie przedsiębiorstwa. Spłacał dług regularnie, ale w drobnych ratach, jak się umówili i daleki był jeszcze od uiszczenia całości. Przez dwa dni po pożarze zastanawiał się, czy może się do niej jeszcze raz zwrócić o pomoc, nie spłaciwszy poprzedniej

pożyczki. Prawdopodobnie by nie odmówiła, sądził nawet, że na pewno by nie odmówiła. Ale nie chciał. Helena pozostała dla niego czymś więcej w życiu niż nawet oranżeria. Wiele uczuć bardziej skomplikowanych składało się na jego miłość do Heleny i nie mówił o tym nawet z samym sobą, nie analizował ich i nie babrał się w nich. Poza tym wobec Heleny odczuwał zawsze pewne, krępujące go onieśmienie. I wtedy to wpadł mu do głowy pomysł, aby się zwrócić do Leszka. Teraz, gdy znów stanął na nogi i odzyskał wewnętrzny spokój, zjawiała się Anastazja. Przyszła rano zamówić jarzyny do szpitala. Dotychczas rzadko robiła to osobiście, czasem

233

kogoś przysyłała, najczęściej jednak on sam zachodził w regularnych odstępach czasu, by się upewnić, co i kiedy należy dostarczyć.

Pleciony koszyczek przewieszony miała za rączkę na łokciu, a dłoń opartą o jego krawędź, i w ten sposób balansując nim z lekka na wysokości brzucha, zapytała Lube, gdzie mąż.

- Gdzie ma być! - Luba, od paleniska płyty, do którego przykucnąwszy wsadzała drewna, uczyniła ruch podbródkiem, wskazując kierunek na oranżerię.

Anastazja zabalansowała pustym koszykiem, obrzuciła okiem kuchnię, kiwnęła głową i wychodząc, powiedziała już od progu:

- Jarzyn przyszłam zamówić.

Luba coś odburknęła.

Zapach cieplarni podobał się zawsze Anastazji. Wchodząc wciągała nosem powietrze i wydmuchała je głośno przez usta.

- Phuuu! Ciepło. Jak latem w lesie. - Zatrzymała się przed nową odmianą fiołka alpejskiego, delikatnie dotykając go palcami. - O, to ładne jest.

- Dzień dobry - odezwał się Flor, niewidoczny w drugim końcu za masą zieleni.

- Taki on dobry, jak i wczoraj.

- A wczoraj był zły?

Anastazja nie odpowiedziała, wachając kwiatek, który miał zapach po prostu tylko świeżej rośliny.

- Nie pachnie - powiedziała.

- Nie wszystko pachnie, co ładne - mruknął Flor i czekał, co mu ma do powiedzenia.

Anastazja zaczęła mówić niby to o jarzynach, ale wkrótce zmiarkował, że raczej jakaś inna sprawa przywiodła ją dziś rano. Odłożył nożyce do obcinania łądy i siadł na złożonych w kształcie ławki deskach; nie zaprosił Anastazji, tylko zostawił jej obok wolne miejsce. Jakoż ona usiadła nie proszona, kręcąc przed kolanami koszykiem.

- Do tego koszyczka chcesz kupić jarzyn dla całego szpitala? - zażartował.

234

Zaśmiała się.

- To konia swego już nie masz, żeby dostarczyć?

- Mam konia. Owszem. Uratowałem.
- Ładnie się odbudowałaś.
- Uhum. - I po namyśle: - Co, nie widziałaś przedtem?
- Widziaaałam. A do koszyczka, myślałam, doniczkę jakąś kupić. Ale chcę, żeby kwiatek był piękny.

- Wybieraj - splunął tytoniem i roztarł butem, odwracając twarz w przeciwnym kierunku. Flor handlował i sprzedawał, ale każdego kwiatu było mu trochę żal.

Anastazja zaczęła od obojętnych pogłosek miejskich.

Rynek ma być przeniesiony z placu cerkiewnego na specjalne miejsce, prawie za miastem. Będzie daleko chodzić.

- Słyszałem już - odparł lekceważąco Flor.

Wtedy przeszła do różnych babskich plotek jak to przyjazd nowego kierownika szkoły, który miał żonę, o której znowuż mówili, że... Flor ziewnął, nie wiadomo prawdziwie czy umyślnie. Anastazja sądziła, że z tej paplaniny łatwiej jej będzie przejść na temat Leszka. Po kilku słowach wstępnych, że go widziała i „czy wie, że on tu jest od kilku miesięcy leśniczym?” (Flor kiwnął milcząco głową) przeszła do pogłosek, o jakich słyszała. Powiedziała to jedynie, co uważała za stosowne.

Same rzeczy powierzchowne, pozbawione wszelkiej intymności. Tylko, co usłyszała rzekomo z boku. Że żona jego jest bardzo ciężko chora. Że podobno znalazł się w trudnej sytuacji. Bardzo trudnej. Ma jakieś poważne przykrości w urzędzie, i mówią, że go mogą zwolnić z posady. Od kogo o tym słyszała, nie mówiła i Flor nie pytał. Słuchał na pozór obojętnie. - Jak to się wszystko dziwnie kręci... - zakończyła, stawiając wreszcie koszyczek na ziemi.

- Hm, taaak... - mruknął za całą odpowiedź Flor i ciągle o nic więcej nie pytał.

Anastazja wiedziała, że Flor może się domyślać, że ona wie, ale dopóki nie zostało to powiedziane, czuła się niczym nie skrępowana w grze, którą prowadziła. Podjęła więc temat na nowo i jeszcze bardziej zgęściła barwy wokół fatalnej rzekomo sytuacji Leszka. Żona jego ma przejść ciężką operację, czy Flor o tym słyszał?

235

- Może być - przytwierdził, a jednocześnie pomyślał: „Zdradza już on swoją żonę, to jak pić dać!” Nie dał po sobie poznać, czy współczuje Leszkowi. Chyba jednak tak, gdyż zapytał po chwili:

- To ona operowana być ma w naszym szpitalu?

Było zupełnie naturalne, że Flor nie mówił do Anastazji w „waszym”, tylko w „naszym” szpitalu. Anastazja, która starała się mówić tonem obojętnym, udała, że myśli już o czym innym:

- Kto? Ania... To jest żona? Tak, w szpitalu.

- To ona Ania się nazywa?

- Zdaje się...

- Z jakiego to imienia.... Może Anastazja też? - uśmiechnął się złośliwie kącikiem ust, przyglądając własnym palcom.

- Nie wiem nawet - wzruszyła ramionami.

- Ech... - Flor chciał coś powiedzieć, ale nie powiedział. Natomiast po dłuższej pauzie, pod wpływem wewnętrznego zdenerwowania, które maskował niewzruszonym spokojem na zewnątrz, odezwał się zagadkowo:

- Ty, Naścia, widzę, lepszą ambasadorową jesteś niż kochanką.

- Ja?! Przy czym tu... - Zaskoczył ją tym nagłym zwrotem.

W istocie nie przyszła z niczyjego polecenia ani niczyjej prośby. Wyłącznie z własnej inicjatywy. Wczoraj, po wyjściu Leszka, przyszło jej nagle do głowy, że on może się nie zgodzić przyjąć bezpośredniej pomocy od Heleny. - „Dlaczego?” spytała tamta. „Może po prostu nie chce”. Helena zrazu na to nie odpowiedziała. Dopiero później dorzuciła, że może rachunek sama zapłacić, nie pytając go, jeżeli już o to tak bardzo chodzi. Wtedy Anastazja rozpatrzyła sprawę z odwrotnej strony: jak to będzie wyglądało? Tak ni stąd, ni zowąd miesza się jeszcze trzecia osoba. I co ten Żyd pomyśli? - „A niech myśli, co chce”, odparła Helena. - „Nie”, zareplikowała Naścia”, trzeba, żeby to sam Flor załatwił”. - „On tym bardziej może nie zechcieć wziąć ode mnie”, zauważyła Helena, „a ja nie mam prawa mu narzucać ani wkraczać w jego sprawy osobiste, ani jemu nauk moralnych dawać. To jego rzecz”. „Dobrze”, odpowiedziała Anastazja, „to ja zrobię, że on sam to zrobi”. -

236

„Oj, Naścia, rozmażesz całą sprawę i jeszcze skomplikujesz!” - „Nie bój się”, odpowiedziała, „to już moja rzecz”. - Oto jak było, a teraz Flor ją pomówił, że jest cudzą wysłanniczką. Nie namyślając się, odpaliła:

- Każdy czymś musi być. Jak nie jestem doktorową, to chociaż ambasadorową. - Znaczenie tych słów pozornie nie miało żadnego sensu, ale Anastazja wiedziała, że samo wspomnienie Heleny zawsze jeszcze wprawiało Florę w rodzaj zmieszania.

- Dobrze, dobrze - pokiwał głową i ażeby skończyć całą rozmowę, wstał, wziął doniczkę z fiołkiem alpejskim i wstawił ją do koszyczka Anastazji.

- To ile się należy za ten kwiatek? - spytała.

- Nic. Prezent.

Już będąc na progu, Anastazja zatrzymała się, niezdecydowana, i odwróciła twarz do Florę. Ten spuścił oczy, uśmiechnął się kącikami ust i dotykając delikatnie jej pleców, jakby ją popychał do wyjścia, kiwnął porozumiewawczo głową:

- Dobrze już, dobrze.

Mimo wszystko, gdy Anastazja wracała do domu, nie była pewna, czy misja jej osiągnęła zamierzony skutek. Natomiast przekonana była w dalszym ciągu, że jeżeli Helena zgodziła się tak chętnie pomóc Leszkowi, to jedynie ze względu na jej, Anastazji, interwencję i prośbę.

Flor, po wyjściu Anastazji, stał czas jakiś w dusznym powietrzu roślin i coś w sobie ważył. Potem zamknął oranżerię z zewnątrz na kłódkę, przeszedł się po podwórzu, znów przystanął. ZaJrzał jeszcze do chlewu, przechylając się przez

barierę, sięgnął ręką i postawił na miejscu koryto, wywrócone przez wieprzaka dnem do góry. Jeszcze raz przemierzył w zamyśleniu podwórze. Anastazja mówiła nieprawdę: dzień dzisiejszy nie był taki sam, jak wczoraj; deszcz nie padał, wiatr ustał, niebo było jednostajne, szaromleczne, nieruchomo nawisie nad miasteczkiem. Wolnym krokiem skierował się do domu, zrzucił roboczą kurtkę i zaczął się myć.

- Dużo ona zamówiła, ta dziewczyna? - Luba nie zносиła Anastazji i zawsze się o niej tak wyrażała.

237

Dopiero teraz Flor zdał sobie sprawę, że o rzekomym zamówieniu jarzyn do szpitala oboje zapomnieli zupełnie.

- Niedużo... - odparsknął wodą, pochylony nad miednicą i ruszając nagimi plecami, od czego jego szelki zwisające w dół na guzikach kiwały się w powietrzu.

Ubrał się tak, jak zwykł był to czynić, gdy wychodził w sprawie ważniejszych zamówień na kwiaty, niezbędne na przykład na fest do kościoła czy cerkwi, albo gdy ktoś umarł z bogatszych obywateli lub zacniejszych urzędników. Poza dorocznymi świętami, a zwłaszcza Wielkanocy, sprzedawał też trochę na okazyjne śluby... (Nie, Leszek na swój nie kupił od niego kwiatów; ślub odbył się po kryjomu)... Ale też i biedni ludzie kupowali z jego straganu na rynku, czasem jakąś prymulkę, a nawet droższą pelargonie, aby upiększyć swe biedne mieszkanie. Flor włożył marynarkę, jakiś tam krawat, wyczyścił starannie cholewy butów. Później kluczykiem otworzył szufladę, wyjął z niej jakiś karteluszek, spojrzął na ścienny zegar i wyszedł do miasta.

Helena o tej porze kończyła zazwyczaj przyjmować chore w domu. Doktor nie wrócił jeszcze ze szpitala.

Gdy Flor zadzwonił do drzwi, zastał ją samą, jak tego pragnął. Dusił go trochę, zbyt ciasno widocznie zawiązany, krawat, więc rozluźnił nieco kołnierzyk, oprowadzając wskazującym palcem wokół szyi. Odchrząknął ze dwa razy.

- Z czym dobrym? - Helena ułatwiła mu rozpoczęcie rozmowy. Patrzyła na niego bez uśmiechu. W stosunku do Flora wyzywała się zawsze wszelkiej sztuczności w manierach. Za całą jego wierną i bezinteresowną miłość, od wojennych lat szpitalnych aż do ostatnich czasów, gdy tak dalece rozdzieliła ich sytuacja i materialna, i socjalna, odpłaca mu jednym tylko: bezwzględna szczerością. Flor o tym wiedział i przywykł jak do własnego życia.

- Była u mnie Naścia... - zaczął niechętnie i zrobił pauzę.

-Ja jej nie posyłałam.

- To może kto inny...

- Nie wiem. Nie zdaje mi się.

238

- Aha. No, wszystko jedno... - I wyznał z czym przyszedł.

Mianowicie prosić ją jeszcze o pieniądze. Wysilek, który uczynił, aby się przemóc, odbił się na jego twarzy. Wyraźnie przybladł. Helena nieznacznie tylko zmieniła pozycję głowy. Światło dzienne, przyćmione mlecznymi chmurami, padało

teraz wprost na jej twarz.

„Ech, ty, błękitne oczy!”... boleśnie zateęsknił nagle Flor i z hamowanym westchnieniem zawisnął wzrokiem nad tanim, ale ładnym dywanem fabrycznej roboty. Przyglądając się kolorowym wzorom, mówił, że winien jest Leszkowi i że teraz, dowiedziawszy się właśnie o jego sytuacji, chciałby mu koniecznie zwrócić.

- Niech tam, już jego... - Co mogło znaczyć, że nie pragnie jego krzywdy.

- Słuchaj - przerwała Helena - czyś ty mówił kiedykolwiek Lubię, kto...

Flor zrobił przeczący ruch głową:

- Po co ja będę jej mówił?

Helena zamyśliła się o czymś, ale ocknęła natychmiast:

- Zaraz ci dam.

- Tylko widzisz, taka sprawa wychodzi, że ja tobie jeszcze tamtych nie zwróciłem... A tu o nowe przyszłem prosić. I nie przyszedłbym, ma się rozumieć, ale... Sam nie wiem...

- Podniósł na nią wzrok, jakby oczekiwał od niej rady czy wyjaśnienia własnego postępowania.

- Tamte - odparła Helena - to była pożyczka. Zwrócisz wtedy, kiedy będziesz mógł. A tych, które teraz... nie potrzebujesz zwracać wcale.

- Dlaczego tak?

- A ot sobie, tak. Bo jak ty to lubisz mówić - i uśmiechnęła się do niego - tak właśnie wychoodzi... - przeciągnęła ostatnie słowo.

- Hm. Nie bardzo ja rozumiem, dlaczego tak ma wychodzić.

- Pomyśl, to może zrozumiesz. A nie pamiętasz, to też nieważne.

- Cóż, ja wiem, że ja człowiek nieważny jestem, ale...

239

- Nie chodzi o to, Flor. Ty dla mnie bardzo ważny byłeś w życiu i jesteś. Tu o co innego chodzi. A czy pamiętasz, czy nie: twoja rzecz.

- Coś „innego”? - Wyjął z kieszeni karteluszek papieru, który zawierał wykaz towarów, wraz z cenami, dostarczonych mu przez firmę Szapiry i rozpostarł go palcami na biurku.

- Zdaje się, że ten towar to dla mnie był przeznaczony.

- A ja zapłacę.

- Ty masz płacić?

-Ja.

i - Hm.

- A ty uważasz, że ja nie mam nic do zapłacenia?

- Po mojemu nie.

- A po mojemu, ja jeszcze dobry interes na tym robię.

li - W rachunkach płaci ten, kto winien.

- A w życiu, Flor?

On pomilczał chwilę, a później wzruszył ramionami:

- Ja wiem, wiem, Heła, do czego ty kierujesz - zaczął cicho.

- Nie myśl, że ja taki głupi jestem. Może od początku wiedziałem, jak zaczęłaś mówić. Ale rzuć to! Dziecinada to

wszystko, więcej nic. Może, żeby Pan Bóg był w niebie, jak ucą, no to jeszcze... Ale, tak... - machnął lekceważąco ręką.

- Dla ciebie „tak”, ale dla mnie może jest!

- Daj spokój, Hela. Może cię jeszcze ten proszek... Te trochę sody do picia w papierku gryzie w sumieniu! Śmieszne to. Wyrzuć ty to z siebie. Tyle lat.

- Nie tylko proszek, nie tylko proszek! Ty sam najlepiej wiesz, że nie tylko! Ty nie widziałeś! Jak go wtedy przyniesiono, myślałam, że czaszkę miał rozłupaną, całego we krwi i błocie!... Ach, może to i nie to zresztą, a w ogóle!... Całe to koszmarnie... - Była zmieniona na twarzy i jakże podobna jednocześnie do tej dawnej Heli sprzed lat sześciu. Oczy jej utraciły raptownie normalny błękit i zrobiły się prawie koloru stalowego.

Dawno już, dawno nie widział jej takiej.

- Co tam rozdrapywać stare rzeczy - wtrącił pojednawczo.

240

Helena uspokoiła się z wolna. Wyprostowała, była znowu sobą. Ledwo widoczny uśmiech zażenowania błąkał się na jej wargach.

- Prawdę rzekłszy - podjął powoli Flor - to on sam jeden wszystkiemu i zawinił.

- Jaką prawdę rzekłszy?

- Jedna jest tylko.

- Nie, Flor. Nie jedna; dwie. Jedna prawda między ludźmi po ulicy chodzi. A druga prawda, gdy nikogo nie ma, w czterech ścianach pokoju siedzi. Ot, i my z tobą teraz w czterech ścianach siedzimy i znamy naszą prawdę. Po co siebie oszukiwać. Masz rację, że nie potrzebujemy rozdrapywać. Wiemy, jak było... Ot, ty, z kaleką się ożeniłeś. On o włos życia nie postradał. A ja... niech drobny chociaż rachunek... Tym się chcę wykręcić. Zgadujesz? Do wspólnej puli, do wspólnej puli. I pod nią na razie: kreska. A tam dalej, zobaczymy. Życ będziemy jeszcze. Może od tego właśnie żyć będzie lżej, nie? Flor?

- Twoja wola. Możemy spróbować i tak.

- No, widzisz!...

- I tylko dlatego to robisz? - spytał bardzo cicho.

Ona wstała i wyszła do sąsiedniego pokoju w milczeniu.

Wróciła za chwilę, niosąc w ręku plik banknotów. Siadła przy swoim stoliku i zaczęła przeliczać. Czas jakiś słychać było tylko szelest odwracanych papierków. - Same drobne... - powiedziała na usprawiedliwienie, nie odrywając wzroku od pieniędzy.

Flor patrzył na jej palce i z nagłą przerwał ciszę:

- Hela, a czy Naścia... Ona wie o tym wszystkim ?

- Oj, pomyliłeś mi rachunek! Co? Czy wie?... - Liczyła dalej. Skończyła, wyrównała banknoty, postukawszy je brzegami o blat stolika i zaczęła zwijać w ten sam karteluszek, który Flor przedtem położył. - Nie wiem, czy wie wszystko... Ale jeśli nawet wie, to co z tego. Pozostanie w rodzinie... - uśmiechnęła się prawie zalotnie oczami, które znów stały się błękitne.

Flor wziął od niej paczkę i chował do bocznej kieszeni. W tej chwili doszedł ich z przedpokoju wyraźny zgrzyt klucza wsadzanego w automatyczny zatrzask u drzwi

241
wejściowych. Później skrzypnięcie; ktoś wszedł do mieszkania; jakiś czas dreptał w miejscu, widocznie wieszając na szaragach kapelusz, palto, laskę. Następnie twarde, ale nie równomiernie stawiane kroki przeszły korytarzem, zdawało się, że zatrzymują się przed drzwiami do pokoju Heleny, ale minęły i słychać było jak się oddalały, aż w odległym kącie mieszkania dźwiękła naciśnięta klamka, otworzyły się i zatrzasknęły za człowiekiem drzwi.

Helena sięgnęła po papierosa i w roztargnieniu zapomniała poczęstować Flora. Z miasteczkowej ciszy za oknem wyrwał się raptem stuk żelaznych obręczy kół po kamieniach i tętent konia pędzonego galopem. Chłop jakiś poganiać musiał po pijanemu i śpiewał przy tym na całe gardło. Stuk przygłuszał słowa i dochodziło jedynie rozciągnięte fałszywie słowo:

- ... mojaaa!... mojaaaa!...

Flor zaczął aż hałas umilknie i spytał obojętnie, patrząc wciąż w okno, jakby ze swego miejsca mógł dojrzeć oddalający się wóz:

- A co u doktora słychać?

- Nic nie słychać - odpowiedziała Helena, strącając z uwagą popiół, aby nie zbrukać serwety na stoliku. - To samo, co zawsze. Cóż ma być słychać takiego?

Po wyjściu od Heleny, Flor chciał się udać od razu do Szapiry, by nie odkładając uregulować rachunek, ale przypomniał sobie o jarzynach i po drodze wstąpił jeszcze do szpitala, by przyjąć zamówienie.

Tego samego dnia wieczorem odwieziono Anię do szpitala i położono w pokoju przeznaczonym na oddział kobiecy. Przypadek mógł zdarzyć, że na tym samym łóżku, na którym swego czasu leżała... na przykład Luba. - Tak przynajmniej pomyślał sobie Leszek.

A nazajutrz rano, jak zwykle punktualnie, przyszedł do szpitala doktor Dawidowski.

242

Nie umarła. Operacja się udała. Kryzys przyszedł dopiero później.

Leżała blada, straszliwie wymizerowana, wpatrzona w sufit. Gdy do niej zagadywano, czyniła wysiłek, aby obrócić głowę na poduszce w kierunku mówiącego, a nawet uśmiechnąć się ustami. Leszek był w rozpacz. Ludzie odczuwali litość na jego widok. Wychudł straszliwie, chodził jak błędny. Anastazja, gdy go zobaczyła po raz pierwszy w tym stanie, uczuła nagle bolesne ukłucie: był tak wymizerowany, że upodabniał się w tym prawie do swej chorej żony...

Spadł pierwszy śnieg i stopniał. Spadł drugi, który się trzymał cały dzień. Pod wieczór nastąpiło niespodziewane

ocieplenie. Z dachów zaczęło zrazu kapać, później siać ciurkiem. Ludzie o tej godzinie nie sprząтали już chodników, więc utworzyła się na nich jasnobrudna kasza, rozłaząca pod każdym stąpieniem. W powietrzu stała taka wilgoć, że latarnie uliczne wylały się z niej jak spowite tumanem, chociaż nie było mgły. Zatkane śniegiem rynsztoki nie przepuszczały wody i na jezdni potworzyły się kałuże i rozlewiska, niby wczesnej wiosny podczas roztopów.

Tego to właśnie wieczora Ania czuła się najgorzej. Helena prawie od południa bez przerwy przesiedziała koło jej łóżka.

243

Pod wieczór, gdy wszystko zaczęło topnieć, poszła odszukać swego męża-doktora, ażeby się z nim nad czymś naradzić. Gdy Leszek zaszedł do Ani, zastał na jej stoliku śliczne chryzantemy.

- O! - wykrzywił twarz, imitując uśmiech. - Skąd masz takie piękne kwiaty?!

Ania chciała zwrócić głowę w jego stronę na poduszce, ale pozostała z wółprzymkniętymi powiekami, na wznak, nieruchoma, tylko wargi jej zadrżały.

- Co mówisz? Kochana? Aniućka?! - szeptał Leszek nachylając się nad jej twarzą, a miał wrażenie, że mu w gardle stoi jakiś twardy przedmiot i tamuje przętyk.

- Myślałam... - szepnęła i odpoczęła chwilę. - Że... to od ciebie...

Leszkowi zaćmiło w oczach. Poczul teraz fizyczny ból w całym ciele, który się skupiał zwłaszcza w końcach palców. Zacisnął je, wbijając paznokcie w dłoń... - On jej nie kupił nigdy, nawet na tę nieszczęsną uroczystość ślubną... - Zmusił się jednak do uśmiechu, a nawet powiedział wesoło:

- Nie!... To nie ja. Może jakiś ukryty twój wielbiciel!

Ona też próbowała się uśmiechnąć, ale nic z tego nie wyszło. Wziął jej rękę w swoje, była zimna, zaczął na nią bezmyślnie chuchać. W tej chwili miał wrażenie, że te kwiaty muszą być na pewno od Flora.

Wróciła Helena i odebrała od niego rękę Ani. Liczyła puls.

Na twarzy Leszka malowało się teraz przerażenie:

- Niech pan teraz idzie i... nie boi się niczego. - A gdy stał bezwolny, powtórzyła: - Proszę iść, proszę iść. Ona teraz będzie spała.

Wtedy wyszedł i zrobił to prawie z ulgą. Poczucie bezmiaru bezradności przy łóżku chorej potęgowało jego rozpacz.

W korytarzu minął Anastazję, która coś do niego zaczęła mówić, ale zauważywszy, że on nie słucha, urwała. Gdy wyszedł na ulicę, wydało mu się, że tak właśnie powinno być, żeby latarnie stały spowite we mgle. To odpowiadało zamgleniu, jakie panowało w jego głowie. Jasnego słońca nie mógłby chyba sobie wyobrazić, stanowiłoby rzecz nie do zniesienia. Na szczęście wszystko wokół odpowiadało

244

konsekwentnie temu nastrojowi. Od wczoraj ustały wiatry. Nic nie przeganiało zastałego powietrza, nie nawiewało ani chmur

deszczowych, ani śniegu, ani mrozu, który by oczyścił atmosferę.

Wóz jakiś jechał w ciemności, rozchlapując błoto na bruku. Słysząc było wyraźnie, jak podkowy przecinają śniegową kaszę i uderzają o kamienie.

Za Leszkiem stuknęły drzwi wyjściowe. Ktoś wyszedł, przystanął obok niezdecydowanie, postać chwilę i powiedział:

- Ech, i pogoda... - To był Flor.

Leszek stał wciąż w niezapiętym palcie i przyglądał się jednej tam latarni.

- Taaak... - powtórzył jak echo za tamtym głosem.

- Pogoda!...

Potem pocłapali razem, idąc obok siebie po roztajającym śniegu na chodniku. Jedna latarnia się oddalała, zbliżała następna. „Jak wtedy, na patrolu”, przemknęło w głowie Leszka i znów wszystkie myśli ugrzęzły w bezosobowym chaosie.

- A co stało się z tym, co przychodził do ciebie, koleżka taki? - spytał Flor, widocznie byle coś powiedzieć.

- Koleżka? Koleżka? - zastanowił się Leszek, nie mogąc przypomnieć, gdzie po raz ostatni słyszał to słowo. Brzmiało nieprzyjemnie. - Który? Kostek może?

- Aha, zdaje się.

- Zabity.

- Tu, na tym froncie? Czy gdzie?

- Czort jego wie. Nie wiem nawet.

Szli milcząc. Jedna latarnia się oddalała, druga przybliżała. Później róg ulicy. Jedne latarnie prowadzą na lewo, drugie na prawo, a te na wprost giną we mgle. Zapewne we mgle placu cerkiewnego. Człowiek przeszedł, połyskując mokrymi kaloszami. Raptem, niewidoczna w ciemności roześmiała się młoda kobieta i rozległy się urywane słowa innej. Leszek drgnął i zatrzymał się.

- Tsss... - syknął Flor odruchowo, jakby to było nie na ulicy, ale w kościele.

Minęły ich, przytulone pod jednym parasolem, zajrzały im w twarz i zniknęły chichocząc.

245

- Może zajdziemy tu? Napić się czego? - zaproponował Flor.

- Gdzie?

- Tu, o.

Zawrócili na lewo. Leszek myślał, że trzeba zapiąć palto, ale nie zapinał. - Toś ty przyniósł kwiaty? - zapytał.

- Które kwiaty?

- Chryzantemy. Innych przecie nie było.

- A, chryzantemy. To ja.

Szli teraz bardzo wolno, bo chodnik w tym miejscu zwał się do szerokości jednej deski. W oddali, do światła latarni uczepiła się z boku, idąca od okna w murze, żółtawa smuga. Rozłaziła się w powietrzu jak plama na serwecie. Zaszli do szynku, pochylając głowy w niskich odrzwiach.

Flor coś zamawiał przy bufecie, podczas gdy Leszek

siedział u stołu ze złożonymi rękami. Gdy tamten wrócił, czekali aż im podadzą. Gdy podali, siedzieli dalej milcząc. Leszka zwłaszcza drażniło światło.

Nagle Flor zaczął szukać czegoś z roztargnieniem po kieszeniach. Wyjął w końcu papier, na którym widniało wiele cyfr, a w poprzek stempel: ZAPŁACONY. Podsunął nieśmiało Leszkowi:

- Chciałem... to oddać - mruknął.

Leszek ledwo spojrzał i kiwnął głową.

- Myślisz, wyżyje ona? - spytał.

Flor się zastanawiał. Leszek wpił się w jego twarz z rozpaczliwym skurczem powiek, jakby odpowiedź, której oczekiwał, miała być wyrocznią. Nigdy jeszcze z taką uwagą nie studiował oblicza Flora. Widział na nim każdą zmarszczkę, zacięcie od golenia na prawym policzku, każdy krąg pod oczami. Ale Flor nie dlatego zmilczał, by wątpił, tylko dlatego, by słowom wypowiedzianym z dłuższym rozmysłem przydać więcej wagi:

- Na pewno - odpowiedział w końcu.

- Skąd wiesz o tym?

- Hela zapewniła.

- Hela!... - przeciągnął z gorzkim rozczarowaniem Leszek.

- Może mówić, byle pocieszyć...

246

- Ale do mnie tak mówiła, przecie. Nie do ciebie. -I poparł swoje słowa ukośnym gestem dłoni, przecinającym wszelką wątpliwość.

Nie, nie umarła. Wyżyła. Helena miała rację.

W cztery dni później spadł trzeci śnieg i zaraz potem niebo się przejaśniło. Przyszedł mróz i wszystko wokół zaiskrzyło się białą powłoką. Zrobiło się jasno, czysto. Mróz był niewielki i śnieg niegłęboki, ale do spółki sprawiały wrażenie prawdziwej zimy. Kryzys minął. Od tego dnia zdrowie Ani zaczęło się polepszać szybko. Nie było żadnego związku przyczynowego pomiędzy zmianą na lepsze pogody i zdrowia. Po prostu nastąpił zbieg okoliczności. Leszkowi jednak, gdy wychodził teraz ze szpitala po wizycie u Ani, znów się wydawało, że tak właśnie powinno być: jasno, wesoło w dzień, a wieczorem: skrzył się śnieg pod latarniami i widać je było, te latarnie, daleko, wyraźnie w długim rzędzie. Ludzi też było więcej na chodnikach, i trzeźwych, i pijanych; śmiech kobiet nie raził. Ale Ania się nie śmiała. Leszkowi pierwotna radość przesłoniła ten fakt; zauważył go dopiero później. Ania nie tylko śmiać, nie chciała się nawet uśmiechać. Zaszło w niej jakieś przeobrażenie wewnętrzne. Po prostu jakby jej doktor Dawidowski chirurgicznym nożem wyciął z ciała wszelką radość. - „Co ci jest, Aniućka?” - pytał Leszek, a ona zbywała pytania byle jaką odpowiedzią. Przez czas dłuższy nie mógł zrozumieć, dlaczego tak jest? Właśnie gdy doznała takiej troskliwości, jak nigdy może dotychczas, gdy stanowiła w swym łóżku ważne centrum, a przy łóżku na stoliku nie więdły nigdy cięte kwiaty - prawie zniecierliła swe

otoczenie. Odczuwała niechęć do doktora Dawidowskiego, do Anastazji, nawet do Flora, którego przecie poznała o tyle tylko, że klaniał się jej ze dwa razy od progu i życzył rychłego wyzdrowienia; zrodził się w niej niczym nie uzasadniony żal do Heleny Dawidowskiej, którą jeszcze tak niedawno skłonna była idealizować. Nie znosiła szpitala, widoku przez okno na pokryty śniegiem ogródek i drzewa owocowe za parkanem, które należały do ojca Mikołaja. Stąd przenosiła narastającą w niej odrazę na resztę miasteczka. A przecie bronila go

247

niegdyś przed surową oceną Leszka! Nagle zaczęła chować głowę w poduszkę, gdy usłyszała krakanie wron.

Tym większym natomiast przywiązaniem i miłością darzyła Leszka. On przecie zawsze chciał ją stąd wyrwać.

Teraz przyznawała mu rację i uważała, że jest pokrzywdzony, że padał wciąż ofiarą niesprawiedliwości i niezrozumienia.

- Ostatecznie, to nie jest dla ciebie miejsce - mówiła. - Tyś chyba zasłużył na coś lepszego, niż siedzieć w tej zabłoconej mieścinie! Tobie się należy, należy, rozumiesz...

- Oczywiście, oczywiście - przerwał jej - sama wiesz, jak bardzo nie chciałem obejmować tego stanowiska. Ale znowuż nie trzeba wpadać w drugą krańcowość.

- Jak to krańcowość! - przerwała mu. - Ty, który jesteś, co tu dużo gadać, bohaterem...

- Cccicho... - syknął, bo właśnie na salę weszła Helena i zbliżała się do jej łóżka; zapytała, czy Ani czegoś nie trzeba.

- Dziękuję. Nie - odparła krótko.

Gdy tamta wyszła bez słowa, Ania podjęła na nowo:

- Dlaczego jesteś taki drażliwy? Nie masz się znowu tak bardzo czego wstydzić!

- Daj spokój. Nie ma nic głupszego niż się obnosić ze swym... - znowu nie dokończył, tylko przełknął ślinę.

- No, ja w każdym razie nie mam powodu, aby się za ciebie wstydzić! Jeżeli chcesz wiedzieć, to mówię o tym każdemu.

- Komu, na przykład? - spytał cicho Leszek.

- A chociażby doktorowej, która przecie ciebie i tak zna.

- I co ci na to odpowiedziała? - pochylił się i skręcał warkoczyk z frędzłów nowej chustki, którą Ania przykryta była powierch kołdry.

- Opowiadała, jak cię przyniesiono, jak włosy miałaś zlepięte krwią, że myślała, że godziny nie wyżyjesz... No, wszystko opowiadała. - Mnie jest naprawdę przykro, że jestem taka rozdrażniona i że nie umiem się opanować. Bo ona szczerze jest dobra, i bardzo życzliwa i dla mnie, i dla ciebie... I ta Anastazja, która tu zarządza gospodarstwem, też jest dla mnie bardzo miła i wszyscy są bardzo dobrzy. No, aleja... nie mogę już dłużej wytrzymać! - Miała raptem łzy w oczach.

248

- Kochanie moje, ale dlaczego właśnie teraz, gdy się wszystko tak dobrze skończyło?

- Dobrze! - wyrzuciła z goryczą, ocierając policzek. - Ty to nazywasz: „dobrze”. A ja tak chciałam mieć dziecko! A teraz

nie wiadomo, czy będę mogła kiedykolwiek... A ty mówisz:

„dobrze"! Przekłeta miścina!

Leszek ujął ją swoim zwyczajem za rękę, chciał szczerze wzbudzić w sobie wielkie współczucie dla jej nieszczęścia, ale w tym wypadku nie potrafił wykrzesać z siebie głębokiego przekonania i tylko gładził wierzch jej dłoni.

Ania, która codziennie układała nowe plany i perspektywy wyjazdu, wpadła między innymi na pomysł, aby napisał alarmujący list do stryja Cezarego:

- Stryj Cezary jest nieoceniony - mówiła. - Jeżeli już raz potrafił ciebie wpakować w tę dziurę, to niech teraz wydostaje. On to potrafi, zobaczysz.

- Co ty mówisz! Przecież znasz chyba całą historię i moją kłótnię ze stryjem właśnie o tę posadę. Nie chciał nawet słuchać żadnych argumentów...

- Tamte argumenty były psu na budę! To ci teraz powiem. Wtedy on miał rację. Ale teraz nie pisz żadnych głupstw, a na przykład... - ożywiła się i siadła w łóżku. - Na przykład, że ja jestem zagrożona galopującymi suchotami, że tu jest straszna wilgoć, nieodpowiednie ciśnienie i tak dalej i że w tej chwili, ale natychmiast, muszę być przeniesiona... no, powiedzmy, w góry, o! Bo inaczej umrę.

Tegoż wieczoru Leszek napisał długi list do stryja. Zaczął od tego, iż ze skruczą wyznał mu swój poprzedni brak opanowania; dziecinną histerią nazwał własne opory przeciw objęciu tej posady. Przeciwnie, teraz widzi, że nie on, ale stryj miał naturalnie rację, i bardzo ówczesnego swego postępowania żałuje. Ale oto w międzyczasie zaszła straszliwa komplikacja! W tej chwili, to już nie jest głupia fanaberia, ale chodzi o życie Ani! W tym klimacie, pisał, każdy dzień spowodować może katastrofę... - i tak dalej, i tak dalej, jak go Ania nainstruowała.

249

Gdy nazajutrz Leszek przyszedł do szpitala, sądził, że ucieszy Anię wiadomością o wysłaniu tego listu. Jakoż z początku ożywiła się trochę, ale wkrótce wpadła znów w zamyślenie. W pewnej chwili, unikając wzroku męża, zaczęła nieśmiało:

- Słuchaj... Chciałam się o coś zapytać... Ale odpowiedz mi naprawdę szczerze...

Wyraz zakłopotania i powagi, malujący się na twarzy Ani, zaniepokoił Leszka. Nie przerywając jej, słuchał z naprężeniem.

- Powiedz mi... - mówiła ociągając się. - Czy ty ciągle jeszcze bardzo kochasz ten swój las, puszcę?... Pamiętam, że tak ładnie o niej opowiadałeś i ona istotnie jest piękna... ale...

Wiesz, czybyśmy nie mogli wymyślić czego innego?

- Jak to, wymyślić?! - Leszek odetchnął głęboko.

- No, żebyś po prostu zmienił posadę, to jest w ogóle swój zawód? Bo ja już jestem trochę zmęczona. Czy ci zawsze jeszcze zależy na tym, żeby być w lesie?

Tym obrotem rzeczy był zaskoczony. Nigdy się nad tym nie

zastanawiał. Mimo woli zabłądził wzrokiem ku oknu, ujrzał pokryte białym, jednostajnym całunem drzewa w ogródku, w uszach poczuł nagle monotonną ciszę. Jak dawno już nie był na wzgórkach z widokiem na Białe Błoto!... Nie wiedział nawet, że uśmiechnął się w tej chwili do swoich myśli, jak się uśmiecha człowiek, żegnając z czymś, co stanowiło jego przeszłość...

- Czemu się uśmiechasz? - spytała Ania, patrząc na niego z rękami założonymi pod głowę na poduszce.

Nie dosłyszał tego pytania, a odparł tylko cicho na poprzednie:

- Wcale mi nie zależy.

- Jaki ty jesteś dobry... - szepnęła Ania. - Bardzo cię kocham, wiesz? - Pociągnęła go za rękaw, zrazu zupełnie leciutko, a później drugi i trzeci raz mocniej. Stroiła przy tym zabawną minę rozpieszczonego dziecka i chciała, by odwrócił do niej twarz i zobaczył jak bardzo się cieszy.

Ale Leszek siedział, zastygł w swej poprzedniej pozycji, i ciągle patrzył w okno. Tego, o czym myślał w tej chwili, nie

250

można było nazwać postanowieniem w ścisłym znaczeniu.

Była to raczej pozornie mglista, niezupełnie skryształizowana, niemniej jednak wyraźna świadomość, że już nigdy, nigdy nie powie jej całej prawdy...

251

Odpowiedź stryja Cezarego przyszła odwrotną pocztą.

Z tonu i treści jego listu wynikało, iż bardzo się przejął pismem Leszka. Nie tylko on, ale nade wszystko matka okazała szczerą troskę z powodu stanu zdrowia synowej, jednakże zmartwiona jest niemniej kłopotami syna, i bardzo się obawia, aby te wszystkie wielkie zgryzoty, które Pan Bóg zesłał, nie wpłynęły ujemnie na jego karierę. - „Naturalnie, przyznawał stryj Cezary, że w takim stanie nerwów i ciągłym niepokojem, nie możesz normalnie oddawać się swojej pracy”. - Obiecywał więc bezzwłocznie poczynić niezbędne zabiegi i poruszyć „ziemię i niebo”. O pozytywnym rezultacie swoich starań nie wątpił. W końcu listu prosił jedynie, „na wszelki wypadek”, by wysłać mu natychmiast ekspressem poleconym dyplom orderu.

Leszek tegoż popołudnia udał się na pocztę.

Zima zdawała się utrzymywać wreszcie. Pod nogami skrzypiał mróz. Ludzie odstawili do szopy wozy, a powyciągali stamtąd sianie. Dzwoneczki, uwieszone pod końską duhą, zastępowały normalny świergot ptaków, stanowiąc jedyne urozmaicenie popołudniowej ciszy. Było tak spokojnie wśród tych pobielonych ulic i okien zaciągniętych kwiatami mrozu na szybach, tak przyjemnie spotkać babę z pełnymi wiadrami na nosidłach jako dobry znak na przyszłość, odkłonić się dwóm-trzem znajomym i iść dalej w ciepłych butach i futrzanym kożuszkach, że Leszkowi nieomal żal się zrobiło opuszczać małe miasteczko. Nadawszy list na pocztę, skierował się do szpitala.

Było umówione, że jak tylko nadejdzie pozytywna odpowiedź od stryja, a Ania będzie mogła wrócić ze szpitala do domu, wyjeżdżają natychmiast.

- Pierwszym pociągiem? - szepnęła.

- Pierwszym - obiecał.

Plany te układali w konspiracji przed wszystkimi, jak tajny spiszek, co ogromnie bawiło Anię. Stawała się coraz bardziej ożywiona, a chwilami nawet wesoła. Postanowili nawet nie żegnać się z nikim... Gdy Leszek przyniósł jej owego dnia definitywną, dobrą wiadomość od stryja, klasnęła w dłonie jak dziecko i przyłożyła palec do ust. Widocznie jednak ten ruch przypominał jej coś, gdyż po chwili dodała:

- Podaj mi torebkę, o tam, na stoliku leży.

Zaczęła się po raz pierwszy od czasu choroby uważnie przeglądać w lusterku, wydymała wargi, później wyjęła kredkę, umalowała usta i przypudrowała nos.

Teraz, gdy już wiedziała, że wyjeżdżają, że spełniły się jej pragnienia, powrócił dawny jej beztroski nastrój, a jednocześnie zmienił się jej stosunek do otoczenia.

Pewnego razu, gdy nikogo nie było w pokoju, a Helena pochyliła się nad nią, by wyjąć termometr, objęła ją niespodziewanie za szyję i ucałowała serdecznie. Helena w odpowiedzi przycisnęła jej głowę do siebie, pogłaskała po włosach i nagle pocałowała mocno w usta. Ania opadła na poduszki zmieszana trochę tym nieoczekiwanym pocałunkiem, zaczerwieniona i nieco omdlała w mocnym uścisku.

- Widzę, że mała już zdrowa? - szepnęła Helena, gładząc ją po ramionach. Po raz pierwszy tak ją nazwała: „mała”.

- Tak - odszepnęła, odruchowo zasłaniając piersi. Może dlatego, że była wyczerpana długą chorobą, może z wewnętrznej radości, może z poczucia winy, a trochę z żalu bliskiego rozstania, czy też wskutek innych, nie uświadomionych przedtem przyczyn, ale jej szeroko otwarte oczy pokryły się szklistą mgielką. Poczowała, że ręce Heleny zacisnęły się z lekka na jej nagich ramionach pod koszulą i Helena pochyliła się nad nią raz jeszcze, błękitne źrenice były tuż, tuż... włosy musnęły jej twarz, ale usta szepnęły tylko coś

253

gorącym oddechem, coś, czego Ania nie dosłyszała. Helena wyprostowała się, poprawiła kołdrę, sprawdziła termometr, twarz - zaróżowioną jeszcze wskutek nachylenia - rozjaśnił dziwny jakiś, zagadkowy uśmiech, kiwnęła w milczeniu głową i poszła.

Ania przykryła oczy powiekami. Miała wrażenie, że zapada w stan słodkiego letargu. Nie czuła się jednak jeszcze zupełnie zdrowa i każde wzruszenie ją osłabiało.

Czas mijał teraz Leszkowi szybko. Miał pełne ręce roboty, odkąd starania stryja uwieńczono zostały sukcesem, na przekór wszystkim dotychczasowym trudnościom. Musiał być w urzędzie, w leśnictwie i nawet w terenie, przekazując sprawy. W domu pakował rzeczy, a ledwo urwał chwilę wolną, biegł

do Ani do szpitala. Zresztą, pośpiech ten nie był mu przykry. Przeciwnie, cieszył się, że odbiera mu czas na rozmyślania aż do chwili, która wreszcie nadeszła, gdy Ania mogła już chodzić i przewieziona została do domu.

Nazajutrz o świcie padał śnieg. Było szaro w pokoju.

Anastazja obudziła się ni to od złych snów, ni to wskutek niewygodnej pozy, którą bezwiednie przybrała we śnie. Roztarła zdrętwiałą rękę i poczuła, że jest chłodno, nieprzytulnie.

Siadła, spuściła nogi, wzdrygnęła się całym ciałem i postanowiła sprawdzić godzinę. - O, było jeszcze dużo czasu! Nie potrzebowała się śpieszyć z ubieraniem. Mogła spać dalej, ale zamiast położyć się, posiedziała z opuszczonymi, bosymi nogami, ziewnęła i spojrzała w okno. Śnieg wypełniał zewnętrzny parapet grubą, białą warstwą i sypał teraz drobno i rzadko.

- „Zaraz ustanie” pomyślała, „wtedy będzie jaśniej”. Nie chciało jej się ruszać, a wstała bez potrzeby, przeciągnęła się leniwie. Było chłodno w pokoju, a w jednej koszuli podeszła do okna, ostrożnie odsunęła na bok doniczkę z fiołkiem alpejskim, przyklękła na parapecie i otworzyła szeroko górny lufcik. Za czym tęskniła w tej chwili? Za troszką świeżego, zimowego powietrza? Było go przecie pełno w miasteczku, które leżało tak blisko wielkich lasów i spało jeszcze. Widziała dachy domów, kominy różnej grubości, jeden wąski, drugi

254
przysadzisty, każdy inny, jak ludzie. Biało na dachach.

Pachniało wilgotnym śniegiem i więcej nic. Cisza, słyszała jak krew pulsuje w jej uszach, i więcej nic. Raptem z boku, od głównej ulicy, niewidocznej stąd i dalej w szarudze świtu, doszedł ją szybki dzwoneczek sanek dorożkarskich. Zbliżał się, a później cichł, zapewne za rogiem najbliższej przecznicy. - „Ktoś śpieszył się na ranny pociąg”, pomyślała i zamknęła okno, a doniczkę z fiołkiem alpejskim przesunęła na dawne miejsce. Gdy pociąg ruszał ze stacji, zrobiło się już widno.

Z początku para lokomotywy przesłaniała szybę, ale wiatr ją odchylił i odsłonił widok.

Miasteczko było małe, położone na równinie. Teraz oddalało się powoli, ale można było rozeznaczyć dwie cerkwie prawosławne i wieżę kościoła katolickiego; prawie na skraju ustawiony - kadłub synagogi, od którego zaczynała się już płaszczyna, śniegów. W rowach też leżał głęboki śnieg. Trudno powiedzieć, dlaczego właściwie, ale z tej perspektywy miasteczko i wszystkie jego sprawy robiły wrażenie rzeczy zadawnionych. Śnieg przestał padać i jedynym, zdawało się, przedmiotem ruchomym w tym pejzażu były chmury, które ciągnęły jedna za drugą, różniące się między sobą nie kolorem, bo wszystkie były szare, ale odcieniem, miejscami jaśniejszym, miejscami ciemniejszym.

W tej chwili, to znaczy dwie godziny po świcie, miasteczko oddalało się, w miarę jak parowóz nabierał rozpędu, oddalało coraz prędzej...

- Ach, Boże! - krzyknęła Ania, odwracając się od widoku za oknem i chwytając Leszka za ramię. - Czyś ty zapłacił za

szpital, za operację, za cały czas leczenia, za wszystko?!

- A wiesz!... że... zapomniałem! - Uderzył się po kolanie.

- Możesz sobie wyobrazić, iż w tym pośpiechu...

- Ojej, to bardzo jest przykre. - Ania opadła na miękkie oparcie przedziału drugiej klasy i zakryła oczy powiekami.

Siedziała w ten sposób jakiś czas bez ruchu. On się odezwał dopiero po chwili:

- Et, głupstwo. Zapłaci się jakoś. Później... Może pocztą prześlę...

- A znasz ty chociaż dokładny adres?

- Jak to, adres!... Wielki mi adres w takim miasteczku.

Jeden jest przecie szpital... - zrobił lekceważący ruch ręką. - Nie ma znowu tragedii... Bywają gorsze.

Ania uniosła powieki i spojrzała na niego. Po raz pierwszy od czasu ich pożycia, coś jakby cień niechęci przemknął po jej twarzy. Siedział w pozie niewymuszonej, z nogą przerzuconą przez nogę i zapalał papierosa. Odwróciła wzrok prędko do okna, ale miasteczko już znikło za horyzontem i ciągnęły się tylko białe płaszczyzny z czarną wstęgą nie rąbanych lasów na horyzoncie.

Oczywiście nic tragicznego wskutek tego w miasteczku się nie stało. Zresztą, ani z tego, ani innego powodu, nie zaszło prawie nic godnego uwagi. Jedno chyba tylko, ale to właśnie, jak oceniali ludzie, bez żadnego widocznego powodu. Było już wiosną, w początkach kwietnia... A chodziło o to, że na rozmokłej łące za rowem odpływowym, przy którym, jak wiadomo, sąsiednie gospodynie hodowały kaczki, w odległości dwustu kroków od drewnianego mostku - znaleziono ciało doktora Dawidowskiego. Miał otwór w czaszce, a pistolet starego systemu wojskowego, używanego w minionej wojnie, leżał obok. Komisja lekarska stwierdziła bezsprzeczny fakt samobójstwa, nie ustalając przy tym żadnych przyczyn, gdyż to do orzeczenia lekarskiego nie należy.

Ludzie, jak to ludzie, pogadali trochę o wypadku, ale też chyba nie dłużej niż do południa dnia następnego. Temat był niewdzięczny, gdyż wszelkie dociekania nie prowadziły do żadnej konkluzji. Dali więc spokój. - „Cóż, mówili, zarabiał dobrze. Pieniądze, mówili, miał. Dom kupił. A i żona także samo dobrze zarabiała. Dzieci nie mieli wprawdzie, ale nikt nie słyszał, mówili, o jakiegokolwiek między nimi kłótni.

Małżeństwo było wzorowe. Nie inaczej więc, jak chyba z dziwactwa palnął sobie w łeb”.

Bo jeżeli chodzi o przyczynę, to przyczyny nie można było dostrzec żadnej.

Koniec

256

JÓZEF MACKIEWICZ

KALENDARIUM ŻYCIA I TWÓRCZOŚCI

1902 1 kwietnia (19 marca starego stylu) urodził się w Petersburgu. Do metryki wpisano mu: „syn

potomstwiennych dworiant wilenskiej gubernii".
Ojciec, Antoni, był współwłaścicielem i
dyrektorem firmy importującej wina „Fochts i Ska”.
Matka, Maria z Pietraszkiewiczów, pochodziła
z Krakowa.

1907 Mackiewiczowie przenoszą się do Wilna.
Dzieciństwo spędził Józef w otoczeniu licznej rodziny,
którą dopiero późniejsze wypadki miały podzielić
na Polaków, Litwinów i bolszewików, dzieląc na
zawsze granicami państwowymi, a jeszcze
bardziej ideologiami. Mąż jednej z kuzynek
Mackiewicza był ministrem spraw zagranicznych
nacjonalistycznej Litwy, mąż innej — szefem GPU
w Mińsku.

1910 Zaczyna uczęszczać do gimnazjum klasycznego
Winogradowa.

1914 Śmierć ojca.

1915 5 września Niemcy wzięli Wilno. Gimnazjum
Winogradowa ewakuowano do Moskwy, Mackiewicz
przechodzi do szkoły prowadzonej przez prof.
Stanisława Kościałkowskiego.

257

1919 1 stycznia niespełna siedemnastoletni uczeń
VI klasy gimnazjum idzie jako ochotnik na wojnę
z bolszewikami. Służy w 10. pułku ułanów
Litewsko-Białoruskiej Dywizji, następnie — na
własne życzenie — zostaje przeniesiony do
13. pułku majora Dąbrowskiego. Po stronie
polskiej w tej wojnie walczyli także Kozacy kubańscy
i ochotnicy rosyjscy. Zetknięcie się z nimi miało
wpływ na późniejszą twórczość literacką i na
poglądy polityczne Mackiewicza

1920 15 lipca — 13. pułk osłania odwrót wojsk
polskich z Wilna.

1921 Mackiewicz rozpoczyna studia przyrodnicze na
Uniwersytecie Warszawskim. Jak twierdził,

właśnie studia przyrodnicze uprzytomniły mu
całą niedorzeczność nacjonalizmów. Od listopada

1921 do maja 1922 pracuje w Muzeum

Zoologicznym w Warszawie na stanowisku

pomocnika kustosza zwierząt kręgowych. Wśród

zachowanych tam dwudziestu okazów ptaków,

które zebrał Mackiewicz, nie ocalał dzięcioł

trójpalczasty: „Byłem niezmiernie dumny, kiedym

dostarczył... egzemplarz *Picoides tridactylus*

z Puszczy Białowieskiej, własnoręcznie ubity”.

1922 „Z ostępów leśnych Białowieży” — pierwszy

utwór Mackiewicza — pojawia się 2 września

w 28 numerze wileńskiego dziennika Słowo.

1922-39 Praca w Słowie, redagowanym przez starszego

brata, Stanisława. Działalność dziennikarska

Mackiewicza była bardzo wszechstronna, ale

głównie walczył z administracją polską, starającą się zniszczyć wielonarodowościową i wielowyznaniową mozaikę dawnego Wielkiego Księstwa Litewskiego w imię „polskiej racji stanu”.

258

1924 Ślub z Antoniną Kopańską. Małżeństwo rozpadło się po kilku latach.

1932 Śmierć matki.

1933 Poznaje i wkrótce poślubia Barbarę Toporską (ur. 1913), dziennikarkę, pracującą w Słowie.

1936 Tom nowel 16-go między trzecią i siódmą.

1938 Bunt rojstów— wybór reportaży, które pisywał dla Słowa.

1939 17 września, na wieść o wkroczeniu Armii Czerwonej, ucieka do Kowna.

25 listopada, po zajęciu Wilna przez Litwinów, zaczyna wydawać (będąc zarazem redaktorem) jeden z dwóch polskich dzienników, Gazetę Codzienną. Z o wiele mniejszym powodzeniem niż przed wojną (ze względu na znacznie bardziej radykalny nacjonalizm administracji litewskiej) stara się walczyć o utrzymanie charakteru kraju.

1940 Maj — Rząd Republiki Litewskiej pozbawia Mackiewiczza prawa wydawania czegokolwiek.

15 czerwca — Powtórna okupacja sowiecka.

Żyje w nędzy, pracując jako drwal i woźnica.

1941 Lipiec — niemieckie władze okupacyjne proponują Mackiewiczowi redagowanie pisma w języku polskim. Odmawia kategorycznie.

W wydawanym przez władze niemieckie po polsku Gońcu Codziennym zamieszcza kilka tekstów, m. in. „Moja dyskusja z NKWD” i „Prorok z Popiszek”, które po wojnie wykorzystał w powieści Droga donikąd. Publikacje te stały się powodem oskarżeń o kolaborację z hitlerowcami.

259

1942 Píše książkę Prawda w oczy nie kole.

1943 W maju na zaproszenie niemieckie i za zgodą polskich władz podziemnych jedzie do Katynia, by być świadkiem ekshumacji zwłok oficerów polskich. Po powrocie udziela Gońcowi Codziennemu wywiadu pt. „Widziałem na własne oczy”.

Jesienią jest przypadkowym świadkiem masakry Żydów w Ponarach.

1944 W maju, aby uniknąć drugiej okupacji sowieckiej, Mackiewiczowie przedostają się do Warszawy.

Tam wydali trzy numery pisma Alarm, w którym dowodzili, że klęska Niemiec na froncie wschodnim przed kapitulacją na Zachodzie będzie końcem nadziei na niepodległość wszystkich krajów, z Polską włącznie — grozi im mianowicie okupacja sowiecka. Było to oczywiście sprzeczne

z polityką Rządu Polskiego na Uchodźstwie.

30 lipca opuścili Warszawę i dotarli do Krakowa, gdzie w październiku Mackiewicz napisał broszurę Optymizm nie zastąpi nam Polski

1945 18 stycznia — Armia Czerwona zbliża się do Krakowa, Mackiewiczowie uciekają

„przed wyzwoleniem” na Zachód. Docierają do Rzymu, gdzie (na zlecenie Biura Studiów II Korpusu gen. Andersa) Mackiewicz opracowuje białą księgę o zbrodni katyńskiej.

Sąd koleżeński Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich uwalnia Mackiewicza od zarzutu kolaboracji.

Rzymski Orzeł Biały publikuje reportaż „Ponary-Baza”.

1946-47 Mackiewicz zaczyna drukować regularnie w pismach emigracyjnych, m. in. Lwów i Wilno, 260

Wiadomości, Kultura (od roku 1951).

Współpracuje też z prasą rosyjską, litewską, ukraińską i białoruską. Jego dorobek publicystyczny w ciągu czterdziestu lat przeżytych na emigracji jest ogromny.

1947 W kwietniu Mackiewiczowie przenoszą się do Londynu.

1951 The Katyń Wood Murders — pierwsza książka na ten temat; ukazała się po angielsku, następnie była tłumaczona na wiele języków.

1952 Powołany przez specjalną komisję Kongresu Amerykańskiego do zbadania zbrodni katyńskiej, jako świadek i ekspert zarazem.

1955 Mackiewiczowie wyjeżdżają do Monachium, gdzie mieszkali aż do śmierci. Żyli w biedzie, utrzymując się z mizernych honorariów.

Droga donikąd — powieść o życiu na Litwie, gdy stała się republiką sowiecką.

Karierowicz — akcja rozpoczyna się wprawdzie w ostatnim okresie wojny polsko-bolszewickiej, ale jest to powieść psychologiczna, bez tła politycznego.

1957 Kontra — powieść o Kozakach, obywatelach ZSRR i emigrantach politycznych, którzy w wojnie sowiecko-niemieckiej walczyli przeciwko bolszewikom, a następnie zostali im wydani przez aliantów na podstawie układu jałtańskiego.

1962 Sprawa pułkownika Miasojedowa, która z punktu widzenia chronologii otwiera wielki cykl powieściowy Mackiewicza, a zarazem obejmuje cały okres będący tłem wydarzeń pozostałych powieści. Jest to bowiem historia słynnej niegdyś sprawy Sergiusza Miasojedowa, straconego w marcu 261

1915 roku, a także dalszy jej ciąg — aż do bombardowania Drezna.

Własnym sumptem wydaje Zwycięstwo prowokacji — rozprawę o przyczynach rozprzestrzeniania się komunizmu w świecie.

1964 Zbiór nowel Pod każdym niebem (uzupełniony o kilka utworów przedwojennych, opatrzonego posłowiem

Barbary Toporskiej, ukazał się ponownie w roku

1989 pod tytułem Ściągaczki z szuflady Pana Boga.

1965 Powieść Lewa wolna o polsko-bolszewickiej wojnie 1920 roku.

1969 Powieść Nie trzeba głośno mówić — niejako dalszy ciąg Drogi donikąd — epicka panorama drugiej wojny światowej.

1972 W cieniu krzyża — książka analizująca politykę papieża Jana XXIII wobec komunizmu.

1975 I jej ciąg dalszy — o polityce Kościoła wobec komunizmu za pontyfikatu Pawła VI — Watykan w cieniu czerwonej gwiazdy.

1984 Wybór artykułów Józefa Mackiewicza i Barbary Toporskiej Droga Pani...

Wybór opowiadań i reportaży Mackiewicza

Fakty, przyroda i ludzie.

1985 31 stycznia — Józef Mackiewicz umiera w Monachium.

20 czerwca — umiera Barbara Toporska. Prochy obojga złożono w Londynie.

262

SPIS TREŚCI

Część I ...5

Część II...97

Część III...135

JÓZEF MACKIEWICZ

KALENDARIUM ŻYCIA I TWÓRCZOŚCI...257
